

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ.

Piotr Chmielowski.

HISTORYA
Literatury Polskiej.

Z przedmową

Bronisława Chlebowskiego.

(Z ILUSTRACYAMI).

Tom IV.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
„Biblioteki Dzieł Wyborowych."
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Января 1900 года.



OKRES III.

(1831 do 1850).

Najbujniejszy rozkwit romantyzmu.

Czasy pomiędzy r. 1831 a 1850 stanowią najświetniejszą chwilę w dziejach poezyi naszej. Nigdy przedtem, ani też nigdy potem aż do dnia dzisiejszego nie podniosła się ona na takie wyżyny i nigdy takiem bogactwem i blaskiem nie zajaśniała. Największe jej arcydzieła, najdojrzalsze twory Mickiewicza i wszystkie wielkie poemata innych znakomitych pieśców w tej właśnie dobie powstają. Są one najlepszem, najdoskonalszem zarówno w treści, jak w formie wyrażeniem myśli, uczuć i ideałów narodu.

I.

Pierwszą bowiem, zasadniczą cechą poezyi w tym okresie jest serdeczne i głębokie przejęcie się sprawami narodowemi w daleko wyższym stopniu, aniżeli to było kiedykolwiek poprzednio.

Poezya tego okresu ogarnia w rozleglejszym niż poprzednio zakresie uczucia, myśli i ideały *wszystkich* stanów. Przewaga oczywiście jest i tutaj po stronie szlachty, jako warstwy najmocniej na-

rodowo uświadomionej, ale samo pojęcie „szlachty“ rozszerza się; już to nie jest kasta osobnymi przywilejami, samem urodzeniem od innych odgraniczona, lecz liczą się do niej wszyscy, co ukształceniem i sercem przylgnęli do ideałów wyrobionych przez przeszłość, jakiekolwiek zresztą byłoby ich pochodzenie. Obok tak pojętej „szlachty” występuje w poezyi wybitniej, aniżeli poprzednio, lud wiejski, oczywiście nie czynnie, ale biernie, zgodnie z jego rolą społeczną naówczas. Zachęta do usamowolnienia go jest jedną z cech największego naszego poematu: „Pana Tadeusza“, a w innych utworach spółczucie dla niego przejawia się wyraźnie. Kierunek demokratyczny, żądający wyzwolenia ludu góruje w tym okresie—ma za sobą prawie wszystkich, co w literaturze jako twórcy występują. Żywioł mieszczański, lubo w znacznie mniejszej niż lud wiejski mierze, znajduje także swoje przedstawicielstwo. Teraz już w całej pełni występuje znamię literatury ogólno-narodowej, nie zaś wyłącznie szlacheckiej, duchownej lub t. p.

III.

Potrzecie. Pomimo tak ścisłego przeniknięcia się sprawami narodowemi, poezya nasza nie przybiera bynajmniej cech zaściankowych. Najbliższe pod względem plemiennym literatury nie podlegają zapomnieniu; owszem po wezwaniach, jakie słyszeliśmy w dwu okresach poprzednich, teraz dopiero celniejsze utwory rzeczywistej lub tak zwanej poezyi ludowej słowiańskiej znajdują tłomaczów w całości, nieraz wysoce utalentowanych; teraz dopiero wychodzą dzieła, zaznajamiające dokładnie z prawodawstwem, zwyczajami i obyczajami narodów słowiańskich; teraz dopiero i twory nowszych czasów wśród tych narodów językowi naszemu przyswojone zostają. Znajdują się

nawet tacy, którzy radzą, wyrzekłszy się natchnień cudzoziemskich, poprzestać na motywach i barwach, jakie wśród samej słowiańszczyzny znaleźć można, mieniąc ją skarbem nieprzebranym; ale zarówno trafne poczucie poetów, jako też okoliczności uboczne chronią nas od takiej jednostronności. Sami bowiem cudzoziemcy zwracają pilną uwagę na rozwój duchowy Słowian; piszą o nim sporo, pragną go poznać gruntowniej. Założone w Paryżu r. 1840 i w Berlinie r. 1841 katedry literatur słowiańskich. uczyniły zadość temu pragnieniu, a zarazem dopomogły Słowianom do utrwalenia szerszych poglądów na swoje znaczenie i „posłannictwo.“ Zaczęto coraz więcej myśleć o zjednoczeniu, zjawiło się pojęcie „panslawizmu" i wielkiej roli, jaką w przyszłości Słowianie odegrać mają na widowni wszechświatowej. Zjazd w Pradze r. 1848, w którym wzięli udział Słowianie, zostający pod panowaniem austryackiem i pruskiem, był pierwszą próbą wspólnych narad słowiańskich, mających na celu uświadomienie położenia obecnego i zadań na przyszłość; a jakkolwiek wyniki jego nie mogły być ani ważne, ani trwałe: jakkolwiek długa po nim nastąpiła cisza z powodu zmienionych stosunków politycznych; to w każdym razie był on świadectwem wzmożonego poczucia cywilizacyjnej siły plemienia, dotychczas w masie swej mało twórczego na polu oświaty i twórczości ogólnej.

Zasilając się nieco pierwiastkami słowiańskiemi, poezya nasza tego okresu nie traciła z uwagi wielkich zagadnień obchodząaych ludzkość całą, nie zrywała łączności z poezyą narodów ucywilizowanych i starała się podążać z nią równym krokiem. Te zagadnienia ogólne albo wciela w kształty z życia narodowego wzięte, albo też obrabia obce tematy, z myślą jednak zwróconą do własnego społeczeństwa. Wynikiem to było oddziaływania filozofii idealistycznej, którą w pewnem znaczeniu można także nazwać poezyą — poezyą metafizyczną. Opierała się ona bowiem nie na

wywodach doświadczenia, lecz na rozwoju „czystej“ myśli, przebywającej wszystkie fazy od najniższej do najwyższej w dziedzinie fantazyi, chociażby autorowie do tego się nawet nie przyznawali.

IV.

Z ziarn, rzuconych w glebę filozoficzną przez Szaniawskiego w Warszawie, Jarońskiego w Krakowie i Józefa Gołuchowskiego w Wilnie (r. 1823/4) plon bujny zaczął dopiero wschodzić po r. 1830. Na czele postawić tu trzeba myśliciela, który jakkolwiek wyłącznie pisał po francusku, musi być uwzględniony w dziejach literatury polskiej, gdyż niektóre jego myśli, przeniesione, lubo w zmienionej formie, do poezyi i publicystyki, bardzo silnie się zaznaczyły w rozwoju naszego życia duchowego. Mówię tu o JÓZEFIE HOENE WROŃSKIM (1778 † 1853). Była-to umysłowość olbrzymia, ogarniająca wszystkie dziedziny wiedzy ludzkiej i pragnąca je wszystkie zreformować. Jego geniusz matematyczny wielbią znawcy; jego głębokość i wszechstronność skłoniła jednego z naszych filozofów (Trentowskiego) do twierdzenia, że po Koperniku nie miała Europa i niema w nauce nic wznioślejszego. Gdy jego prace matematyczne, dotyczące najwyższych, najogólniejszych zagadnień, nie znajdowały ani uznania, ani odbytu; gdy jego praktyczne wywody i doświadczenia w zakresie techniki, w skutek zawiści zostały ośmieszone, zwrócił się do polityki i filozofii. Zgłębił on filozofię Kanta, będąc jego słuchaczem pod koniec XVIII w., interesował się też i późniejszym rozwojem nauki tej aż do najsławniejszego w Niemczech twórcy filozofii absolutnej, Jerzego Hegla; ale się wynikami jego myślenia nie zadowolił, uważając, że wszystkie wywody i kombinacye filozofów do-

tychczasowych odnosiły się tylko do spraw tego świata, które nazwał „chrematycznością“, kiedy on pragnął na drodze rozumowej dojść do poznania spraw za—świata, czyli „achrematyczności“. Środkiem tego poznania ma być rozum, ale nie bierny, tylko twórczy, który zdoła odkryć „prawo twórcze“ t. j. prawo, jakiem sam Bóg się kierował przy tworzeniu wszechświata, a odnalazłszy to prawo, sprowadzić niebo na ziemię, urzeczywistnić Królestwo Boże. Wroński był matematycznie pewny, że prawo to odnalazł, lecz go światu nie objawił, bo nie byłby jeszcze zrozumiany; wzywał tylko wszystkich, ażeby się pod jego wodzą połączyli w zastęp święty, (Unią absolutną), któryby pracował nad wcieleniem prawdy najwyższej i urzeczywistnieniem cnoty najwyższej. Świat wedle niego przeszedł dotąd pięć okresów swego rozwoju, w ciągu których troszczył się to o dobrobyt materyalny, to o dobrobyt duchowy. Obecnie znajdujemy się w okresie szóstym, strasznym pod względem przeciwieństw (antynomij), zachodzących między wiedzą i wiarą, rozumem i uczuciem, przeciwieństw, podżeganych przez „bandę piekielną“, a nazwanych „antynomiami społecznemi“. Dopóki tych antynomij nie usunie się, świat będzie pastwą najokropniejszych targań wewnętrznych. Wroński obiecuje znieść je przez zaprowadzenie „rządu antynomicznego“, którego przykład dał już był Napoleon. Powołując się na słowa Chrystusa o potrzebie odrodzenia wewnętrznego i obietnicę zesłania Ducha, oświadczał, że on to właśnie jest organem tego obiecanego „ducha pocieszyciela“ (Parakleta), co zna rzeczy niebieskie i objawi je ludziom; nazywa tedy naukę swoją, o ile zmierza do urzeczywistnienia królestwa bożego, „mesyanizmem“. Dzięki mesyanizmowi walka przeciwieństw ustanie, gdyż ludzie się przeświadczą, że prawda bezwzględna jest dobrem bezwzględnem, a dobro bezwzględne jest prawdą bezwzględną. Osiągnięcie wiedzy bezpośred-

niej i zdobycie nieśmiertelności będzie końcem historyi czyli okresu siódmego i ostatniego; ludzkość odzyska raj utracony, a śmierć zniknie. W Europie są trzy narody, mające przed innemi posłannictwo spełnienia celów mesyanicznych: Francya, Niemcy i Rosya. Francya odsłoni i urzeczywistni ostateczne cele państwa, Niemcy odkryją niewzruszone zasady wiedzy ludzkiej; pod zwierzchnictwem Rosyi ma się zawiązać „bractwo ducha świętego", mające nadać ostateczny kierunek ludzkości. [1]) Takie myśli w połączeniu z namiętnymi wybuchami przeciw rewolucyi, socyalizmowi i szlachcie dziedzicznej, z wróżbą posłannictwa Napoleonidów, szeroko rozwinął Wroński w trzech głównie pismach: „Prodrome du messianisme" (1830), „Metapolitique messianique" (1840), „Prolegomènes du messianisme" albo „Le destin de la France, del' Allemagne et de la Russie" (1842—3). Mickiewicz przyjął od niego nazwę mesyanizmu, pojmując go w duchu mistycznym, na co Wroński, przeciwnik mistycyzmu, gorzko się uskarżał. Od Mickiewicza myśl odrodzenia ludzkości za pośrednictwem narodu polskiego, zaczęto nazywać „ideą mesyaniczną."

V.

Dzieła Wrońskiego bardzo długo nie były u nas znane. Filozofia nasza rozwijała się na podstawie filozofii Hegla z rozmaitemi w niej przemianami. Hegel wzniósł wspaniały budynek „bezwzględnego idea-

---

[1]) Karol Libelt: „Kwestya żywotna filozofii" Poznań 1845, str. 197—225.—Por. także, F. B. Trentowski: „Hoene Wroński" w „Roku" poznańskim 1844, zesz. 1, 2, 3.—S. Dickstein: „Hoene-Wroński, jego życie i prace". Kraków, 1896.

lizmu," przejąwszy od Schellinga pomysł tożsamości bytu i myślenia, podmiotu i przedmiotu, i przeprowadziwszy ten pomysł za pomocą udoskonalonej „metody dyalektycznej" przez wszystkie stopnie rozwoju, od głuchego i beztreściowego, zupełnie abstrakcyjnego pojęcia, aż do najwyższej samowiedzy, jaką duch bezwzględny osięga w sztuce, religii i filozofii. Owa metoda dyalektyczna polega na odtworzeniu w świadomości naszej tego ruchu, jakim każda treść pomyślana rozwija się samoistnie, a mianowicie przez twierdzenie (*thesis*), przeczenie (*antithesis*) i kojarzenie przeciwieństw (*synthesis*); tak np. pojęcie bytu i niebytu zdają się wykluczać wzajem, ale tylko pozornie, syntezą ich bowiem jest pojęcie „stawania się", godzące w sobie przeciwieństwo bytu i niebytu. Z nadzwyczajną misternością, jak prawdziwy artysta, umiał Hegel wszystkie pojęcia z jednego zasadniczego wyprowadzić i zbudować gmach imponujący swoją symetrycznością, a niejednokrotnie i głębią myśli. Ponieważ wychodził z zasady tożsamości, nie mogło więc w jego systemie być mowy o Bogu osobistym i o osobistej nieśmiertelności duszy; wszystko bowiem ulegało wciąż przemianie i ukazywało się ze stron różnych, czy to jako myśl, czy jako natura, czy jako duch podmiotowy, przedmiotowy i bezwzględny. Było to jakby koło czarodziejskie, w którem wszystkie przedmioty i myśli, będące w gruncie tożsamością, w systematycznych grupach ciągły, odwieczny i na wieki trwać mający ruch odprawiały. Naszym filozofom ta bezosobowość Boga i duszy indywidualnej nie mogła przypaść do serca, bo też przeciwna była naszemu indywidualistycznemu usposobieniu; więc choć ulegli czarowi metody dyalektycznej, nazywanej największym wynalazkiem wieku, starali się w wywodach swoich w ten lub ów sposób uratować drogie sobie pojęcia.

Pierwszym, co nas dokładnie a jasno zaznajomił z systemem Hegla, był JÓZEF KREMER (1806 †

1875), syn mieszczanina krakowskiego, już spolszczonego, zamiłowany od wczesnych lat w rozmyślaniach nad zjawiskami świata, a szczególniej nad sztukami pięknemi. Wysłuchawszy wykładów Hegla, przejął się nimi, i po jego śmierci skreślił 1835 i 1836 obszerne streszczenie jego filozofii w „Kwartalniku Naukowym", wydawanym w Krakowie. W kilkanaście lat potem ogłosił swój „Systematyczny wykład filozofii" (1849—53, Kraków, Wilno). Tu ideę bezwzględną Hegla przemienił na osobę bezwzględną czyli Boga. Ze zmiany tej wynikły nader ważne następstwa: osobowość człowieka została uratowana, zatem i jego nieśmiertelność; a nad całością stworzenia, nad wszechświatem, zapanował Bóg chrześcijański. Wyniki te były wielce pożądane dla serca, ale przeprowadzenie Heglowskiej idei bezwzględnej w osobę bezwzględną nie było zupełnie ścisłem logicznie, wobec uznawania przez Kremera i metody dyalektycznej i wszystkich prawie głównych twierdzeń Hegla. W dalszym ciągu swego wykładu nie zajmował się już nasz filozof osobą bezwzględną, pozostawiając bliższe rozwinięcie jej pojęcia teozofii, którą obiecywał napisać, a w rozumowaniach swoich o naturze i duchu trzymał się, z małemi zmianami, idei bezwzględnej Hegla, robiąc atoli ustępstwa znaczne na rzecz *doświadczenia*, będącego dawniej przedmiotem pogardy. Dopiero pod koniec swego zawodu Kremer odrzucił nietylko zasady swego mistrza, które nazwał wskroś fałszywemi, ale i jego metodę dyalektyczną. Wtedy uznał już w pełni metodę doświadczenia zewnętrznego i wewnętrznego, duszę zaś pojmował jako jestestwo rzeczywiste, całkiem indywidualne. Każda dusza sama sobie wykształca i buduje ciało organiczne; to ciało zatem jest ściśle odpowiednie indywidualizmowi duszy. Dusza rozwija się stopniowo, ale już w zarodzie swoim ma usposobienie do samowiedzy. W sile organicznej szukać należy ogniwa pomiędzy duszą a ciałem. Wielką wagę przyznać trzeba bezświado-

mym czynnościom duszy. W tych ostatnich wywodach zależnym był Kremer od teoryi Fichtego młodszego (Emanuela). Jedną część filozofii, a mianowicie estetykę opracował Kremer szczegółowiej w „Listach z Krakowa“ (1843—55), w „Podróży do Włoch" (1865) i w licznych rozprawach drobniejszych. Dzieła sztuki według niego są odblaskiem prawdy bezwzględnej; są objawem ducha ludzkiego, poznającego *udzielony mu* pierwiastek bezwzględny. Tym sposobem zmodyfikował Kremer określenie Hegla, że sztuki piekne są urzeczywistnieniem samej idei bezwzględnej. Sztuka *ma cel sama w sobie*, bo urzeczywistnia ideę piękna. Nie jest naśladowaniem natury, ale artysta każdy musi doznać potrącenia od świata zewnętrznego, ażeby utworzył dzieło sztuki. Uczucia są pierwiastkiem głównym w świecie estetycznym, ale nie są jedynym; potrzeba znajomości zasad ogólnych, pierwiastku rozumowego, ażeby dzieło sztuki było doskonałe. Potęgą twórczą w dziedzinie piękna jest fantazya; im potężniejsza, tem dzieło sztuki robi większe wrażenie. Materyałem fantazyi jest cały świat ducha, nieskończoność bóstwa, duch w najwyższej doskonałości swojej t. j. ideały. Ideał tyle jeno w sobie zawierać powinien, ile potrzeba do objawienia ducha; ma być taką całością, jednością osobną, jak duch, który o sobie w nim znać daje. W ideale jest pogodzenie rzeczywistości i ducha; te dwa bieguny spotykają się z sobą na pół drogi i zlewają się w jedno, oba się równoważą. — Największą zaletą pism estetycznych Kremera jest ich strona praktyczna, opisywanie dzieł sztuki i opowiadanie jej historyi. Znajduje się i tu wprawdzie trochę zadużo niepotrzebnego balastu, do którego liczę naciąganie faktów do teoryi, zresztą dość rzadko się zdarzające, — i trochę za dużo gadatliwości w formie kwiecistej, zmanierowanej; ale ogółem biorąc stoi on na równym poziomie ze spółczesnymi sobie estetykami europejskimi, z których wiele tak pod wzgledem faktycznym jak

i teoretycznym korzystał. Piękny, czysty język przyczynia się wielce do nadania powabu jego dziełom. Był on pierwszym chronologicznie estetykiem naszym, co swe dzieła za życia ogłosił, i pierwszym historykiem sztuki krajowej [1]).

VI.

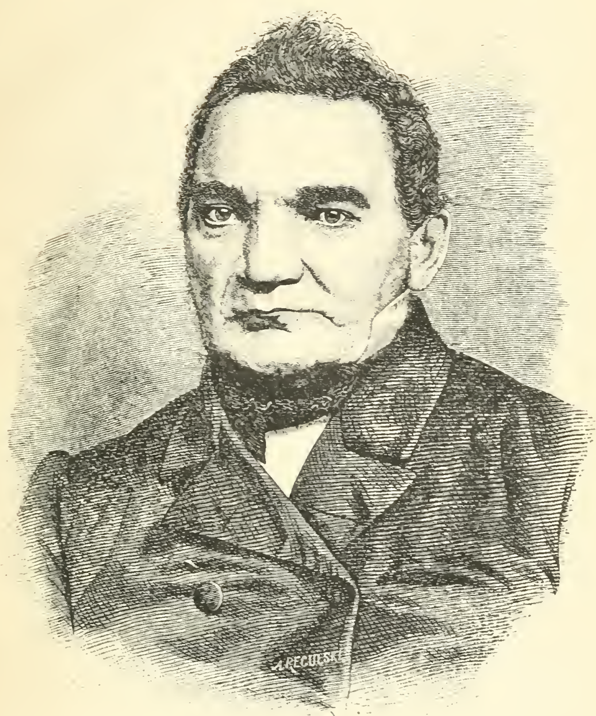
Znacznie wyższą od Kremera samoistnością odznaczył się FERDYNAND BRONISŁAW TRENTOWSKI (1807 † 1869). Ze studyów swoich filolog klasyczny, nauczyciel łaciny w gimnazyum szczuczyńskiem, próbujący sił poetyckich w przekładzie „Oblubienicy messyńskiej" Schillera, po r. 1831 oddał się pilnym studyom filozoficznym w uniwersytetach niemieckich i po kilku latach nie tylko opanował wszystkie zdobycze myślowe Niemców, ale wystąpił z własnym systemem, który nazwał „uniwersalnym", stapiającym w sobie realizm narodów romańskich z idealizmem germańskim. W pierwszej swojej pracy filozoficznej: „Grundlage der universellen Philosophie" (1837) wystąpił on jako przedstawiciel myśli słowiańskiej, a w szczególności polskiej, mającej skojarzyć przeciwieństwa, wytworzone przez narody romańskie i germańskie. W rozprawie habilitacyjnej, napisanej po łacinie: „ O życiu wiecznem człowieka" przeprowadził myśl, już poprzednio przez Wrońskiego rzuconą, że dusza wytwarza swą nieśmiertelność, że jest nieśmiertelna wraz ze swojem ciałem jako wytwór indywidualnej pracy duchowej w ciągu życia, i trwa przez wieki taką, jaką zeszła z tego świata. Zostawszy docentem filozofii we Freiburgu w W. Ks. Ba-

---

[1]) Henryk Struve. „Życie i prace Józefa Kremera", Warszawa 1881. Jestto wstęp do ,.Dzieł J. Kremera" wydanych przezeń w 12-tomach (Warsz. 1877—9.

deńskiem, napisał po niemiecku obszerne dzieło z działu filozofii natury: „Vorstudien zur Wissenschaft der Natur“ (1840). Wezwany do pracy w języku polskim, mając sobie zapewniony przez Poznańczyków dochód roczny, ogłosił, prócz wielu drobniejszych rozpraw, dwa dzieła: pedagogikę czyli „Chowannę“ (1842) i logikę, czyli „Myślinię” (1844). I tu, tak samo jak w pismach niemieckich, trzymał się metody dyalektycznej, ale przedstawił psychologią, a stąd i cały system filozoficzny — oryginalny, do którego też urobił własną terminologią, już to ze starych ksiąg wydobytą, już-to (co częściej) wytworzoną przez różne kombinacye etymologiczne, bardzo często zupełnie dowolne. Chciał on uratować pojęcie Boga osobowego i uchronić przedmiotowość świata, która się całkowicie rozpływała w bezwzględnej zasadzie Hegla i dokonał tego, jak mu się zdawało, za pomocą „filozoficznej różnojedni“, uważanej przez siebie za najważniejszą zdobycz swojego systemu. Musimy więc choć w najkrótszym zarysie z tą „różnojednią“ się zapoznać. Wszelkie przeciwieństwa (byt — nicestwo, idealność — realność i t. p.) mają znaczenie jedynie względne; ci, co je uważają za bezwzględne (supernaturaliści), popełniają błąd logiczny, ponieważ bezwzględnych różnic zgoła być nie może; ale mylą się i ci, co jak Hegel, widzą w tych przeciwieństwach bezwzględną jednią (panteiści); prawdziwy filozof jest i supernaturalistą i panteuszem, ale tylko transcendentalnie i to w pełnej a doskonałej harmonii. „Bóg i świat — powiada Trentowski—niebo i ziemia muszą być, rozważając przedmiot ściśle, *jedną* rzeczą, bo przyczyna żyje w skutku, a skutek w przyczynie; bo pisarz objawia się w dziele, a więc dzieło jest w gruncie pisarzem; bo wszelka różnica jest jedynie względna, niknie zatem, skoro uchwycisz sprzeczności bezwzględnie; bo gdyby Bóg i świat nie był, przynajmniej transcendentalnie, np. przed stworzeniem istnienia, rzeczą jedną, ale zupełnie, jak np. Ormuzd i Ary-

man u starych Persów, sprzeczną i wcale do siebie nienależącą; to prawda byłaby dualizmem, zaczem składałaby się z dwu bogów, a przeto Bóg nie byłby stwórcą świata... Czyliż Bóg, nie mający żadnej styczności, żadnego związku, żadnej tożsamości ze światem, mógłby świat stworzyć? Filozofia, znajdująca się na tem polu t. j. filozofia, Boga ze światem bezwzględnie jednocząca, zowie się pospolicie panteizmem, a jej pierwiastkiem jest bezwzględna jednia. Supernaturalizm jest empirycznej, rozumowej, a panteizm metafizycznej, umysłowej natury; stanowią dwa w filozofii i teologii wiecznie z sobą walczące stronnictwa, i są umiejętnościami także we względnej różni zupełnie innemi, a w bezwzględnej jedni temiżsamemi. Gdy więc boskość i nieboskość są raz rzeczami różnemi, inny raz rzeczami jednemi—i w obu razach prawdą; więc są względną różnią i bezwzględną jednią społem, czyli *filozoficzną różnojednią*. Ta różnojednia, stanowiąc nie mechaniczny zlepek dwu przeciwieństw, nie dwutwarzową głowę Janusa, ale udzielny świat trzeci, jądrowy, istnie rzeczywisty, czyli transcendentalny, boski, jest pierwiastkiem, albo raczej prawem naszej i wszelkiej prawdziwej filozofii.“ Różnojednia ta jest w gruncie rzeczy dyalektyczną metodą Hegla, przechodzącą też same trzy stopnie: twierdzenia, przeczenia i kojarzenia; ta jednak w jej zastosowaniu zachodzi różnica, że gdy u Hegla duch stanowi moment twierdzenia, u Trentowskiego jest on przeciwnie momentem przeczącym, jako źródło wszelkich różnic w pojęciach; tym sposobem materya staje się zawsze u niego twierdzeniem, jest pierwszem ogniwem w rozwoju rzeczy i pojęć. Zjednoczenie zaś, a raczej zlanie materyi z duchem wydaje świat „rzeczywisty.” Ale tej „rzeczywistości“ Trentowskiego nie należy zgoła brać za „realność“, gdyż realność jest tylko materyą, a „rzeczywistość“ jest boskością, transcendentalnością. Jakim sposobem może człowiek uchwycić taką rzeczywistość? Według filo-



Karol Libelt.

zoficznej różnojedni człowiek składa się z ciała, duszy i *jaźni*. Ciało za swój organ ma zmysły i poznaje materyę; dusza ma za organ umysł i poznaje wszystkie sprawy duchowe; *jaźń* zaś ma za organ *mysl* i poznaje rzeczywistość, boskość, transcendentalność. Jaźń nie jest tylko abstrakcyjnem złączeniem ciała i duszy, ale jest istną rzeczywistością, boskością, transcendentalnością; ona tylko jest nieśmiertelną, nie zaś ciało lub dusza, które po śmierci człowieka toną w powszechnej materyi i w powszechnej duchowości. Rozwinięcie w sobie jaźni jest głównem zadaniem człowieka, a dojście do samodzielności jest szczytem jego usiłowań. Kto jest samodzielny, ten potrafi pokonać wszelkie przeciwieństwa pojęciowe i wszelkie zapory cielesności. Kto jest samodzielny, ten nie tylko pozna, co jest cnota, lecz osięgnie także siłę do jej pełnienia. Kto jest samodzielny, ten stanie się synem bożym, bogiem-człowiekiem, ten sprowadzi królestwo boże na ziemię... To ustawiczne, aż do końca życia, wzywanie do samodzielności w myślach, uczuciach i postępowaniu, tak wymowne, jak w żadnym z naszych autorów, jest największą zasługą Trentowskiego, w rozwoju naszego ducha. Jego teorye utraciły dziś wszelką wartość, z jego „Myślini" nikt loiki uczyć się nie będzie, jego *mysl* jest tylko nowym wyrazem, ale nie nową potęgą duchową; lecz nauczanie, by nawet jemu samemu nie wierzyć bez należytego rozbioru, jego zachęcanie do rozdmuchiwania iskry bożej w piersiach własnych, jego żarliwa obrona niezależności badań od wszelkiej powagi zewnętrznej, znaczna część jego rad wychowawczych i politycznych miały i mają dotychczas wartość pierwszorzędną. Można odrzucić jego terminologią i cały formalizm filozoficzny w „Chowannie." a znaleźć mnóstwo wskazówek i mnóstwo myśli pobudzających do głębszego zastanowienia, zapładniających duszę nowemi pojęciami lub nowemi wzrusze-

niami. Podobnież w pomniejszych jego pismach; jako to: „Stosunek filozofii do cybernetyki, czyli sztuki rządzenia narodem“ (1843, Poznań), „Stosunek filozofii do teologii“ (1843 w „Roku“ poznańskim), „Ułomek z Teozofii“ (1845, tamże) i inne, mieszczą się błyskawice myśli, rozświetlające niejedno nader ważne zagadnienie. I publicystyczne jego prace zasługują na uwagę; walczył on przeciwko mistycyzmowi wszelkiemu, czy pod formą magnetyzmu zwierzęcego („Demonomania“ 1844), czy pod formą objawień proroczych (w czasopiśmie: „Teraźniejszość i Przyszłość“, wydawanem przez siebie r. 1843—47); walczył przeciw jednostronności stronnictw politycznych („Wizerunki duszy narodowej z końca ostatniego szesnastolecia“ 1847), walczył przeciw duchowi zaborczemu Niemców, kiedy na sejmie r. 1848 chcieli włączyć W. ks. Poznańskie do Rzeszy Niemieckiej („Przedburza polityczna“, 1848, Freiburg). Kiedy reakcya ogólno europejska, od r. 1850 coraz bardziej srożejąca, stłumiła głos jego, pracował w ciszy nad wielkiem dziełem, obejmującem obraz wszystkich nauk, by młodzież polską przygotować do studyów uniwersyteckich. Dzieło to wyszło dopiero po jego zgonie w 3 dużych tomach p. t. „Panteon wiedzy ludzkiej lub Pantologia, encyklopedya wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii“ (1873—1881, Poznań). Ukazała się ta książka za późno; nauki przyrodnicze porobiły od czasu jej ukończenia w r. 1861 olbrzymie postępy; nie może więc ona być dobrą po tej dziedzinie przewodniczką, ale duch w niej taki sam, jak w dziełach młodości Trentowskiego. I tu wołał do czytelników: „Ja żądam nie duchowych jeńców nowej szkoły, lecz zdolnych uczniów z szerokiego świata, którzyby ją przyjęli, a zamieniwszy ją w krew i soki własne, nadali jej ulepszenia lub wyższego przeobrażenia piętno; którzyby stanąwszy na ramionach mistrza, widzieli i szli nierównie dalej od niego“... Trentowski pisał

dobrą polszczyzną (pominąwszy dziwaczną terminologią), władał stylem jędrnym i obrazowym, ale ubiegając się o siłę i dobitność nieraz grzeszył przesadą i nadętością. Choć był przeciwnikiem demokracyi owoczesnej i wyzwolenia kobiet, duch jego niezależny zholdował sobie wszystką młodzież postępową.

VII.

Do pisania po polsku pobudził Trentowskiego głównie KAROL LIBELT (1807 † 1875) krytykami dzieł jego niemieckich. Był on rodem z W. ks. Poznańskiego, słuchał Hegla w Berlinie, lecz nie od razu wziął się do filozofii; działał jako matematyk, pedagog, publicysta, krytyk. W każdym z tych działów pozostawil rozprawy niepospolitej wartości; z pomiędzy publicystycznych zasługują szczególniej na szczere i głębokie uznanie: „O odwadze cywilnej“ (1843) i „O miłości ojczyzny“ (1844); był szczerym demokratą, ale nie demagogiem. Pierwsza jego praca samodzielna treści filozoficznej wyszła w r. 1845 p. t. „Kwestya żywotna filozofii: O samowładztwie rozumu“ (Poznań). Wystąpił tu przeciwko filozofii niemieckiej, starając się wykazać, że sam rozum, abstrakcyjnie rozumujący, nie jest zdolny stworzyć całokształtu żywego, że zatem wszystkie jego produkcye są martwe, że władzą twórczą w człowieku jest wyobraźnia, przedstawiająca wszystko w kształtach dotykalnych.

Znamienną dla owych czasów jest rzeczą, że i filozofię pragnął Libelt oprzeć na wyobrażeniach ludowych. Zastanawiając się nad tem, skąd przyszła filozofia polska ma zaczerpnąć pierwiastku rodzimego, powiada, że nie wśród inteligencyi, gdyż w niej pod wpływem oświaty ogólnej zaciera się narodowość, lecz „wśród samego ludu nietkniętego in-

teligencyą". Nazywamy te masy ludu — mówi Libelt—ciemnościami dlatego, że je promień ogólnej oświaty nie rozjaśnił. Atoli, kiedy oświata jest jasnością z wierzchu, narodowość jest jasnością wnętrza, która się swoim właściwym manifestuje sposobem, swojem osobnem duchowem tylko żyje życiem i w łonie swem przechowuje pierwiastki, z których się ma złożyć przyszłość duchowego świata. Podobnie w głębinach wód oceanu, na dnie morskiem, są wody od czasu tworzenia się naszego planety, a w nich pierwiastki, z których złożyła się ziemia nasza. Żadne burze, na wód powierzchni srożące się, nie dojęły tych ostatnich na dnie warstw, specyficznie cięższych od warstw napływowych. I nad ludem naszym przeszły burze religijne i polityczne, socyalne nawet — i nie dosięgły, ani nie rozwiały pierwiastku jego narodowego. Szerokie potoki cywilizacyi, płynące na Polskę od Włoch, Niemiec i Francyi, rozlały się tylko na powierzchni narodu i nie przesiąkły do tych ostatnich warstw społeczeństwa." Głównym dogmatem, na którym oprzeć się musi filozofia polska, jest wiara w ciągłe działanie świata niewidomego na widomy. „Lud nasz przechowuje u siebie wiarę w bezpośredni stosunek świata ziemskiego ze światem duchów, które go jako opiekuńcze istoty otaczają. I kto tę wiarę wyssał z mlekiem, temu żadna mądrość świata jej z serca nie wytrąci. Sam ją stokroć odpychać będzie, jako niezgodną z rozumem, ale stokroć znowu ona się w głębi jego ducha odezwie. „Bóg i duch nie są to u ludu idee martwe, bezkształtne, ale i owszem w pełni żywota pojęte i upostaciowane". Filozofia „może te pojęcia rozwinąć, podnieść do umiejętności, ale nie może być tym pojęciom przeciwną".

Zaprotestował przeciwko tym wywodom Trentowski w rozprawie: „Czy można uczyć się filozofii narodowej od ludu, i jakie cechy mieć powinna taż filozofia", (1845) gdyż on pierwiastku rodzimego szu-

kał w całym narodzie, nie zaś w jednej tylko jego warstwie; Libelt atoli pozostał przy swem przekonaniu, że „tylko w masach ludowych widzimy rzeczywiste, plemienne, narodowe ich różnice, a w oświeconych klasach niejaką już tych narodowości amalgamacyę i zacieranie się znamion plemienno-narodowych, że więc w wyobrażeniach ludu jest „wyraziste“ żywe i płodne tejże narodowości znamię“. W związku z takiem pojęciem, dał filozofii swojej podstawę w wyobraźni, zowiąc jej pierwiastek twórczy za przykładem Trentowskiego *umem* (w znaczeniu czeskiem). Wypracował tedy i ogłosił „System umnictwa czyli filozofii umysłowej“ (1849—50, Poznań). Oto zasadnicze myśli tego systemu: „Wszelka istność wyobraża przed sobą tworzenie zewnątrz, więc tworzy; człowiek i zwierzę za pomocą zmysłów, rośliny za pomocą naczyń, ziemia i ciała kopalne za pomocą attrakcyi. Człowiek jest podobieństwem bożem, więc nawzajem duch boży musi być zbiorem tychże pierwiastków jak ludzki, tylko w nader doskonalszej potędze. *Um* w Bogu jest *obraźnią*, w człowieku *wyobraźnią*, w naturze *przeobraźnią*. Obraźnia działa bez materyału, a przeto stwarza i daje kształty pierwotne; wyobraźnia—*na* materyale, a przeto tylko tworzy czyli przetwarza i daje kształty pochodne; przeobraźnia—*w* materyale, co jest tworzeniem się bez wiedzy i woli, stąd wydaje formy przechodne. To, co wyprowadza obraźnia, jest wieczne, co wyobraźnia — trwałe w czasie, co przeobraźnia — przemienne. Jakkolwiek ludzkość i świat to trzy oddzielności, w Bogu jednak jest świat i ludzkość, w ludzkości jest Bóg i świat, w świecie jest ludzkość i Bóg. W Bogu więc prócz obraźnych spoczywają formy wyobraźne i przeobraźne i równie wszystkie trzy w człowieku i w naturze. Wykład autora jest to rozumowane przedstawienie po kolei wszystkich tych form w Bogu, człowieku i świecie,—a ramy te objęły wszystkie główne

szczegóły oraz kwestye, dotyczące otaczającego nas świata“ [1]). W przeprowadzeniu tej filozofii kształtów Libelt posługiwał się formułami „Myślini“ Trentowskiego. W szczegółach są tu rzeczy przepiękne; ale całość nie stanowi trwałego nabytku badań filozoficznych i mało nawet ogółowi ukształconemu była znana.

Druga wielka praca Libelta: „Umnictwo piękne czyli estetyka“ (1849—1854, Poznań—Petersburg, trzy tomy), pomyślana na ogromną skalę, lecz wykonana tylko częściowo, miała wpływ znacznie większy. W pojęciu sztuki i piękna nie różni się Libelt od Kremera; w sposobie wykładu jest ściślejszy, liczy się więcej z faktami. Tom 1-szy jego „Umnictwa“ zajmuje się określeniem stanowiska człowieka względem sztuki, stanowiska sztuki względem natury i Boga, podziałem sztuk pięknych, a najobszerniej—rozbiorem estetycznych potęg ducha, t. j. zmysłów, wyobraźni i umysłu. Dwa następne tomy poświęcone zostały wyłącznie zobrazowaniu piękna przyrody. Nietylko szczegółowego obrobienia sztuk pięknych Libelt nie dał, ale nie rozwinął nawet ogólnych zasad, na których się one wspierają. Stylistą był jednym z najlepszych.

VIII.

Jak Libelt pragnął utworzyć filozofię wyobraźni, tak AUGUST hr. CIESZKOWSKI (1814 † 1894) — filozofię woli. Słuchał on wykładów Karola Ludwika Micheleta, najgorliwszego z uczniów Hegla, a bardzo szybko przyswoiwszy sobie metodę dyalektyczną,

---

[1]) Aleksander Tyszyński: „Pierwsze zasady krytyki powszechnej“ (Warsz. 1870, t. II, 155|6).

którą uznał za jedynie i bezwzględnie prawdziwą, z całym zapałem właściwym swemu rzutkiemu i pełnemu fantazyi umysłowi, zabrał się do rozpatrywania wszelkich nauk pod tym nowo zdobytym kątem widzenia. Najważniejsze wyniki filozofii niezadowoliły go, jak i innych myślicieli naszych. W dziełku p. t. „Prolegomena zur Historiosophie" (1838 r., Berlin, „Wstęp do filozofii historyi") wypowiedział zdanie, że filozofia myśli już się na Heglu właściwie skończyła, a musi się rozpacząć nowe stadyum rozwoju: filozofia woli. Przez dziesięć lat potem zajmował się przeważnie zagadnieniami ekonomicznemi i społecznemi (pisząc po francusku i po polsku) i dopiero w r. 1848 wrócił na pole historyozofii, ogłaszając I-szy tom największego swego utworu: „Ojcze-nasz" (dalsze tomy, podobno opracowane przez autora, dotąd nie wyszły), gdzie rozwinął myśli, jakie jego zdaniem w Modlitwie Pańskiej od wieków tkwiły, lecz należycie nie były rozumiane. W całej przeszłości dziejowej dostrzega Cieszkowski dwie tylko epoki: przed i po-Chrystusową; mają się one do siebie jak twierdzenie do przeczenia; trzecia zaś epoka, mająca być skojarzeniem dwu poprzednich, ukaże się dopiero w przyszłości. W pierwszej epoce natura panowała nad duchem; w drugiej duch przemagał nad naturą, ale jej nie pokonał i od czasów rewolucyi francuskiej w najstraszniejszych targa się udręczeniach. W trzeciej epoce ludzkość ukoi dotychczasowe swe szamotania się, przekroczy przebyte po kolei wschody, wejdzie do świątyni „prawdziwego ducha", rozgości się jak u siebie, jak u wielkiego celu długiej wędrówki. Ale nie spocznie wcale; użyje dopiero tego wszystkiego, co dotąd przeżyła, uładzi wszystkie skarby w wędrówce swej pojedyńczo odkrywane, wszystkie zasoby na kolejnych stanowiskach zbierane, a po kolejnych wschodach mozolnie dźwigane". Rezygnacya nie jest ostatniem słowem ducha, lecz w samym człowieku tkwi dalsza i wyższa

potęga, zbawić go mająca, zdolna skojarzyć nanowo, co się rozdzieliło. Tą potęgą jest *wola*. „Ona czucie z wiedzą kojarzy i zaślubia z myślą byt, a z małżeństwa tego rodzi się czyn, trzeci świata pan... Jak kamieniem węgielnym pierwszego był *byt*, *zmysł*, *wrodzony zakon natury*, i jak znowu kamieniem węgielnym drugiego świata była *myśl*, *wiara*, *zakon kościelny*: tak węgielnym kamieniem trzeciego świata jest *czyn*, *wolne dzieło ducha*, *zakon woli i wolność*. W tej epoce trzeciej, którą biblijnie nazwał epoką Ducha ś. (jak Wroński) najważniejszą rolę odegrają Słowianie. Cóż ich uprawnia do tego? „Ich rodzime skłonności i obyczaje, ich pierwiastkowe prawa i podania, ich przygotowawcze cierpienia i zasługi. Bo jak w pierwiastkach germańskich średniowieczne, tak w pierwiastkach słowiańskich nowowieczne losy zapisał Sam Bóg... Szczep, do nowej sprawy powołany, już z natury nie swawolny, ale wolny, nie walczący, ale waleczny, do boju zawsze gotów, ale nie łaknący tego... Ani zbrojny, ani rozbojny, ani awanturniczy, ani koczujący; ale owszem pobożny i spokojny, dobrowolny i gościnny, wesoły i śpiewny, w domu zamiłowany a do ziemi nad wyraz przywiązany, nie tratujący po jej plonach, ani też pracą około niej gardzący, ale owszem rodzimym obyczajem sam ją piastujący i uprawiający,—wolał on zawżdy utajone w swej roli dobywać dostatki, niżeli zdobywać je na obcych, lub cudzą przymuszoną pracą ich sobie przysparzać. Albowiem miłość chrześcijańską dotąd prywatną zamienić na *publiczną* i takową do potęgi podniesioną jeszcze od ludzi do ludów przenieść jest przeznaczeniem jego“. Nadzieje te, jak wiadomo, nie spełniły się dotychczas, ale Cieszkowski zasadniczych przekonań nie zmienił i później. W „Drogach ducha“ (1863) innym jeno tonem przemówił: dawniej żywo i obrazowo, gorąco i namiętnie, tu poważnie, spokojnie i uroczyście, jak mędrzec wypowiadający zwięźle treść długich rozmyślań. Mamy tu wywód

o potrzebie harmonijnego złączenia potęg duchowych: uczucia, myśli i woli, o tożsamości myśli i bytu, *dokonywanej* przez urzeczywistnienie idei za pomocą czynów, o spływie wszystkich pomysłów, pragnień i dążeń w *pięknie*, w życiu społecznem urządzonem na zasadzie sprawiedliwości. W życiu bowiem „skupiają się wszelkie drogi ducha, nie wyłączając się, nie ubliżając sobie nawzajem; owszem każda zosobna właściwy sobie kierunek i szczytne przeznaczenie znajduje". Życie ogarnia „wszelkie sztuki, nauki i instytucye społeczne jako niezbędne żywioły własnego istnienia; a więc nie na to oczywiście, żeby im uwłaczać, albo żeby je przygnębiać, ale na to, żeby poślubiać między sobą i rozwielbiać w sobie, coby w prywacie lub rozpuście marniało; a wpływem i ustawicznem współdziałaniem tych potęg duchowych własną wolność ustawicznie dźwigać, zasilać, rozwijać, uszlachetniać". W tych słowach mieści się wyraz doskonały dążności naszej filozofii idealistycznej w jej różnicy od niemieckiej: powołanie do czynu, do przekroczenia krainy idei oderwanej dla znalezienia się w szerokiej dziedzinie pracy społecznej z celem jej podniesienia i udoskonalenia. Taki charakter filozofii tłomaczy jej związek z poezyą owoczesną, rozwijającą również zadania społeczne i powołującą do czynu.

IX,

Przy całem atoli oddaniu się zagadnieniom dążeniom społecznym, ani filozofia ani poezya nie myślała bynajmniej roztapiać *indywidualności* w toniach bezosobowego ogółu; owszem podnosiła i rozwijała ją z wielkim naciskiem. Można powiedzieć, iż ewangelią owoczesną były słowa Brodzińskiego, zawarte w „Posłaniu do braci": „Każdy niech ma pragnienie

i wiarę, iż Bóg obrać go może za narzędzie ku zbawieniu ludu; niech się w pokorze ducha sposobi, bo na każdego łaska spaść może". Miała taka zasada bardzo ujemne swe strony, zwłaszcza gdy się zapominało „o pokorze ducha;" ale w sercach szlachetnych wywoływała ona gotowość ofiary i była pobudką do dzieł wielkich. Rozdmuchiwanie w sobie utajonego bóstwa według Trentowskiego, prowadziło nieraz do ubóstwienia siebie, lecz przyczyniało się także często do pracy nad sobą, do ubiegania się o doskonałość. Wszyscy nasi wielcy poeci byli indywidualistami i subjektywistami, ale umieli godzić swe prawa jednostkowe z prawami i celami życia narodowego, nie popadali w rozdźwięk ze społeczeństwem; tak samo jak i filozofowie.

X.

Co do środków artystycznych, używanych w tej dobie, to pierwszorzędni poeci zaprzestali zupełnie posługiwać się naiwnymi pomysłami fantazyi ludowej, a używając świata duchów z zakresu pojęć religijnych, nadawali mu symboliczne i allegoryczne znaczenie. Tylko podrzędniejsi twórcy idą za pierwotnym przykładem Mickiewicza i wyobrażenia ludowe o zaświatowości wprowadzają do swoich pomysłów. Sam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" daje pierwszy u nas wzór *realistycznego* traktowania wątku poetycznego, z całkowitem odrzuceniem przyborów romantycznych; ale za tym wzorem narazie nikt nie poszedł w poezyi, a jeżeli w „gawędach" owoczesnych znajduje się ten sam pierwiastek, to powstał on niezależnie od „Pana Tadeusza".

W powieściopisarstwie natomiast i w przeważnej części dramatów pierwiastek realistyczny zyskuje sobie uznanie bardzo rychło, zwłaszcza, że już w po-

przednim okresie skłonności twórców w tym kierunku się przejawiały. Powieściopisarze nasi znali wszystkie odcienie owoczesnego romansopisarstwa francuskiego: odcień realistyczny Balzaca, psycholigiczny Beyle'a (Stendhala), awanturniczy Dumasa-ojca, społeczny Sue'go i Sanda, ale zazwyczaj nie wstępowali w ich ślady, zapatrując się raczej na wzory angielskie, mianowicie Dickensa. Ani dokładność i ścisłość umyślnie robionych studyów, ani głębia i subtelność psychologicznej analizy, ani misterne zadzierzganie intrygi, ani wreszcie jaskrawe malowidło ran społecznych nie wypełniają przeważnej części naszych powieści. Są one tylko obrazem życia towarzyskiego w sferze szlacheckiej (wraz z poetami i artystami), częścią chłopskiej, najmniej mieszczańskiej, obrazem nakreślonym na podstawie powszednich, w dłuższym lub któtszym przeciągu czasu robionych obserwacyj. Intryga stanowiła w nich czynnik podrzędny. Wyjątkowo tylko wzorowano się na powieści francuskiej; robili to autorowie podrzędni.

Dramatopisarstwo wyswobodziło się całkowicie teraz od więzów poetyki francuskiej; zaniechano jedności miejsca i czasu; arcydzieła jednak nie stworzono, jedne twory, genialne nieraz, nie liczyły się z warunkami scenicznemi, a te, co im odpowiadały, nie miały zwykle polotu poetyckiego, ani też ważnych wstrząsających tematów. Wzorem głównym był Szekspir, częściowo Kalderon lub Wiktor Hugo. W komedyi dokonała się wielce doniosła zmiana typów na charaktery indywidualne, pod wpływem komedyopisarzy francuskich: Beaumarchais'go, Scribe'a i Aleksandra Dumasa ojca. Cechy osobnika przestały być tak wybitne i jaskrawe, jak w typie; bo trzeba było ukazać całego człowieka, nie tylko tę jego stronę, którą komedya miała wyzyskać; a cały człowiek ma w sobie nie samą jedynie namiętność zasadniczą, lecz wiele, bardzo wiele podrzędnych. Otóż dać poznać te inne strony, a nie uszko-

dzić komizmu, który z cechy zasadniczej wypływa: to wielkie i bardzo trudne zadanie, znacznie trudniejsze, aniżeli przedstawienie typowych skąpców, zrzędów, smakoszów, oszukiwanych mężów i t. d. Działanie takich charakterów musi być dobrze umotywowane, a wszystkie sytuacye—prawdopodobne. Subtelność w rysunku osób i położeń nie może już zazwyczaj wywołać szerokiego śmiechu, ale budzi uśmiech ironii lub zadowolenia. Dykcya musi być zastosowana do temperamentu, stopnia wykształcenia i nawyknień osób, w skład komedyi wchodzących. Trudności te sprawiły, że równie dobrych komedyj charakteru, jak były komedye typów Fredry, nie otrzymaliśmy, ale usiłowanie stworzenia ich zasługuje na uznanie.

XI.

Nauki specyalne ani w części nie przedstawiają tak świetnego rozwoju jak poezya lub filozofia. Historya tylko ma jednego znakomitego przedstawiciela w Lelewelu. W innych działach wiedzy są sumienni badacze szczegółów, są autorowie mniej lub więcej zadawalających podręczników, ale umysłów, któreby się mogły równać ze Śniadeckimi np. niema wcale. To strona ujemna tego okresu.

Jego przebieg opowiem w dwu działach; warunki bowiem rozwoju literatury inne były na wychodztwie, inne w kraju. Świetna twórczość na wychodztwie stanowiła jakby świąteczną karm' duchową; twórczość w kraju blada, anemiczna, dawała chleb powszedni.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Literatura na wychodztwie.

I.

Po upadku powstania listopadowego znaczna liczba ziomków naszych, starszych i młodszych, znalazła się za granicami kraju, a szczególniej w Paryżu i we Francyi wogóle. Jeden wspólny ideał—przyświecał im wszystkim, ale na środki urzeczywistnienia go zapatrywano się rozmaicie. Już od końca XVIII wieku wytworzyły się dwa wyraźne stronnictwa, arystokratyczne i demokratyczne; w ciągu roku 1830/31 wzmogły się ich tendencye, gdy klubiści żądali przedewszystkiem wyzwolenia ludu wiejskiego, zachowawcy odkładali tę sprawę na później [1]) i wierzyli głównie w skuteczność zabiegów dyplomatycznych. Przeciwieństwo to na wychodztwie spotęgowało się jeszcze bardziej, zarówno z powodu wzajemnych oskarżeń o sprowadzenie klęski, jako też z powodu oddziaływania atmosfery duchowej w Paryżu, przesiąkniętej najróżnorodniejszymi, a z wielkim, zgiełkliwym zapałem roztrząsanymi planami reformy społeczno-politycznej. Powstały między wychodźcami spory, kłótnie, pojedynki, a rząd francuski kazał znacznej ich części opuścić stolicę i zamieszkać na prowincyi, w tak zwanych „zakładach“ *(dépôts)*. To jednak rozproszenie wychodztwa nie położyło tamy przeciwieństwom, owszem uświadomiło je i uczyniło zaciętszemi, choć w formie mniej gwałtownemi. Pewną organizacyę nadało sobie najpierw „Towarzystwo demokratyczne“, założone 4 marca r. 1832 z ha-

---

[1]) Zob. namiętnie pisane przez *Ignacego Stawiarskiego* dwa „Listy o ziemianach i włościanach“. (Warszawa, 1831), mające na celu wykazanie konieczności utrzymania „pańszczyzny“

słem „wszystko dla ludu przez lud". W swoich wywodach powoływało się ono na zasady rewolucyi francuskiej z r. 1789, lecz rozwijało właściwie to tylko, co przedtem jeszcze u nas Staszic głosił; żądało bowiem przedewszystkiem i głównie uwłaszczenia ludu i zniesienia wszelkich przywilejów. Każda własność jest wynikiem pracy; a więc i ziemia, uprawiana przez wieśniaków, do nich należeć powinna. Wspólności ziemi nie przyjmowało „Towarzystwo," gdyż obok zasady społecznej uznawało prawa jednostki; było więc przeciwnem dążeniu komunistów. „Każdy człowiek—powiadano—bez żadnego wyjątku, dwa ma główne uczucia, które są wszystkich jego działań sprężyną: miłość siebie samego i miłość ludzkości. Różnica, jaką między ludźmi dostrzegamy, jest tylko w mniejszem lub większem uczuć tych natężeniu. Niema takiego zbrodniarza, któryby z miłości dla drugich mógł zupełnie ogołocić się, ani człowieka, zupełną z siebie samego abnegacyę uczynić zdolnego. Gdyby człowiek mógł się pozbyć tego, co w nim jest wielkiem, pięknem, szlachetnem, dobrem, przestałby być człowiekiem, zstąpiłby do rzędu zwierząt; tak jak człowiek, z miłości siebie samego ogołocony, nadludzką stałby się istotą. Poświęceniem lub egoizmem, do tego stopnia posuniętemi, iż drugi pierwiastek do zupełnej nieczynności jest przyprowadzony, można żyć chwilę, nie można żyć całe życie. Zupełne poświęcenie się dla dobra drugich i zupełne zamknięcie się w sobie samym; nadludzka cnota i nadludzkie znikczemnienie są to dwie ostateczności natury ludzkiej. Na ostatecznościach nic budować nie można. Natura ludzka jest i musi być razem socyalną i indywidualną. Normalny stan człowieka powinien być równowagą, harmonią uczuć miłości siebie samego i miłości drugich, czyli, co jedno jest, jego praw i powinności." Wśród masy szlachty spodziewało się Towarzystwo znaleźć „znakomitą liczbę indywiduów, do zupełnego poświęcenia zdolnych," to

jest gotowych do zrzeczenia się części posiadanej przez siebie ziemi na rzecz ludu wiejskiego; ale szlachtę jako „stan“ uważało za samolubną, co dobrowolnie ani piędzi ziemi chłopu nie odda. Stąd też na pierwszem miejscu kładąc środki rozumowe i uczuciowe, mogące pobudzić do „powrócenia *wydartych* praw ludowi“, groziło towarzystwo, że „gdyby lud musiał być surowym sędzią przeszłości, mścicielem wyrządzonej sobie krzywdy i wykonawcą niecofnionych wyroków czasu“, to „dla garstki uprzywilejowanych“ nie poświęci szczęścia milionów, a „przelana krew bratnia spadnie tylko na głowy tych, co w zapamiętaniu własny egoizm nad wspólne dobro... przeniosą“... Skład zasad swoich sformułowało ostatecznie i ogłosiło Towarzystwo w r. 1836, a szczegóły, nasunięte przez dyskusye w łonie Towarzystwa, lub okoliczności zewnętrzne, rozwijało w swoich „Okólnikach“, oraz w szeregu czasopism, mniej lub więcej trwałych. Wydawnictwem polityczno-naukowem był „Pamiętnik Towarzystwa“ pod redakcyą *Teofila Wiśniowskiego* († 1847), — polemicznem „Demokrata polski“ od czerwca r. 1837 do 1862 pod zmieniającą się redakcyą, to w Poitiers, to w Paryżu, to w Brukseli, to wreszcie w Londynie;—polityczno-literackiem: „Noworocznik demokratyczny“ (1842, 1843, Paryż);—historycznem: „Przegląd dziejów polskich“ (1837 — 1844 Poitiers i Paryż) pod redakcyą *Jana Nepomucena Janowskiego* i *Wiktora Heltmana*, satyryczne: „Pszonka“ (1839 — 1844) pod redakcyą *Leona Zienkowicza* (1808 † 1870) najprzód w Strasburgu, potem w Paryżu. Zdolnych publicystów, umiejących jasno i dobitnie, czasami obrazowo lub dowcipnie wypowiedzieć zasady demokratyczne i bronić ich nie brakowało Towarzystwu. Do najgłośniejszych należą:

Wiktor Heltman (1796 † 1874) odznaczył się już przed r. 1831 jako wydawca i redaktor liberalnej „Dekady Polskiej“ (1821, Warszawa); na wychodz-

twie on głównie formułował odezwy Towarzystwa, on był najczynniejszym spółpracownikiem wszystkich czasopism przez nie wydawanych, zarówno pod względem teoretycznym i historycznym, jak i polemicznym. Ważniejsze swoje z tych czasopism artykuły zebrał w książce p. n. „Demokracya polska na emigracyi“ (1866, Lipsk).

Jan Alcyato († 1855) prócz rozpraw pomieszczonych w czasopismach, ogłosił w r. 1849: „Rzecz o rozumie stanu w Polsce“, gdzie wychodząc z założenia, że „każdy naród i państwo ma szczególną przyczynę bytu i szczególne przeznaczenie, które jego początkiem, położeniem między innymi narodami i państwami jest zakreślone,“ starał się wykazać znaczenie i doniosłość zasad wolności demokratycznej, rozwijanej stopniowo w dziejach naszego narodu, wywodząc stąd prawo jego do przewodniczenia dziś innym w postępowym rozwoju.

Ludwik Mierosławski (1813 † 1878), śmiałością i bezwzględnością swoich sądów, drastycznością poruszanych szczegółów, bombastycznością stylu, mnóstwem wyszukanych, nieraz trafnych porównań i przenośni upiększonego, porywał umysły młodzieży, a fachowemi wiadomościami w dziale sztuki wojskowej zyskiwał uznanie starszych; przez długi czas uchodził za wielkiego wodza, niemal ubóstwianego, póki się nie przekonano, że bylto wielki samochwalca i samolub. Pisał po polsku i po francusku; swoją trzytomową „Histoire de la révolution de Pologne“ zwrócił na siebie uwagę; a jej obszernem obrobieniem w języku polskim: „Powstanie narodu polskiego“ (8 tomów, 1845—81), bystrą krytyką działań wojennych wywołał pochwały specyalistów. Próbował także sił swoich w wierszu, najdrastyczniejsze wybierając temata („Szuja“ 1835, „Żelazna Maryna“ 1836, i in.), ale obudziwszy chwilowe jeno zajęcie, nie robił prób dalszych, i później napisał jeszcze tylko po-

wieść po francusku: „La tache de Caïn“ (1841, „Piętno Kaina“).

Henryk Kamieński (1812 † 1865) najobszerniej rozwinął zasady demokratyczne, czyniąc je podwalinami przyszłej „wojny ludowej“, w ogłoszonej pod pseudonimem *Filareta Prawdoskiego* książce: „O prawdach żywotnych narodu polskiego“ (1844, Bruksella). Pragnął on zgodnego działania szlachty i ludu, ale uprzywilejowanym, uparcie przeciw uwłaszczeniu chłopów występującym, groził zagładą. Niesłusznie jednak uważali go niektórzy za podżegacza do rzezi szlachty. Drugiem jego dziełem, mającem w swoim czasie rozgłos znaczny, była: „Filozofia ekonomii materyalnej ludzkiego społeczeństwa“ (1843 — 45, Poznań), w której wyniósł ludzkość „tworzącą“ do godności „absolutu“, tworzącą, bo ten tylko istnieje, kto tworzy. Według autora świat materyalny jest tylko narzędziem biernem ludzkiej duchowości. Rozwój bytu indywidualnego czyli życia człowieka nie zamyka się w nim samym, ale zajmuje powszechność ludzkiego bytu. Człowiek żyje duchowo z innych i w innych, jako istota „pojmowalno-twórcza.“ Tem doskonalej człowiek żyje i godność swoją wznosi, im dzielniej własną siłą tworzy w warunkach powszechnego postępu [1]).

Z innych publicystów Towarzystwa demokratycznego odznaczyli się: *Wojciech Darasz* (1808 † 1852) *Jan Nepomucen Janowski* (1803 † 1888), *Jan Kanty Podolecki* († 1855).

II.

Stronnictwo arystokratyczne skupiało się około księcia Adama Czartoryskiego, a kiedy od r. 1837

---

[1]) Karol Libelt: „Kwestya żywotna filozofii“, stronice 167—176.

myśleć zaczęło o królewskiej dla niego koronie, przezwane zostało monarchicznem lub dynastycznem i wtedy w oczach ogółu wielce się ośmieszyło. Nadzieje jego spoczywały na interwencyi dyplomatycznej; Czartoryski bowiem z powodu swego dawniejszego stanowiska zachował liczne z dworami europejskimi stosunki. Ta strona działalności stronnictwa pochłaniała wiele pieniędzy, a wyniku nie przynosiła żadnego. Ważniejszą była strona wewnętrzna, polegająca na utrzymaniu świadomości narodowej wśród wychodźców, na zapewnieniu jakiejś pomocy na starość i wychowaniu rodzących się na obczyznie dzieci polskich. Założenie tedy „Towarzystwa pomocy naukowej,“ „Towarzystwa historyczno-literackiego“, instytucyi „Czci i chleba“, Szkoły polskiej — są istotnemi zasługami tego stronnictwa. Pod względem piśmienniczym największe znaczenie miało „Towarzystwo historyczno-literackie“, istniejące w Paryżu do dziś dnia i mające doborową bibliotekę. Utworzono je 29 kwietnia 1832 roku pod nazwą „literackiego“ z celem zbierania i ogłaszania materyałów, tyczących się dawnej Polski, jej obecnego położenia lub pomyślności przyszłej, Z czasem charakter doraźnego oddziaływania na opinię Europy pogłębił się; utworzono nowe wydziały: statystyczny i historyczny i postanowiono gromadzić wszelkie dokumenty, objaśniające przeszłość, ogłaszać konkursy na opracowanie różnych kwestyj dziejowych, dawać nagrody za dzieła historyczne, wyróżniające się swemi zaletami z szeregu innych. I zadania te wedle możności sumiennie spełniało.

Chociaż około Czartoryskiego grupowało się dużo ludzi majętnych i wpływowyeh, nie posiadało atoli stronnictwo jego wybitnych sił publicystycznych. Marnowało pieniądze na wydawnictwo po francusku czasopisma: „Le Polonais“ (1835, 1836), a nie umiało się zdobyć na organ, któryby z talentem walczył z „Towarzystwem demokratycznem.“ Co prawda, walka była bardzo trudna, gdyż zasady tego „Towa-

rzystwa“ cieszyły się uznaniem wśród ogółu emigracyi, tak że sami Czartoryszczycy nieraz przemawiali o potrzebie usamowolnienia ludu. Gdy więc przeciwko głównej idei niepodobna było występować, musiano poprzestawać na wytykaniu błędów i omyłek w sposobie szerzenia tej idei. Otóż w tym względzie publicystyka nie dopisywała stronnictwu arystokratycznemu. Pierwszy jego organ, „Kronika emigracyi polskiej” (1834 — 1838), redagowany kolejno przez *Ksawerego Bronikowskiego*, *Stanisława Kunatta*, *Karola Sienkiewicza* i *Karola Hoffmana* (męża Klementyny Tańskiej), była wprawdzie szacownym zbiorem wiadomości o wychodztwie i kraju, ale talentu dziennikarskiego, ani polemicznego w niej nie znaleźć. Podobnież redagowane przez *Janusza Woronicza* pismo „Kraj i Emigracya“ (1835 — 41), przez *Ludwika Orpiszewskiego* „Trzeci Maj“ (1839 — 48), przez *Władysława Platera* i *Feliksa Wrotnowskiego* „Dziennik Narodowy“ (1841 — 48) nie wykazały również żadnego wybitniejszego talentu publicystycznego i nie rozwijały żadnych nowych myśli, czy ich odcieni, coby silniej zainteresować mogły. Nie istniały one same przez się, lecz tylko dzięki zasiłkom swych możnych opiekunów.

III.

Po za temi dwoma wybitnemi stronnictwami, działały na wychodztwie drobne grupy lub potężne albo też ambitne i niesforne indywidualności, co nie chciały należeć do żadnego z nich, same tylko w swojem imieniu występując. Potężną indywidualnością był znany już nam MAURYCY MOCHNACKI, oddający się z całym żarem właściwym swej duszy politykowaniu i publicystyce. Do czasopisma „Pamiętnik emigracyi polskiej“, wydawanego przez serdecz-

nego swego przyjaciela, *Michała Podczaszyńskiego*, pisywał świetnie w duchu demokratycznym, ale nie łączył się z „Towarzystwem" tego imienia. Głównem atoli dziełem jego z tego okresu jest zamierzone na wielką skalę: „Powstanie narodu polskiego." Pisząc o wypadkach świeżo zaszłych, mógł on polegać na własnej pamięci, na opowiadaniach najbliższych przyjaciół, na szczupłej garstce ogłoszonych już wtedy dokumentów; o wszechstronnem i bezstronnem atoli przedstawieniu rzeczy nie mogło być mowy; dzieło musiało przybrać wyraźne cechy publicystyczne; ale te właśnie cechy nadały opowiadaniu, przy ogromnym talencie pisarskim, nadzwyczajną żywość i gorące zabarwienie. Nie jest to dzieło, na któremby dzisiaj bezpiecznie wiedzę swą historyczną oprzeć można było, ale jestto znakomity pod względem literackim utwór publicystyczny, obfitujący w wyborne charakterystyki i w plastyczne opisy, jakiemu równych niewiele w naszej literaturze liczymy; w sądach o ludziach i zdarzeniach znać nieraz uprzedzenie, ale uprzedzenie człowieka o niepospolitym darze spostrzegawczym i kombinacyjnym, o umyśle szerokim i umiejącym wnikać w tajniki charakterów i w przyczyny zaszłych wypadków. Styl jędrny, silny i krasomówczy bez fałszywej patetyczności nadaje niepożyte znaczenie temu utworowi. Nie dokończył go; a właściwie mówiąc rozpoczął go tylko, bo śmierć, wywołana nadzwyczajnemi wytężeniami ducha, przedwcześnie go r. 1834 od pracy oderwała.

Zupełnie innego rodzaju były dwie ambitne, warcholskie osobistości, co się krzykactwem głównie upamiętniły, robiąc dużo wkoło siebie hałasu.

Pierwszą z nich to *Józefat Bolesław Ostrowski* (1805 † 1871), pisujący także pod pseudonimem *Jana z Pobujan*. W Warszawie jeszcze nabrał pewnego rozgłosu swoją krytyką rozprawy Brodzińskiego „O egzaltacyi i entuzyazmie", w r. 1831 należał tamże do redakcyi „Nowej Polski;" na wychodztwie pod

tym samym tytułem wydawał maleńkie czasopismo od r. 1833 do 1843. Artykuły, tu i gdzieindziej pomieszczane, zwykle ostre, kostyczne, napastujące, zebrał w 5 tomowych „Badaniach krytyczno-historycznych i literackich“ (1863—70, Berlin). Wiedzy miał sporo, ale używał jej wykrętnie; niezawsze umiał jasno a poprawnie się wyrażać, choć się o polotność i błyskotliwość stylu ubiegał. Jest także jego rozprawka o „Hoene Wrońskim“ (1852, Poznań) i o „Ludwiku Mierosławskim“ (1862, Paryż).

Drugą z tych osobistości był *Jan Czyński* († 1867, żyd z urodzenia), autor mnóstwa broszur i książek, pisanych po polsku i po francusku, zwolennik i propagator reformy religijnej i społecznej, przemawiający za zniesieniem wszelkich przywilejów. Największy rozgłos miała jego pamfletowa powieść, wyprowadzająca na widownię osoby historyczne, p. t. „Jakobini polscy“ (1833, Paryż, także po francusku), gdzie nienawiść do kościoła katolickiego, do szlachty i do form ówcześnie istniejących w społeczeństwie, wyrażona została jaskrawiej, niż kiedykolwiek w literaturze naszej. Należał on do redakcyi krótkotrwałego czasopisma: „Postęp“ (1834).

IV.

I dziejopisarstwo zabarwiało się na wychodztwie ideami demokratycznemi lub monarchicznemi. Wszyscy demokraci wiedzę swą historyczną czerpali z pism JOACHIMA LELEWELA, który będąc członkiem rządu w r. 1831, nie zadawalał ani zachowawców, ani postępowców, a jednak cieszył się uznaniem wśród młodzieży nadzwyczajnem. Na wychodztwie był przez rok prezesem komitetu, zajmującego się sprawami całej emigracyi, wygłaszał mowy, pisał odezwy; ale także żadnemu stronnictwu nie dogodził,

owszem stał się przedmiotem jaskrawych potwarzy. Rząd francuski, uznając go za niebezpiecznego rewolucyonistę, kazał mu opuścić Paryż, a następnie i Francyę. Osiadł wówczas w Brukselli i żył tam jak pustelnik, potrzeby swoje materyalne ograniczywszy do miary jaknajszczuplejszej. Ponieważ biblioteka jego i wszystkie zapiski pozostały w Warszawie, nie mógł na razie oddawać się studyom nad dziejami ojczystemi. Skreśliwszy tedy, co mógł z pamięci napisać, a mianowicie dopełnienie swoich „Dziejów potocznym sposobem opowiedzianych", doprowadzające je do r. 1831, gdzie między innemi mówił o potrzebie wyzwolenia ludu wiejskiego „z pod jarzma przez zniesienie pańszczyzny i opatrzenie ziemską własnością, przez rozszerzanie oświaty, przez równy i zupełny udział obywatelstwa";—zwrócił się do badania przedmiotów, które go w młodości żywo zajmowały, do geografii i numizmatyki powszechnej, i zaczął pisać po francusku. Wywalczył sobie pracami temi zaszczytne stanowisko w nauce europejskiej. Jego „Numizmatyka wieków średnich („Numismatique du moyen-âge", 1835, Paryż), jak Geografia tychże stuleci („Géographie du moyen-âge", 1849—52), wraz z Atlasem, obejmującym 50 kart, rytowanych przez samego autora, lubo pod względem układu bałamutne, zawierają taką masę nowo przezeń odkrytych szczegółów i tyle bystrych poglądów, że zaliczono je do dzieł epokowych. — Od r. 1843 wrócił do dziejów ojczystych, poprawiał i dopełniał dawniejsze swoje prace, by je pomieścić w zbiorowem wydaniu p. t. „Polska, dzieje i rzeczy jej" (1854—1868, tomów 20) i pisał nowe. Z tych nowych najważniejsza jest rozprawa p. t. „Bolesława Śmiałego upadek," oraz „Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej", pierwotnie skreślone po francusku. W pierwszych trzech okresach do r. 1607, na które podzielił historyę naszą w tych „Uwagach", znajdujemy i podziwiamy „ogrom wiadomości, skrzętność w użytkowaniu z tekstów prawnych, by-

strość i głębokość spostrzeżeń nad losami wszystkich warstw społecznych.“ Są „braki w przedstawieniu strony ekonomicznej, aleź ta i dzisiaj dopiero idzie na warsztat naukowy i nieprędko zapewne doczekamy się kwintesencyi z inwentarzy, lustracyj i wszelkich gospodarczych obrachunków z uwzględnieniem przeobrażeń ekonomicznych starego i nowego świata“. Okres czwarty (1607 — 1795) jest słabiej obrobiony, ale i tu Lelewel pierwszy „torował sobie drogę wśród słabo oświetlonych ścieżek z godną podziwu intuicyą“ [1]). Demokratyczny pogląd uwydatnił się głównie w nastawaniu na potrzebę uwłaszczenia chłopów, w potępianiu haniebnych czynów arystokracyi i w nazwie formy rządu polskiego od r. 1374 „gminowładztwem szlacheckiem.“ Pisał i teraz, jak dawniej, zawile; wiedzę atoli historyczną u nas znacznie posunął naprzód.

Monarchiczne dążności widnieją głównie w pracach *Karola Hoffmann* (1798 † 1875), który także i jako publicysta w czasopismach stronnictwa arystokratycznego czynny brał udział. W ciągu dziejów naszych widział on dodatnie objawy wtedy, gdy władza monarchiczna była silna, ujemne — gdy słabła. Prócz artykułów i broszur publicystycznych, napisał gruntowną rozprawę „O zarządzie skarbu publicznego w dawnej Polsce“ (1839), „Obraz rządu i prawodawstwa dawnej Polski“ (1847—48 w „Przeglądzie poznańskim“) i „Historyę reform politycznych w dawnej Polsce“ (1867, Lipsk). Pisał jasno, niekiedy wymownie.

V.

Pod względem religijnym panowała na wychodztwie, ogólnie biorąc, obojętność, zwłaszcza wśród

---

[1]) Tadeusz Korzon: „Pogląd na działalność naukową J. Lelewela“ w „Kwartalniku historycznym“ 1897, str. 306.

młodszego pokolenia. Niektórzy, jak Jan Czyński, występowali wrogo przeciw kościołowi i przeciw duchowieństwu; po większej części o religii nie mówiono, a jeśli mówiono, to „jako o rzeczy już nie wiem jak dalekiej, jak dawno umarłej, jak głęboko pogrzebanej.“ Nic dziwnego; ojcami tego młodszego pokolenia byli w znacznej części wolnomularze, nauczycielami—wychowańcy „wieku oświeconego“, a przymus religijny, jaki w dobie ich kształcenia się między 1820 a 1830 rokiem w szkołach i uniwersytecie zaprowadzono (legitymowanie się z odbytej spowiedzi itp.), raczej oziębiał, niż rozgrzewał ich dziecinną pobożność, wszczepioną przez matki. Nastąpiło więc zobojętnienie, opierające się nie tyle na powodach rozumowych, ile na wykluczeniu zagadnień i spraw religijnych z zakresu kwestyj ważnych i doniosłych. W głębi dusz tkwiło jednak usposobienie religijne, wszczepione w dzieciństwie, a niektóre jednostki gotowe były przejąć się niem nawet gorąco, gdyby ktoś potrafił je rozdmuchać. Pierwszą pobudkę do zwrócenia serc i myśli ku dziedzinie religijnej dał na wychodztwie największy nasz wieszcz, Adam Mickiewicz. Zobaczymy niebawem jak w nim samym zwrot religijny nastąpił, tu jedynie zaznaczę, że z jego inicyatywy powstało w Paryżu pod koniec r. 1832 pisemko w duchu katolickim wydawane przez Litwina, byłego studenta uniwersytetu wileńskiego, potem księgarza w Paryżu, *Eustachego Januszkiewicza* († 1874) p. t. „Pielgrzym“ i że 19 grudnia 1834 r. zawiązało się, po przystąpieniu do spowiedzi i komunii, towarzystwo „Braci zjednoczonych“, którego akt, prócz inicyatora, podpisali: znany poeta-legionista Antoni Gorecki, Stefan Witwicki, Bohdan i Józef (brat przybrany Bohdana) Zalescy, i Cezary Plater. Wkrótce przyłączyli się do nich Ignacy Domejko i Bohdan Jański. Obowiązkiem stowarzyszonych było „modlić się codziennie za siebie, i bliźnich, za przyjaciół i nieprzyjaciół; przykazania boże słowy i uczynkami



Maurycy Mochnacki.

(Kopia z portretu Ordynacyi hr. Krasińskich).

wypełniać; przykładem swym do tego rodaków zachęcać i na drodze tej spólną siłą utrzymywać się.“ Z pomiędzy stowarzyszonych najgorliwiej zajmował się sprawami bractwa *Bohdan Jański* († 1840), dusza gorąca i namiętna. Utraciwszy w uniwersytecie wiarę, zaplątawszy się w stosunek miłosny, który mu w końcu przynosił same udręczenia, wysłany przez rząd w r. 1827 do Paryża dla przygotowania się na profesora w przyszłej szkole politechnicznej, przejął się uwielbieniem dla zasad uczniów Saint-Simona (zm. 1825), zapłonął myślą służenia ludzkości całej dla jej uszczęśliwienia, lecz po kilku latach, gdy saint simoniści rozproszyli się, ostygł dla idei kosmopolitycznych i znowu przechodził z jednego krańcowego nastroju do drugiego, bywał to „trzeźwym aż do obojętności“, to „mistykiem aż do obłędu ekstazy.“ Czytanie dzieł pisarzy francuskich, budzących uczucia religijne: Lamennais'go, Lacordaire'a, Gerbet'a i in., spółpracownictwo w „Pielgrzymie“, stosunek z liberalnym katolikiem, Karolem hr. Montalembertem, którego uczył po polsku, wpływ osobisty Mickiewicza, czytanie pism teozofa XVIII wieku Saint Martin'a († 1803), zwróciły go stanowczo do katolicyzmu w r. 1834. W mieszkaniu swojem utworzył r. 1836 „klasztorek,“ w którym młodzi wychodźcy, czujący jakiś niepokój sumienia i pragnący pociech religijnych, znajdowali przytułek i pociechę. Z klasztorku tego wyszli dwaj mężowie, co następnie stali się założycielami nowego zakonu „Zmartwychwstańców“, a byli poprzednio zapalonymi demagogami i niedowiarkami. I na nich najpierw oddziałał Mickiewicz, ale utwierdził ich w uczuciach religijnych Jański. Mężami tymi byli: Piotr Semenenko i Hieronim Kajsiewicz. Nie będę tu kreślił dziejów wytworzenia się myśli o nowym zakonie, przeszkód w jego utworzeniu, ani szczegółów jego działalności [1]); dość powiedzieć, że twórcy jego zało-

[1]) Ks. Paweł Smolikowski: „Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego”, 1895.

żyli sobie pracować nad odrodzeniem katolicyzmu w duszach wychodźców i że w tym względzie jeden działał jako filozof, drugi jako kaznodzieja.

Piotr Semenenko (1814 † 1886), urodzony w Pińsku, zaledwie wszedłszy do uniwersytetu wileńskiego w r. 1830, został od nauk oderwany; w wojsku wiara się jego zachwiała, pod wpływem jakiegoś oficera, wychowańca uniwersytetu warszawskiego; na wychodztwie należał do pierwszych członków „Towarzystwa demokratycznego," gwałtownemi mowami i wierszami zwracając na siebie uwagę. Pod wpływem najprzód Mickiewicza, potem Jańskiego, zwrócił się do uczuć religijnych; wyświęcony na księdza w Rzymie 1841 roku, stał się dzielnym szermierzem wiary, pisał dużo po polsku, po francusku i po łacinie, zwalczając nauki niezgodne z wiarą katolicką, szczególniej wszelkie doktryny mistyczne. Z licznych jego pism najważniejsze są: „Prawda o kościele bożym" (1843), „O magnetyzmie" (1850), „O magii, a w szczególności o stolikach" (1857), „Biesiady filozoficzne" (1858).

Hieronim Kajsiewicz (1812 † 1873), rodem z Augustowskiego, wyższe nauki pobierał w uniwersytecie warszawskim, uczestniczył w wypadkach r. 1831, na wychodztwie wydał „Sonety" (1833), szorstkie, wielkiemi pretensyami dyszące; mniej zajadły był w swojej nienawiści do szlachty, niż Semenenko, niemniej jednak od niego daleki od uczuć religijnych. Z czasem pod działaniem uwag Mickiewicza i przykładu Jańskiego, zmienił swe poglądy; stał się religijnym, otrzymał święcenia kapłańskie i wystąpił od r. 1843 jako kaznodzieja polski w Paryżu, wymownem słowem nawołujący spółbraci do katolicyzmu, ostro nieraz potępiający działania wychodztwa, choć uczuciami narodowymi nawskroś przejęty. Liczne jego kazania i mowy częściowo skupione zostały w 3 tomowym zbiorze „Pism" (1870—1872), Berlin, Kraków). Nazwano go największym kaznodzieją naszym XIX wie-

ku; może takim był w mowie; jako pisarz atoli nie przewyższył Woronicza.

Obok tego ruchu ściśle katolickiego, ważny wpływ wywarł na umysły genialne *mistycyzm*, mówiący o bezpośrednim związku ze światem duchów, o natchnieniach i widzeniach, z tego świata otrzymywanych. Marzenia o nowym „wybuchu chrystyanizmu“, o nowej jego fazie, mającej zastosować zasady moralności do życia publicznego, pojawiały się już niejednokrotnie w dziejach. Nietylko Emanuel Swedenborg, mistyk szwedzki z pierwszej połowy XVIII wieku, mówił o „trzeciej epoce“ życia ludzkości, w której Duch św. po Ojcu i Synu miał swe panowanie rozpostrzeć i nowy kościół „miłości“, kościół św. Jana założyć; ale nawet tacy katolicy, jak Józef de Maistre, prawili o „objawieniu objawienia.“ U nas *Andrzej Towiański* (1799 † 1876), zapoznawszy się z doświadczeniami magnetyzmu zwierzęcego i z teoryami mistycznemi, podał się za zwiastuna nowej epoki chrześcijańskiej, nie zrywając zresztą wyraźnie z katolicyzmem. Był to charakter, umiejący oddziaływać skupioną swą wolą na inne osobistości, a chociaż wcale się nie odznaczał nauką, potrafił wzniecić wielkie o sobie wyobrażenie w zwolennikach swoich. Liczba jego wyznawców była bardzo szczupła, lecz należały do niej największe i najszlachetniejsze dusze. Pismo jego „Biesiada”, (1843) mętne pod względem treści, liche pod względem formy, uznali oni za skarb prawd najwznioślejszych i całą potęgą swego talentu starali się je szerzyć.

VI.

Na poezyę naszą tego okresu wszystkie tu wymienione czynniki oddziaływały mniej lub więcej silnie. Obraz jej rozpocznę, jak naturalna, od najwięk-

szego poety, kiedy ten w dnia 27 maja 1829 r. opuścił Petersburg.

Łatwo sobie wyobrazić radość, z jaką 31-letni MICKIEWICZ wsiadał na okręt, by popłynąć na Zachód, gdzie mógł swobodnie odetchnąć „piersiami całemi“, jak jego Farys. Ściśle wytkniętego planu podróży nie miał, a że zaopatrzony był dostatecznie w pieniądze, nic mu nie przeszkadzało rozporządzać dowolnie kierunkiem jazdy i dłuższym pobytem w obranej miejscowości. Wszystkich szczegółów kilkomiesięcznego przenoszenia się z jednej okolicy w drugą nie będę tu roztaczał; poprzestanę na kilku punktach najważniejszych.

Wysiadłszy z okrętu w Travemünde, udał się na Lubekę i Hamburg do Berlina, którego uniwersytet słynął naówczas szczególniej z wykładów filozofa Hegla i historyka Gansa, a przez to ściągał do siebie mnóstwo młodzieży polskiej, zwłaszcza z W. Ks. Poznańskiego. Poznany przez nią według portretu, zamieszczonego przy paryskiem wydaniu jego poezyj, przyjmowany był nadzwyczaj serdecznie, ugaszczany, opiewany. Wysłuchawszy dwugodzinnego wykładu Hegla o różnicy między pojęciami: *Verstand* i *Vernunft* (rozsądek i rozum), ten tylko wyciągnął wniosek, że mąż, który z takim mozołem gęga (Hegel nie był wcale krasomówcą) i tak długo się męczy, aby znaczenie dwu wyrazów wytłómaczyć, chyba sam siebie nie rozumie. Niezadowolenia swego w tejm ierze nie popierał rozumowymi dowodami, gdyż filozofię wogóle, a niemiecką w szczególności, znał tylko powierzchownie; w uniwersytecie wileńskim słuchał jedynie wykładów logiki ks. Anioła Dowgirda, potem zaś czytał dorywczo jakieś rozprawy Kanta i Schellinga; do systematycznych jednak studyów nie zabrał się wcale; w Berlinie więc mówił o filozofii ze stanowiska uczucia głównie i zwykłego rozsądku praktycznego; zamiast wykazywać mylność logiczną pewnych twierdzeń i poglądów, zarzucał filozofom brak odwa-

gi lub brak poświęcenia. Tego rodzaju „dowody“ nie mogły oczywiście przemówić do przekonania młodych wielbicieli Hegla, pomiędzy którymi znajdowali się wtedy tacy ludzie, jak Karol Libelt; musiano zaprzestać sporu, nie prowadzącego do żadnych wyników, prócz wzajemnego rozdrażnienia; zapoznano natomiast poetę z Gansem. Z tym profesorem zrozumiał się nasz poeta lepiej, a nawet w rozmowie rzucił kilka nowych na Rosyę poglądów, które Gans natychmiast zużytkował, wykładając o traktacie wiedeńskim i „stu dniach“ Napoleońskich po wydobyciu się z Elby, przyczem wobec słuchaczów swoich bardzo zaszczytnie wspomniał o Mickiewiczu, jako jedynym, coby zdołał w świetnej epopei czyny bohatera wieku wyśpiewać. Ten epizod, jak i kilka improwizacyj, wypowiedzianych przez Mickiewicza na zebraniach, a przyjętych z zapałem, zatarły w duszach młodzieży przykre wrażenie starcia z powodu filozofii.

Pożegnany serdecznie po miesięcznym pobycie w Berlinie, ruszył do Drezna, odbył wycieczkę do Saskiej Szwajcaryi, był w Pradze, gdzie się zapoznał z patryotą i wpływowym pisarzem czeskim, Wacławem Hanką, który go zaznajomił z odrodzoną literaturą swego narodu i zachęcał gorąco do wzięcia bohatera wojen husyckich, Żyżki, za przedmiot przyszłego poematu. W Karlsbadzie pił wody i doczekał się przyjazdu swego młodego naśladowcy, Antoniego Edwarda Odyńca, z którym jeszcze w Petersburgu o wspólną umówił się podróż. Odtąd wraz z nim przepędził 14 miesięcy, a towarzysz ten był mu wielce pomocny, gdyż zajął się wszystkimi drobiazgami potrzeb codziennych. Najbliższym celem po wyjeździe z Karlsbadu było złożenie hołdu największemu poecie niemieckiemu, Goethemu, który 28-go Sierpnia 1829 roku miał w Weimarze obchodzić 80-tą rocznicę urodzin swoich. Goethe przyjął gości polskich uprzejmie i wedle swego stałego zwyczaju korzystał ze spotkania, ażeby się czegoś nauczyć.

Słuchał więc z zajęciem opowiadań Mickiewicza (w języku francuskim) o dziejowym rozwoju poezyi naszej od najdawniejszych do najnowszych czasów, o charakterze pieśni ludowych w rozmaitych kraju dzielnicach i t. p. Zauważył, że przy coraz wyraźniejszem dążeniu do prawdy ogólnej, poezya stawać się będzie coraz bardziej ogólno-ludzką; przystał wszakże na uwagę naszego piewcy, że nigdy cech odrębnych, narodowych nie straci. Rozmawiał potem o rzeczach potocznych; o Maryi Szymanowskiej, o Janie Potockim i księżnej Lubomirskiej, których widział przed laty. Po tem pierwszem posłuchaniu, lubo goście polscy bawili dwa tygodnie w Weimarze, nie zapraszał ich na poufne pogawędki; oddał ich w opiekę pań i tylko na obiedzie lub przy wieczerzy niekiedy z nimi się widywał. Wówczas zwykle rozmawiał z przybyłym do Weimaru uczonym belgijskim Queteletem lub rzeźbiarzem francuskim Davidem z Angers, poruszając zagadnienia przyrodnicze i artystyczne. Mickiewicz zachowywał się milcząco, czasami tylko dorzucił swe zdanie. Przy rozstaniu podróżni nasi otrzymali od Goethego złotobrzeżne kartki zapisane własnoręcznie jego wierszami, oraz dwa pióra odarte z pierza i staranne w kształcie iglicy cieńszym końcem w rozszczepiony środek złożone.

W poufalszych stosunkach zostawał Mickiewicz z kobiecem otoczeniem Goethego, to jest z jego synową Otylią, oraz paniami Vogel i Pappenheim. Swobodna jego, zaprawiona salonowym dowcipem rozmowa podobała się kobietom w wysokim stopniu, a zdolność hipnotyzerska, jakbyśmy dziś powiedzieli, przejęła je zdumieniem. Razu pewnego poprosił nasz poeta panie, zebrane na wieczorku u Otylii, ażeby najulubieńsze swe pierścionki na talerzu złożyły, a on odgadnie, który czyją jest własnością. Gdy po pewnem wzdraganiu się panie złożyły żądane pierścienie w liczbie kilkunastu, Mickiewicz powstał, wziął talerz i odszedł

na stronę. Rozmowa prawie całkiem zamilkła; starsi mężczyzni zbliżyli się ku paniom, nastąpiła chwila ogólnego oczekiwania. Poeta stał zdaleka od wszystkich, obrócony twarzą ku oknom i przeglądał przy lampie pierścionki. Nagle odwrócił się i szybko postąpił ku gronu kobiecemu; twarz jego była marmurowo blada, jak przy improwizacyach, wzrok skupiony w sobie. Odgadywanie udało się w zupełności i wywarło ogromne wrażenie.

Opuściwszy Weimar, odbyli podróżni nasi parodniową wycieczkę Renem, poczem skierowali się ku Szwajcaryi. W miejscowości alpejskiej, w Splügen, skreślił Mickiewicz pierwszy wiersz od czasu wyjazdu z Petersburga, a wiersz ten był jakby ostatniem poetyckiem wspomnieniem pierwszej miłości, towarzyszącem mu wszędzie:

Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoją widzieć lękam się i żądam...

Przesunąwszy się tylko tym razem przez Szwajcaryę, zabawili nieco dłużej dopiero w Medyolanie, Wenecyi i Florencyi. Poeta odwiedzał po drodze nielicznych znajomych lub też sławnych ludzi, pośpiesznym krokiem przebiegał kościoły, muzea, galerye, pobieżnie spoglądał na znakomitsze budowle; o tem zaś, co widział, nie tylko nie rozprawiał szeroko, ale nawet krótkiego zdania zazwyczaj nie wygłaszał. Natomiast lubił zawiązywać rozmowy ze spotkanemi w drodze osobami; przyglądał się pilnie naturze, więcej znajdował upodobania w objawach życia, niż w artyzmie.

Za przybyciem do Rzymu (18 listopada 1829 roku) chciał początkowo poświęcić się studyom krytycznym, zaczął czytać Liwiusza, opowiadającego

o świetnej przeszłości Rzymu, prosił znajomych w kraju o przysłanie materyałów biograficznych dla skreślenia kilku wizerunków literackich; — zamiary te wszakże rozbiły się niebawem o powaby życia towarzyskiego, którym oprzeć się nie mógł, jakkolwiek w chwilach zastanowienia czuł pustkę w duszy, i tęsknił za ojczyzną, skarżąc się na „moralne osamotnienie". Być może, iż w rozrywkach zewnętrznych szukał zapomnienia smutków, trawiących serce.

Były w Rzymie głównie trzy ogniska, dla poety naszego przyjazne, w których gromadziło się dobrane towarzystwo.

Dawna znajoma z Moskwy, księżna Zeneida Wołkońska, przybywszy do stolicy katolicyzmu, częścią dla wykształcenia synów, częścią z sympatyi dla obrządku rzymskiego, otworzyła swój dom nie tylko dla rodaków, ale też dla wszystkich poetów, artystów, jak nie mniej dla arystokracyi włoskiej. Tu spotkać było można oprócz rzeszy artystycznej, sporo dyplomatów, wojskowych, księżn i książąt. Dom ten atoli mniej ku sobie pociągał Mickiewicza, chociaż tu poznał osobiście rodzinę Napoleona, a zwłaszcza Hieronimua Bonapartego, któremu dzieckiem przypatrywał się w Nowogródku.

Drugiem ogniskiem był salon dowcipnej i zalotnej Anastazyi Chlustin, córki możnej rodziny z gubernii tambowskiej. Od lat już kilku podróżowała ona z owdowiałą matką po całej Europie; tak zaś rozmiłowaną była w sztukach pięknych, a szczególniej w ich mistrzach, że ci nawzajem, jak Thorwaldsen w Rzymie, albo Bonstetten, znany nam redaktor „Bibliothèque universelle" w Genewie, kochali się w niej lub ją „admirowali". Zaznajomiwszy się z Mickiewiczem, powzięła dla niego przyjaźń i uwielbienie, nazywała go „Byronem polskim". Poeta nasz chętnie tu bywał i wiele dowcipnych bilecików francuskich do Anastazyl pisywał.



Adam Mickiewicz.
(Według dagierotypu paryskiego z r. 1842, rysował L. Horowitz).

Najczęściej atoli zachodził do domu hr. Ankwiczów, dokąd wabiło go młode, sentymentalne trochę, chorowite dziewczę, panna Henryka Ewa, ucząca się archeologii, zakochana w starych zabytkach Rzymu, lecz wielbiąca również i nową poezyę. W dni niepogodne — obiady, wieczorki ze śpiewem, muzyką i rozprawami o sztuce i literaturze, z przeróżnemi grami towarzyskiemi, z komedyą francuską, w której czynny udział brał ulubiony przez wszystkich Odyniec; w pogodne zaś—przechadzki po Rzymie, zwiedzanie muzeów, a następnie z początkiem wiosny wycieczki w okolice do Fiumicino, Albano, Frascati, Palestrina, Genezzano, Tivoli, Subiaco, — zapełniały czas w zwykłym stanie rzeczy, to jest gdy podróżni nasi nie byli zaproszeni na jaki bal do posła rosyjskiego, lub też gdy nie odwiedzali królowej Hortensyi, żony Hieronima Bonapartego. Po przez całą tkaninę zabaw przeciągała się różowa wstęga miłości spokojnej, cichej, łączącej serce Adama Mickiewicza z sercem Henryki. Nie miała ona wcale powikłań dramatycznych, była prosta i naturalna; jakaś krótkotrwała chmurka, jakiś kaprysik, trochę niechęci dumnego ojca panny, cyganka, wróżąca, że Henryka dwukrotnie wyjdzie za mąż (co się sprawdziło), żmija przewijająca swe kręgi przed oczyma poety, kwiat uszczknięty, rozstanie się dwumiesięczne i najserdeczniejsze potem przywitanie: oto główniejsze wypadki w tych krótkich dziejach uczucia, które Mickiewicz uwiecznił w wierszu: „Do mojego cicerone w Rzymie“, w przeróbce pieśni Mignony z Wilhelma Meistra Goethego p. t. „Wezwanie do Neapolu“ (Znasz li ten kraj), w III ej części „Dziadów“ (Ewa modląca się za uwięzionego poetę) i w „Panu Tedeuszu“ (tragiczne dzieje Ewy, córki Stolnika).

Z obawy upałów i Ankwiczowie i Anastazya Chlustin i Wołkońska w kwietniu 1830 r. Rzym opuścili. Mickiewicz wraz z Odyńcem 6 maja wyje-

chał również; marzył on o podróży do Grecyi lub Egiptu, lecz poprzestał na zwiedzeniu Włoch południowych: Neapolu, Baj, Pompejów i wyspy Sycylii. Potem przejechał znów Włochy wzdłuż dla szczegółowego zwiedzenia Szwajcaryi. Tu doszła go wieść rewolucyi lipcowej w Paryżu; udzieliła mu jej Anastazya; a że poeta już dawniej przepowiadał upadek Bourbonów, porwała ze stołu jakąś gazetę francuską i rozłożywszy ją, przyklękła przed nim, mówiąc: Chwała prorokowi! Bardzo żywe zajęcie się wypadkami politycznymi nie przeszkodziło jednak dokończeniu wycieczki turystycznej, odbytej między innymi w towarzystwie 18 letniego Zygmunta Krasińskiego. Poczem wraz z Anastazyą, zaręczoną już wtedy z hr. de Circourt, jako też z Ankwiczami, którzy najgorętszy czas rewolucyjny przepędzili w Paryżu, znalazł się Mickiewicz w Genewie, gdzie cały miesiąc mile spędził.

Dokonywała się powoli w Mickiewiczu zmiana, która podczas drugiego pobytu w Rzymie (r. 1830/31) wystąpiła jawnie.

Dotyczyła ona nastroju religijnego.

W wychowaniu domowem i szkolnem, przejętem pobożnością tradycyjną, odebrał poeta nasz trwałe wrażenia, zwracające myśl jego ku Bogu i światu nadzmysłowemu wogóle. Podczas studyów uniwersyteckich usposobienie to zatarło się nieco, gdyż jakkolwiek wykłady w Wilnie dalekie były od dążności podrywania wiary w młodzieży, to przecież będąc prowadzone przez wychowańcow „wieku oświecenia“, nie mogły się przyczyniać do rozpłomieniania uczuć religijnych, a nieopatrzna gorliwość władzy, nakazująca terminowe spełnianie obrządków, budzila niechęć i opór wśród studentów i raczej osłabiała aniżeli wzmacniała w nich zasady pobożności. Poezya romantyczna, posługująca się chętnie motywami religijnymi i zajęta mocno stosunkiem świata zmysłowego do duchowego, mieściła w sobie zarodki mistyczne, które przy

sprzyjających okolicznościach mogły przybrać olbrzymie rozmiary; ale u Mickiewicza na razie wywołały tylko chęć zużytkowania wierzeń religijnych ludowych (ballady, Dziady) lub dogmatów („Hymn na Zwiastowanie N. M. Panny") na rzecz pomysłów artystycznych. — Dalsze życie w wirze wielkoświatowym, rozwijając dowcip, ochładzając uczuciowość wogóle, przytępiło też i wiarę tak, że Mickiewicz zaprzestał spełniać obrządki religijne. Zetknięcie się ze szlachetnym mistykiem, Józefem Oleszkiewiczem w Petersburgu zaczęło atoli oddziaływać na utajone usposobienie wewnętrzne, a chociaż poeta podżartowywał sobie z pomysłów i upodobań mistyka, czuł wszelako w głębi duszy odradzanie się wierzeń młodości na tle uczuciowem. Odgadywał to Oleszkiewicz i mówił piewcy: „Nic to nie szkodzi! Ty myślisz teraz, że ty strasznie rozumny i że niema światła nad rozum... Ale to nic nie szkodzi. Jak Pan Bóg chce, tak będzie." A do innych odzywał się o Mickiewiczu: „Jest on naczyniem wybranem i prędzej-później łaska go napełni i przez niego spłynie na drugich". Nie omylił się. Poeta, bywając w domu hr. Ankwiczów, wielce religijnie usposobionym, z początku także żartobliwie się względem pobożności Henryki i jej towarzyszki, Marceliny Łempickiej, zachowywał. Panny w tajemnicy przed nim przedsięwzięły pewne modlitwy i posty na intencyę jego nawrócenia. Gdy tajemnicę wydała sama Ankwiczowa, Mickiewicz przyjął tę wiadomość poważnie i odtąd żartów w rzeczach wiary zaprzestał. Co więcej, zaczynał już w marcu r. 1830 wypowiadać poglądy, żywo przeniknięte uczuciem religijnem, wbrew przeciwne uroszczeniom czystego racyonalizmu. Z młodym przyjacielem, przejętym filozofią Heglowską, *Stefanem Garczyńskim* (1805 † 1833), poznanym w Berlinie, a przybyłym również do Rzymu, rozmawiając o prawie każdej jednostki ludzkiej dociekania wszystkiego samoistnie, oraz o potędze rozumu indywidualnego, że sam o własnych si-

łach mocen jest dojść do pojęć bezwzględnych (absolutnych), miał Mickiewicz stanowczo odmówić tej siły rozumowi. Pisząc w kwietniu 1830 r. wiersz do „Marceliny Ł." po przyjęciu przez nią komunii św.: zazdrościł jej spokoju i wzniosłych marzeń i gotów był wyrzec się wszelkich innych rozkoszy, byleby mógł doświadczyć tych wzruszeń, jakich doznawała Marcelina. Gdy go doszła wiadomość o śmierci Oleszkiewicza († 17 października 1830 r.), Mickiewicz wspominał o nim częściej może, niż dawniej, ale już tylko „w tonie uszanowania i rzewnego przyjacielskiego uczucia." Żywioł mistyczny zaczął w poecie przemagać. Wiara, uczucie, natchnienie stawały się dla niego potęgami wyższemi nad rozum, już nie tylko w znaczeniu poetycznem, jak było w pierwszej dobie romantyzmu, ale także wprost w życiu umysłowem, w przekonaniach i poglądach. W wierszu „Romantyczność" mówił o czuciu i wierze na tle fantazyi ludowej; teraz to czucie i ta wiara zabarwiły się wyraźnie silnym odcieniem religijnym. Widać to w głęboko odczutych poezyach: „Rozmowa wieczorna", „Mędrcy", „Arcy-mistrz", „Rozum i wiara", które powstały prawdopodobnie w drugiej połowie r. 1830. Korzy się tu poeta przed Bogiem, jemu tylko zwierzając swe cierpienia:

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy, cicho, na Twe łono,
Wylewam burzę, we łzy roztopioną...

Uznaje umysł ludzki za niezdolny do odkrycia tajemnic ducha bez pomocy wiary, potępia tych mędrców, co tylko na księgach wyostrzywszy „rozumy zimne i twarde, jak miecze ze stali", zwlekli z Boga szaty mistyczne i szyderstwami go obrzucili; a o sobie powiada:

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:
Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

Za tem ukorzeniem się umysłu musiały nastąpić odpowiednie uczynki. Gdy poeta, rozstawszy się w Szwajcaryi z Odyńcem, powrócił do Rzymu, życie jego przybrało odmienny od poprzedniego charakter. Zabawy salonowe już go nie zajmowały. Lubił gawędzić i rozprawiać z przybyłym do Rzymu w końcu r. 1830 znajomym swoim, Henrykiem hr. Rzewuskim, podziwiając jego opowiadania w stylu staroszlacheckim, z których miały powstać „Pamiątki Imć Pana Seweryna Soplicy“ i z których Mickiewicz przejął nieco tonu i nieco szczegółowych anegdotycznych rysów do „Pana Tadeusza“. Przytem zbliżył się do ludzi, slynących nauką teologiczną i pobożnością; z 40-letnim księdzem *Stanisławem Chołoniewskim*, człowiekiem żyjącym ascetycznie, ale też gruntownie wykształconym, znającym owoczesny ruch filozoficzny, częste prowadził rozmowy i wyznawał, że im zawdzięczał „nowy widok świata, ludzi i nauki“. Czytał wiele, a między książkami, wówczas przezeń studyowanemi, znajdowały się: „Boska komedya“ Dantego, oraz pisma religijno-filozoficzne księdza Lamennais. Wreszcie pod działaniem wielu połączonych czynników, budzących w nim dziecinne wspomnienia i zmieniających w pewnej mierze jego poglądy, postanowił spełnić akt pokory religijnej i poszedł do spowiedzi.

VII.

Od pogrążenia się w mistycyzmie odwrócily Mickiewicza na razie wypadki krajowe, nadając my-

ślom jego inny kierunek, zmuszając do zajęcia się sprawami rzeczywistości widzialnej. Na wieść o powstaniu listopadowem zaczął się wybierać w drogę; różnego rodzaju przeszkody nie pozwalały mu długo opuścić wiecznego miasta. Mickiewicz dopiero 19 kwietnia 1831 wyruszył z Rzymu. Pewne zamiary kazały mu się skierować na Paryż, który miał oglądać po raz pierwszy. Stolica Francyi, a zwłaszcza jej inteligencya, wywarła nań przygnębiające wrażenie. Zawiedziony w nadziejach, wyjechał z poetą legionistą, Antonim Goreckim, do Drezna, a stąd do W. Ks. Poznańskiego, chcąc dotrzeć do Królestwa. Gdy się to okazało niemożliwem i gdy niebawem powstanie upadło, Mickiewicz pozostał w W. Księstwie, serdecznie ugaszczany przez obywateli, lubo i przykrych zajść nie brakowało. Mógł teraz w ciągu 8-miesięcznego pobytu porównać szlachtę i lud na Litwie z takiemiż warstwami narodu w Wielkopolsce, a porównanie to musiało znacznie się przyczynić do rozszerzenia i pogłębienia spostrzeżeń i uogólnień, odnoszących się do charakteru, zwyczajów i obyczajów naszych. Rozmawiając zaś o kwestyach pierwszorzędnego znaczenia dla bytu i rozwoju społeczeństwa, coraz silniej uczuwał potrzebę wypowiedzenia tych myśli i uczuć, jakie się w duszy jego zbierały, a do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości narodu się odnosiły.

Potrzebie tej uczynił zadość w Dreźnie, dokąd się przeniósł w początkach marca 1832 r. Towarzystwo polskie w tem mieście było wówczas bardzo liczne i wielce ożywione; w pierwszych bowiem miesiącach po upadku powstania wychodźcy nasi doznawali wśród Niemców nader przyjaznego przyjęcia. Zrazu Mickiewicz uczestniczył w tłumnych zebraniach; niebawem jednak zrażony do nich, zamknął się w szczupłem gronie najbliższych znajomych, jako to: Odyńca, Ignacego Domejki, Stefana Garczyńskiego, który wtedy potajemnie pracował nad obszernym poe-

PISMA
ADAMA MICKIEWICZA

NA NOWO PRZEJRZANE,

DOPEŁNIONE,

i za zezwoleniem jego w tém siódmem s kolei wydaniu

DO DRUKU PODANE.



TOM I.



PARYŻ

1844

matem filozoficzno-politycznym: „Wacława dzieje“, rozpoczętym jeszcze w Rzymie. To miłe i serdeczne otoczenie, opowiadania z czasu dopiero co zakończonej wojny, wspomnienia uniwersyteckie obudziły w Mickiewiczu nanowo popęd do twórczości poetyckiej. Zużytkował naprzód materyał dostarczony przez Domejkę i Garczyńskiego z najświeższych wypadków, pisząc krótkie pieśni lub obrazki: „Pieśń żołnierza“, „Nocleg“, „Śmierć Pułkownika“ (t. j. Emilii Platerówny), „Reduta Ordona“ (epizod ze szturmu Warszawy); następnie zabrał się do prac większego zakresu. W nich, zgodnie z istotą swego usposobienia, rozwijał wątek, w skład którego wchodziły własne jego uczucia i dzieje. Napisał tedy jakąś część „Dziadów”, której nie pokazał nikomu. Odyniec domyślał się, że w niej poeta przedstawił swoją wewnętrzną religijną przemianę i wpływające na to okoliczności, gdyż sam Mickiewicz miał mu powiedzieć, iż rzecz dzieje się w Rzymie i że Odyniec także gra tam pewną rolę. Na zapytanie przyjaciela, czy mu ją kiedy pokaże, odpowiedział: „może kiedyś, może nigdy.“ Skończyło się na „nigdy“; nikt tej części nie poznał. Natomiast część, którą całkiem niewłaściwie nazwał „trzecią“, gdy jej odpowiednie miejsce przypada dopiero po „czwartej“, — w miarę pisania odczytywał wieczorami towarzyszom, i to odczytywanie dodawało mu, wedle własnego jego wyznania, bodźca do pośpiechu w pracy codziennej. Tworzył nadzwyczaj szybko, chcąc, jak mówił, „korzystać z natchnienia, które czuł niezależnem od woli.” Społeczeństwo polskie osądził poeta wogóle bardzo surowo; ale nie zrozpaczył o niem; zdaniem poety zepsutą jest tylko warstwa wierzchnia, i że w głębi tkwi niezmożona żywotność.

Pod względem artystycznym przedstawia ta część „Dziadów“ ciekawe zjawisko zlania ze sobą dwu sprzecznych pierwiastków: realizmu i idealizmu.

Realizm panuje w scenach pojedyńczych, w barwnym a śmiałym sposobie malowania szczegółów, z nieujawnioną do owego czasu przez Mickiewicza dobitnością (rozmowy więźniów, opowiadanie Jana Sobolewskiego, opowiadanie kaprala, salon warszawski, a mianowicie opowiadanie Adolfa, bal w Wilnie); idealizm, a może raczej mistycyzm, przebija się w osnuciu wątku głównego, we wierze w nadzwyczajne znaczenie woli człowieka, w tych chórach duchów złych i dobrych, które na każdą myśl, na każde uczucie jednostki ludzkiej czekają, ażeby je na cele sobie właściwe obrócić. Duchy te nie mają już cechy ludowej, jak w balladach i dawniejszych częściach „Dziadów", lecz kościelno-mistyczną, a zarazem symboliczną. Poeta posługuje się też nimi inaczej niż tworami wyobraźni ludowej; nie dla ich zalet plastycznych, wywierających urok na fantazyę, lecz dla znaczenia ich moralnego wprowadza je na widownię; wierzy w nie już nie tylko wiarą artystyczną, ale wiarą całej swej istności duchowej; w jego ówczesnem pojęciu są one równie rzeczywistemi, jak sama rzeczywistość zmysłowa, widzialna. Inaczej mówiąc, romantyzm przeszedł tu już w mistycyzm, lecz poeta nie dał mu się opanować całkowicie i wyłącznie; potężny jego talent plastyczny i silne poczucie rzeczywistości stawiły dzielny opór najazdowi żywiołu sobie przeciwnego i, jak zobaczymy niebawem, zdołały nawet na czas pewien odeprzeć go całkowicie w sferze tworzenia artystycznego, lubo nie zdołały przed nim zasłonić strony rozumowej poety.

Całości zaokrąglonej „trzecia część Dziadów" nie tworzy; stanowi ona tylko akt pierwszy rozległego utworu, którego Mickiewicz napisać już nie zdołał. Niektóre do niego materyały obrobił w formie luźnych urywków, dołączonych p. n. „Ustęp" do „części III ej"... Urywki te w połowie przynajmniej powstały jeszcze w Petersburgu w r. 1828 i 1829;

były jednak następnie rozszerzone i poprawione [1]). Ukazują się tu przelotnie: Konrad i jego towarzysze, ale nie działają, przypatrują się tylko nowym dla siebie stronom i ludziom. „Droga do Rosyi", „Przedmieścia stolicy," „Petersburg", „Pomnik Piotra W.", „Przegląd wojska", „Oleszkiewicz": oto napisy, wskazujące kolejną treść „Ustępu." W „Pomniku Piotra W." uwiecznił Mickiewicz swoją przyjaźń z Puszkinem; w „Oleszkiewiczu" złożył hołd pamięci zacnego mistyka... Pod względem siły i barwności słowa, jak nie mniej plastyki obrazów, wszystkie te urywki są nieporównane. Doskonała znajomość miejsca, charakterów, obyczajów i wypadków, nabyta w ciągu pobytu w Rosyi i oddana po mistrzowsku, wytworzyła małe arcydzieła poezyi opisowej.

VIII.

Chcąc poemat swój podać do druku, a przytem widząc, że dłuższy pobyt w Dreznie może być albo utrudniony, albo całkiem wzbroniony, gdyż rząd saski niejednemu już z wychodźców wskazał drogę poza swe granice, Mickiewicz, pożegnawszy się z Odyńcem i Garczyńskim, opuścił Drezno w końcu czerwca 1832 roku i w towarzystwie ośmiu innych emigrantów, pomiędzy którymi znajdował się także Ignacy Domejko, wyruszył do stolicy Francyi. Paryż, jak wiemy, wrzał wówczas namiętnościami politycznemi i społecznemi, i oddziaływał nader zapalnie na młode, rozgorączkowane umysły rodaków naszych, dzieląc ich na partye wzajem się nienawidzące. Mickiewicz gwaru i rozpraw politycznych nie lubił; do żadnego stronni-

---

[1]) Adam Krechowiecki: „Dziadów części III-ej Ustęp wedle pierwszego autografu," Lwów, 1898. (Odbitka z 6-go tomu „Pamiętnika Towarzystwa lit. im. Mickiewicza).

ctwa nie przystąpił, a biorąc udział w takich sprawach, które ku pożytkowi ogólnemu urzeczywistnione być mogły, starał się nakłonić wychodztwo do zjednoczenia i do zaprzestania próżnych kłótni o słowa i mary, a wzięcia się do pracy poważnej. Sądził, że przemawiając do ogółu w duchu religijnym, słowami prostemi, zrozumiałemi nawet dla prostaczków, i poruszając w ich sercach uczucia im wspólne, zdoła wpłynąć na zmianę w zachowaniu się spółrodaków. W tej myśli ułożył „Księgi narodu" i „Księgi pielgrzymstwa polskiego" i wydrukował je w końcu r. 1832. Obrał formę biblijną i co do stylu i co do sposobu wpływania na uczucia i myśli. Charakter narodu wkłada na wychodztwo obowiązki wielkie; ma ono być wśród obcych narodów wzorem doskonałości moralnej, ażeby zachęcić wszystkich do czczenia ideałów, które ono wielbiło. Mickiewicz, lekceważąc cywilizacyę materyalną i rozum książkowy a samolubny, prowadzący do zobojętnienia dla spraw wyższych, mniemał, że wychodźcy nie mają czego pod względem moralnym uczyć się od Europy, ale sami mogą ją udoskonalać, bo każdy z nich ma ducha ofiary, którego wychowańcom dobrobytu cielesnego brak zupełnie. Ażeby jednak mogli posłannictwo szerzenia na Zachodzie ewangelii wolności spełnić należycie, powinni być skromni, zgodni, zaniechać sporów o arystokracyę i demokracyę, o prawa, o formy rządu, a natomiast jąć się pracy. Każdy niech robi to, co umie. Pierwszem staraniem każdego winno być udoskonalenie moralne, połączone z myślą o przyszłości narodu. „O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze—pisał Mickiewicz—o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice." Miłość wzajemna, ciche spełnianie obowiązków, gotowość do ofiar wszelkich i pokora są to najpiękniejsze cnoty, jakie zdobić mają wychodźców.

Rady podane w tych biblijnych pisemkach, nie odniosły pożądanego skutku. Nie dziw; poeta doma-

gał się rzeczy najtrudniejszej, o jakiej pomyśleć można: przetworzenia się usposobień, nałogów, słowem odrodzenia całej moralnej natury ludzkiej. Przetwarzań się takich w wielkich gromadach ludzkich historya bardzo mało zaznaczyć może; dokonywały się one prawie wyłącznie pod wpływem potężnych reformatorów religijnych. Mickiewicz, opanowany myślą o wszechmocy wiary, mniemał, że i on zdoła do takiej przemiany przywieść choćby tylko spółrodaków, bawiących we Francyi; dlatego też owe „Księgi“ rozsyłał darmo, zwłaszcza na prowincyę, dokąd znaczną część wychodźców rząd francuski, jak wiemy, z Paryża wydalił.

Nie poprzestając na tem, poeta nasz po raz pierwszy spróbował oddziałać na ogół za pośrednictwem publicystyki. Za jego wpływem powstało w Paryżu pisemko p. t. „Pielgrzym polski“, wydawane od 4 listopada 1832 roku. Udział w nim czynny Mickiewicza rozpoczął się bardzo wcześnie; ale dopiero od kwietnia do końca czerwca 1833 r. stał się nieprzerwanym. Poruszając zagadnienia bieżące, zdolne zająć ogół wychodźców, rozwijał myśli, rzucone w „Księgach narodu i pielgrzymstwa.“ Nastawał mianowicie na zaniechanie złych środków w walkach o przekonania, utrzymując, że kłamstwo, a tembardziej potwarz w polityce, jako zabytek czasów zepsucia, powinny być stanowczo usunięte, że nadszedł czas, kiedy prawda winna stać się nietylko hasłem, lecz istotną kierowniczką dziennikarstwa, parlamentaryzmu i całej wogóle polityki. Marzył o urządzeniu społeczeństwa ludzkiego, a przedewszystkiem europejskiego, na zasadzie wolności chrześcijańskiej. Formy rządu społeczeństwa tego nie chciał nazywać republiką, gdyż imię to złączone było z nader rozmaitemi, a niezbyt pociągającemi wyobrażeniami; dodawał tylko, że nazwa się znajdzie. Sądził, że należałoby ustanowić „koncylium europejskie“, któreby wyższem było nad wszystkie jednostkowe i jednoplemienne

interesa, któreby się stało orędownikiem wszystkiego, co szlachetne, wielkie i poparcia godne, a śmiertelnym wrogiem tego wszystkiego, co nikczemne i podłe. Wierzył, że takie „koncylium" jest możliwe, byleby jeno nie zbrakło zapału i ufności w jego urzeczywistnienie. Przechodząc do spraw bliższych, nastawał na nieodzowną potrzebę zamienienia poświęceń wybuchowych na drobniejsze, lecz ciągłe, zaniechania pogardy dla pewnych klas narodu, dzielenia się na stronnictwa, na konieczność nadawania chłopom wolności i uwalniania od czynszów; tę ostatnią czynność uważał za donioślejszą w skutkach, niż gorączkowe próby, przedsiębrane przez zapalonych a mało rozważnych demokratów (jak np. Józefa Zaliwskiego i Artura Zawiszy)...

Artykuły Mickiewicza tonęły wśród powodzi rozróżnionych opinij, nie wywierając wpływu zamierzonego przez autora; przysparzały mu natomiast niechętnych, którzy za złe mu brali wdawanie się w politykę. Żył on osamotniony w szczupłem kółku przyjaciół, do którego między innymi należał teraz i Bohdan Zaleski. Nie znosząc gwaru, urządził się, jak powiadał, po wiejsku; na miasto rzadko wychodził, hałaśliwych zebrań unikał, czytał mało, a pisał gorączkowo. Rad był wyrwać się dokąd z Paryża, chciał się zbliżyć do swoich przyjaciół, bawiących w Saksonii, to znów na Wschód uciekać, ażeby uniknąć „przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów", chociaż pojmował doskonale powody tych bolesnych objawów wśród wychodztwa. Nakoniec na wieść, że Stefana Garczyńskiego, którego poezye drukujące się w Paryżu on sam korygował, lekarze wysłali na serwatkową kuraczę do Bex w Szwajcaryi, Mickiewicz, poruszywszy wszelkie sprężyny celem umożliwienia sobie podróży, spieniężywszy tłomaczenie „Giaura" Byrona, w tym czasie ostatecznie dokonane, (a wydane dopiero w roku 1835), udał się w początkach lipca 1833 na Lo-

Najbliższa sobota.

Dla zatrudnień wielu nie mogę być u was na nowy Panie jutro, ale w tym t.[ygo]dniu nie zawodnie odwiedzę was, a mam potrzebę dłuższego czasu żebym się z Wami rozmówił — tłumaczenie czytałem uważnie jest piękne, kilka małych uwag zrobiłbym ale pora nieprzytomna. Przepraszam Cię serdecznie za poprawienie wszystkich dogmatów w ciągu tego tłumaczenia.

Oświadcz moje uszanowanie Panu Wojewodzie i Pani.

Życzliwy Sługa
A. Mickiewicz

List A. Mickiewicza do Chrystyana Ostrowskiego w Wersalu.
(Ze zb. Biblioteki Ordynacyi hr. Krasińskich).

zannę do miejsca pobytu swego chorego przyjaciela. Podróż ta orzeźwiła poetę. „Widok gór i błękitnego Lemanu—pisał wtedy—przeniósł mię w dawniejsze, weselsze lata. Przyznam się, że politycy paryscy jeszcze głupsi i mniejsi teraz wydają się, niż przed tygodniem. Jak wielkich ludzi czas i oddalenie powiększa, tak liliputów pomniejsza i pożera.“ Garczyńskiego zastał bardzo osłabionym; w połowie lipca musiał go przewieźć do Genewy, gdzie się też znalazła prawdziwa szarytka w sukni świeckiej, Klaudyna z Działyńskich hr. Potocka, serdecznie zajmująca się zdrowiem biednego żołnierza-poety. We wrześniu trzeba było wyjechać do okolic cieplejszych. Podążyli do Awenionu. Mickiewicz cierpiał mocno, ale nie rozpaczał. „Źle bardzo, bardzo z nami—pisał do Domejki. Możesz wystawić sobie biedy podróży z chorym, którego na ręku z pojazdu do mieszkania dźwigać trzeba; w kraju, gdzie oberżyści, spojrzawszy mu w oczy i widząc w nich niewiele życia, przyjmować nie chcą! Jak daleko trafimy, nie wiem. Mamy jechać do Marsylii, a stamtąd do Włoch,—zamiar, popierany przez wszystkich doktorów, chociaż dodają w ucho, że chory w Marsylii albo na morzu życie zakończy... Jestem tak strudzony, tak bezsenny, że dłużej pisać nie mogę... Pieniądze wszystkie, co miałem, wydałem w podróży, pięć *lieues* (mil francuskich) na dzień i w kraju tak drogim jak Szwajcarya!... P. Potocka przysłała mi była pieniądze do Paryża, ale jej tu wróciłem; póki mam swoje, cudzych nie chcę...“ Jakże słowa te wybornie malują trudy i kłopoty, ciężkie położenie finansowe i pragnienie zarazem niezależności, i przestawanie na małem — stosunki i uczucia, które dla Mickiewicza były niejednokrotnie powodem chwil smutnych, odsłaniając nam przytem jego duszę tkliwą, szlachetną, poświęcającą się i wytrwałą.

Garczyńskiemu niepodobna było mówić całej prawdy; myślał on o podróży do Włoch, a chcąc

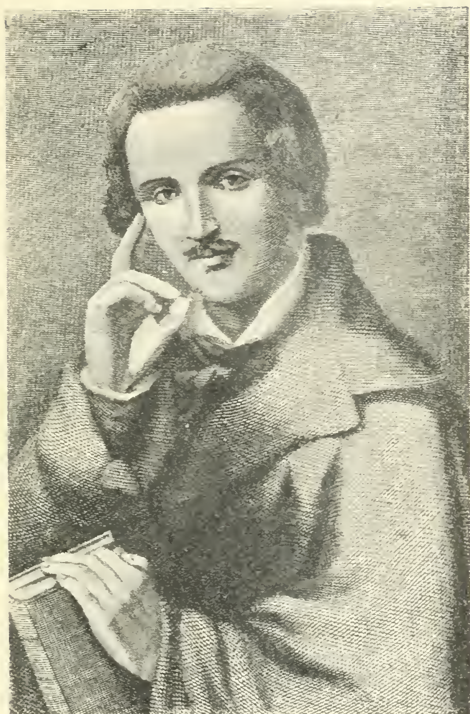
przejść przez pokój, cudzej potrzebował pomocy... Gdy do Awenionu przybył dawny towarzysz broni Stefana, Pągowski, Mickiewicz udał się do Marsylii, niby dla wystarania się o paszport na dalszą drogę, aby zaspokoić życzenia chorego. Niebawem, wezwany naglącym listem, powrócił. Tej nocy, gdy Garczyński żyć przestał (20 września), Mickiewicz czuwał przy nim do późna; znużony wreszcie poszedł na spoczynek, zostawiwszy Pągowskiego przy chorym; ten przerażony zbyt cichym snem Stefana, zwrócił nań baczniejszą uwagę i spostrzegł, że już nie żyje.

IX.

Tu będzie miejsce właściwe powiedzieć słów kilka o „Poezyach“ Garczyńskiego, ogłoszonych roku 1833 w dwu tomikach w Paryżu. Mickiewicz cenił je nader wysoko, a „Wacława dzieje“ nazwał najznakomitszym, najbardziej polskim poematem. Że uczucie przyjaźni silnie się w tym sądzie uwydatniło, to nie ulega wątpliwości. Garczyński, pomimo długich ćwiczeń, rozpoczętych już w roku 1824-ym [1]), nie doszedł w krótkiem swem życiu do owładnięcia językiem i stylem, nie posiadał fantazyi plastycznej, nie mógł świetnie nakreślić żadnego charakteru i żadnej sytuacyi. Ale posiadał on wysoce rozwiniętą zdolność refleksyjną, zabarwioną silnem uczuciem. Mickiewicz utrzymywał, że przez głowę Garczyńskiego więcej przeszło myśli, niż przez jego własną. Faktem jest, że autor „Wacława dziejów“ pierwszy u nas wprowadził do poezyi głębszy pierwiastek filozoficzny, a chociaż pomysłów swoich nie potrafił jasno i dobitnie wypowiedzieć, to zapoczątkowaniem tem utorował

---

[1]) Tadeusz Pini: „Stefan Garczyński” w „Przewodniku nauk. i literackim” lwowskim 1898.



Stefan Garczyński.

(Kopia stalorytu ze zbiorów Leopolda Meyéta).

drogę genialniejszemu od siebie Zygmuntowi Krasińskiemu. W Wacławie wystawił młodzieńca, który straciwszy wiarę dziecinną—i to wskutek klasztornego wychowania;—wszedł na bezdroża zwątpienia pod wpływem filozofii, chłodno rozczłonkowującej wszystko i wytępiającej uczucia. Gdy do tej rozterki umysłowej przyłączyła się jeszcze rozterka uczuciowo-moralna, miłość względem siostry (jak w „Reném" Chateaubrianda i „Manfredzie" Byrona), popadł w posępne rozmyślania, w rozgoryczenie straszne, w zupełny niemal rozstrój duchowy. Posłyszana przypadkiem piosnka narodowa ożywiła w nim na chwilę poczucie solidarności z ogółem, zwłaszcza gdy zauważył kosmopolityczno-materyalistyczną propagandę, przez szatana w postaci wędrowca-przybłędy szerzoną. Otrząsa się więc z apatyi, jedzie do Warszawy w czasie koronacyi cesarza Mikołaja I, pragnie działać; lecz szatan, nową przybrawszy postać, stara się go odciągnąć od czynu, przedstawiając mu w śnie magnetycznym obrazy lichoty społeczeństwa, dla którego Wacław poświęcić się zamierzał. Znów tedy rozum analityczny odnosi zwycięstwo nad natchnieniem i żądzą czynu; Wacław wraca do swego majątku, oddaje się napowrót gorzkim marzeniom, a wyznanie siostry, że go kocha i że cierpi nad zmianą jego usposobienia, pogrąża go w nastrój rozpaczliwy. Nie chcąc podsycać uczucia, poczytywanego za zbrodnicze, wyjeżdża. I na tem poemat się urywa. Jak chciał Garczyński rozwiązać przeciwieństwo rozumu i uczucia, analizy i natchnienia, w jakim *czynie* chciał te przeciwieństwa stępić („wybiegam piórem ptaka, z orła wrócę szponą"), jak rozwiązać miał stosunek brata i siostry, o tem oczywiście nic powiedzieć nie możemy. Osnowa tedy poematu w tym stanie, w jakim go obecnie posiadamy, nie może zadowolić ani filozoficznie, ani artystycznie; wartość utworu polega na poszczególnych myślach w nim zawartych, na niektórych sytuacyach, pobudzających wyobraźnię i ro-

zum i zmuszających do zastanowienia. Garczyński miał wysokie pojęcie o zadaniu poety; przyjmując hasło Mickiewicza: „miej serce i patrzaj w serce,“ dodawał do niego drugie: doskonałe zrozumienie ducha czasu i wcielenie jego dążeń w słowo natchnione:

Tylko ten, kto w natchnieniu wiek swój porozumie,
Komu ów tajny popęd, jak stworzenia słowo
W świat się cały rozłoży, rozrośnie się w ciało,
I on to ciało widzi — w samotności — tłumie—
W dzień i w nocy—i tego ciała jest połową;
Tylko ten, który jako ksiądz w ubraniu świętém
Ludziom wszystkim mszę czyta przed wielkim ołtarzem,
Czy odrazu pojęty, czy będzie pojętym:
Tylko ten mistrzem w sztuce—wielkim jest pisarzem.

Takiego zadania Garczyński nie spełnił wprawdzie, lecz szedł ku jego spełnieniu; świata myśli nie zdołał przyoblec w „ciało“ piękne i ponętne, a odepchnął wielu czytelników suchością abstrakcyj.

W drobniejszych poezyach („Wspomnienia z wojny”, „Sonety wojenne“, „Nabożeństwo tegoczesne“, nie odznaczających się również stroną formalną [1]), był wiernym wyobrazicielem chwili, a serdeczną swoją uczuciowością, i nawoływaniem do czynu energicznego zyskiwał sympatyę i poklask. Ideę mesyaniczną i on uznawał, ale w tych tylko rozmiarach, jakie jej nadał Mickiewicz. Jak jego Wacław, tak i on tęsknił do działania, wołając:

Dzisiaj... rzucam gnuśne pióro,
Czynów mi trzeba w błyskawicy pędzie,
I walki z czasem, ludźmi i naturą
I wojny takiej, jak w mej duszy—wszędzie!
Chciałbym znów działać i w czynów zachwycie
Na nową burzę, na nowe rozbicie
Pchnąć się — i zginąć, gdy lepiej nie będzie!

---

[1]) Tadeusz Pini: „Rękopis poezyj Garczyńskiego w przerobieniu przez Mickiewicza” w „Pamiętn. Tow. lit. im. Mickiewicza” 1898.

Madame. Nous avons changé de logement
à St Germain, et nous demeurons Rue
des Ursulines N. 14 nous avons un très
beau logement et nous vous attendons
ici. Si vous tardez de venir j'irai vous
prendre mardi prochain. Vous ferez bien
de vous établir à St Germain pour quelque
temps. Votre dévoué et Mickiewicz.

Ce Samedi — 18.

List A. Mickiewicza z r. 1842 do p. Klustine w Paryżu.

(Ze zbiorów Leopolda Meyéta).

Śmierć z suchot rozwiała gorączkowe szlachetne pragnienia.

X.

Oddawszy ostatnią posługę zgasłemu przedwcześnie przyjacielowi, uczciwszy jego pamięć zwięzłym nagrobkiem łacińskim, Mickiewicz, częściowo w towarzystwie Bohdana Zaleskiego, odbył wycieczkę po Francyi południowej, starając się widokami natury rozerwać i orzeźwić skołatany umysł. Do Paryża zjechał dopiero w początkach listopada i oddał się pracy nad dokończeniem poematu, który rozpoczęty jeszcze przed rokiem, długo w pomyśle twórcy nie miał ani tytułu, ani oznaczonego zakresu. Pierwszą o nim wiadomość znajdujemy w liście z 8 grudnia 1832 roku: „Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju *Hermann i Dorothea* Goethego; już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszej. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot, tyle kłopotów i prócz tego różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić." Poeta pieścił się tym utworem, jako najmłodszem i najukochańszem dzieckiem. Pisząc go, przenosił się myślą do swoich rodzinnych okolic, żył życiem wiejskiem, oddychał powietrzem łąk i lasów, bawił się ze swymi dawnymi znajomymi i przyjaciołmi. Zajęty spółpracownictwem w „Pielgrzymie," oraz prowadząc korrektę „Poezyj" Garczyńskiego, musiał nieraz zawieszać pracę nad „poematem szlacheckim," albo, jak go jeszcze krócej tytułował, „Szlachcicem." Po długiej przerwie wrócił do niego dopiero w kwietniu 1833 r. Dnia 6 maja, kiedy pierwszy tom „Poezyj" Garczyńskiego był już w druku wykończony, dowiadujemy się, że Mickiewicz trzecią pieśń „Tadeusza" napisał. Wtedy

więc zdecydował się na to imię dla swego najmłodszego dziecka i wtedy ujrzał, że tak prędko z niem się nie rozstanie. Początkowo sądził widocznie, iż obrobi poemat na mniejszą skalę; teraz zaś powiada: „Zanosi się na długą chryję; dotąd dosyć dobrze udaje się, gdyby nie tyle przeszkód, gdyby jeden tydzień przeszłorocznej ciszy“ t. j. kiedy bawił w Dreźnie i tworzył „trzecią część Dziadów.“ Napróżno wzdychał; ciszy dobić się nie mógł. Mimo to „kropił swoje poema“ i w końcu maja pieśń czwartą kończył. Jadąc do chorego Garczyńskiego, wziął ze sobą „Tadeusza"; lecz okazało się, że wśród cierpień przyjaciela tworzyć niepodobna; przepisał tylko pieśń czwartą na czysto. Gdy po śmierci Garczyńskiego udał się na przejażdżkę i zatrzymał się w Lyonie, Bohdan Zaleski, który za nim pędził, przechodząc kolo jakiegoś hotelu, zoczył go w oknie z papierem w ręku; wszedłszy do pokoju, zastał poetę dosłownie „zacietrzewionego“ nad „Tadeuszem," pomimo choroby, „chodzącej mu po zębach, głowie i piersiach.“ W dniu 13 listopada, za powrotem do Paryża, Mickiewicz pisał do Odyńca: „Piątą pieśń *Tadeusza* skończyłem; trzy jeszcze zostaje." Jak widzimy, nawet wówczas jeszcze nie miał zupełnego planu poematu i sądził, że całość w ośmiu księgach się zawrze, malując tylko zwyczaje i obyczaje litewskie w pogodnych barwach, z zajściami prywatnemi jedynie, bez tragicznej historyi Jacka Soplicy, bez „bitwy", bez wojska polskiego w armii Napoleońskiej. Dopiero po tej dacie weszły widocznie do poematu te właśnie dramatyczne i ogólno narodowe pierwiastki, mające niegdyś wypełniać treść pomyślanego we Włoszech „Legionisty.“ Praca odtąd postępowała szybko, gdyż w lutym 1834 roku poemat był już ukończony. Donosząc o tem przyjacielowi, mówił poeta, że wiele tam marności, wiele też dobrego. Dzieło dokonane nie przejmowało go zadowoleniem, owszem zrzucał je, jakby ciężar jaki, a chciał iść dalej, coraz wyżej

lot podnosząc. „Przekonywam się — pisał wtedy do Odyńca—że się nadto żyło i pracowało dla świata tylko, dla pustych pochwał i celów drobnych. Zdaje mi się, że nigdy już pióra na *fraszki* nie użyję. To tylko dzieło warto czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć. Możebym i *Tadeusza* zaniechał, ale już był blizki końca..." Błogosławiona-to okoliczność, że myśl zaniechania „Pana Tadeusza" nie pojawiła się wcześniej; w przeciwnym razie bylibyśmy pozbawieni największej ozdoby poezyi naszej, najdoskonalszego wytworu geniuszu Mickiewicza i największego naszego, jak dotąd, arcydzieła. „Pan Tadeusz" wyszedł z druku w połowie roku 1834 w Paryżu; i obejmował dwa tomy.

Poeta nazwał utwór swój skromnie „historyą szlachecką," dając tem do zrozumienia, że nie zamierzał spełnić wszystkich warunków, jakie do pojęcia *epopei* były i są przywiązywane. Mamyż jednak zgodzić się bezwzględnie na takie określenie charakteru poematu? Mamyż, jak owcześni krytycy, zestawiać go z powieściami Waltera Scotta i tą, względnie małą, miarą oceniać jego wartość? lub też, jak niektórzy dzisiejsi, nazwać go poprostu „gawędą?" Zdaniem mojem i zdaniem większości, takie dobroduszne przyjmowanie określnika danego przez poetę nie może się poczytywać za głębsze wniknięcie w istotę utworu. Rozważywszy względy przeróżne, wyznać potrzeba, że Mickiewicz dokonał jednego z najtrudniejszych zadań artystycznych—stworzył *epopeję nowożytną* z motywów czysto ludzkich, bez żadnych „machin cudownych", któremi się dawne epopeje posługiwały, a nawet wogóle bez udziału świata duchów, co w „trzeciej części Dziadów" tak olbrzymią odgrywał rolę. Genialnie odmalował życie narodu naszego w początkach XIX stulecia w jego prywatnych i publicznych stosunkach, w jego drobnych i wielkich sprawach, z jego cierpieniami i nadziejami, z jego bytem codziennym i z chwilami podniosłego

nastroju, z jego wadami i cnotami. Poeta ma gorącą dla narodu swego miłość, ale nie sądzi, żeby jej objawianie musiało się łączyć z lżeniem jego nieprzyjaciół, albo z nadmiernem wynoszeniem jego zalet; dlatego wystawiając życie jego wielostronnie, nie zamilcza o błędach, ani też nie używa czarnych jedynie barw w odtwarzaniu żywiołów wrogich. Patrząc na objawy świata z wysokiego stanowiska duchowego, wie, że każdy znamienny, żywotny rys natury i ludzi może i powinien stać się przedmiotem artystycznego obrobienia; stąd nie popada nigdy w jakiś ton jednostajny: patetyczny, rzewny, czy żartobliwy; owszem napełnia poemat taką nieprzebraną rozmaitością wszelkich usposobień, nastrojów i położeń, jaka jest właściwa życiu rzeczywistemu. Nie ma wyłącznego uwielbienia dla żadnego stanu, żadnej warstwy narodu,ani magnatów, ani szlachty, ani duchowieństwa, ani ludu wiejskiego, ani żydów; ale w każdym i w każdej odsłania znamienne ich właściwości, które bez uprzedzenia i nienawiści maluje, wprowadzając tam, gdzie mówi o powszednich drobiazgach lub stronach śmiesznych, promień łagodnej, wyrozumiałej, słonecznej ironii.

Najszczegółowiej przedstawił życie szlachty, jako warstwy mającej świadomość mniejszą lub większą zadań narodowych. Z pozoru wydaje się ona pogrążoną wyłącznie w zachodach około bytu cielesnego, niespragnioną wcale jakichś wyższych i szerszych ideałów: zajęta gospodarstwem, pracuje koło roli, spławia wiciny do Gdańska, wywozi pszenicę i żyto; a przywozi kawę i cukier, kłóci się z sobą o lada drobnostkę: o herb, o psa, o krój taratatki; nie okazuje wiele rozsądku, zastanowienia, rozwagi; a jeżeli już który szlachcic, zetknąwszy się z Niemcami, rozwinie w sobie pewną zręczność w sztuce myślenia, to jej używa całkiem mechanicznie, podnosi do przesady jakąś pozorną systematyczność, okrywając śmiesznością to, co w gruncie rzeczy na bardzo poważny

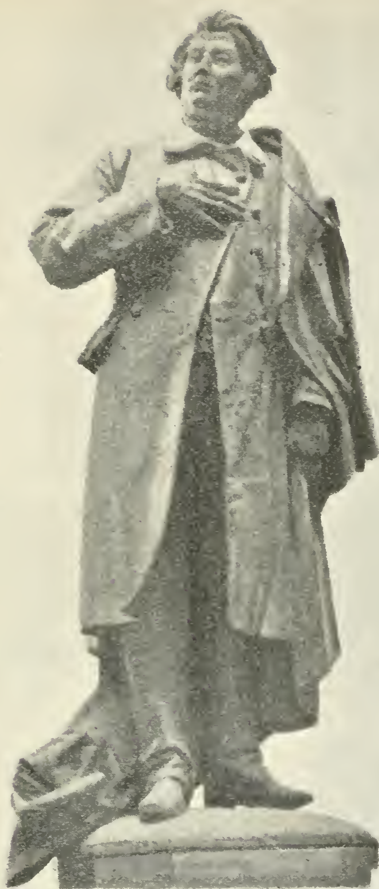
zasługiwałoby namysł. W sposobie mówienia lubi się posługiwać przysłowiami, dykteryjkami, pewną rubaszną jowialnością. To jedna strona jej duszy. A druga jakże odmienna! Jak łatwo ci ludzie zapominają swoich sporów, gdy czas wspólnego działania nadchodzi! jaka w nich dzielność i ofiarność, jakie serca poczciwe!... Poeta wciąż się wpatrywał w przenajświętsze lica prawdy, wciąż dobadywał się „czystej treści człowieka." Dowodem nadzwyczaj wielkiego panowania nad sobą i nad przedmiotem, dowodem mistrzowskiego poczucia prawdy i artyzmu było, że pisząc o przeszłości, nie wniósł do niej swego owoczesnego usposobienia religijnego, swego surowego, prawie ascetycznego poglądu na codzienne czyny i sprawy ludzkie; lecz roztaczając je przed nami z epickim spokojem, nawet cienia mistycznych swoich upodobań z doby pisania poematu do niego nie wprowadził. Na drobne wady, usterki i ułomności natury ludzkiej, na swary i całe zachowanie się szlachty zaściankowej, na zabiegi Telimeny około pozyskania męża, na zatrudnienia Zosi w ogródku i gospodarstwie domowem rzuca poeta uśmiech ironii pobłażliwej, jaki ma mąż dojrzały dla igraszek wieku dziecinnego, wiedząc, że inaczej być nie może, a nawet gdyby inaczej było, to możeby odmienione owe stosunki nie posiadały już dla nas tego powabu, co obecnie. Nie zawadzi nadmienić, że na wyrażenia, na styl w przedstawianiu szlachty wpłynęły staropolskie gawędy Henryka Rzewuskiego, z którym Mickiewicz ponownie spotkał się w Rzymie r. 1830/31.

Poeta staje się tedy *realistą* przedmiotowym, zarówno w pomyśle ogólnym, jak w malowaniu postaci, położeń i wypadków. On nie tworzy ludzi i rzeczy z fantazyi, jak romantycy, jak i on sam robił w znacznej części dawniej, ale ich odtwarza z rzeczywistości. Ponieważ niema na świecie ideałów, doskonałych bohaterów, niema ich i w jego poemacie, tak samo jak niema zupełnie złych; aniołowie i sza-

tani znikają, zostają tylko ludzie, w których złe z dobrem jest zmieszane.

Hrabia, wychowaniec epoki sentymentalnej, pędzący życie bezcelowe, szukający wszędzie silnych wrażeń, któreby jednostajnemu jego istnieniu dodały choć cokolwiek interesu, wielbiący konwencyonalnemi słowy piękności krajobrazu włoskiego, zachowujący zwyczaje angielskie, nie jest przecież śmiesznym jedynie dziwakiem; umie się zdobyć na rzeczywiste ofiary dla kraju, wystawia pułk własnym kosztem; lecz zarazem, nawet wtedy, w chwilach poważniejszego nastroju, nie traci swych rysów komicznych, bo mu przecież niepodobna się pozbyć starych nałogów; rozprawia sentymentalnie i po deklamatorsku, nosi się z teką rysunkową, poszukuje „punktów widzenia", nie wspomina tylko swojej przygody pod Birbante-rokka, gdyż ważniejszych dokazał już czynów... W Telimenie również, chociaż poeta uwydatnił jej wszystkie wady i śmieszności, nie zaniedbał pokazać i przymiotów, bodaj trochę łagodzących złe wrażenie; nie uczynił jej ani zalotnicą przedajną, ani spekulantką bez uczuć ludzkich, ale dobrą w gruncie Litwinką, zepsutą lekkomyślnym trybem wychowania i życia w klasach zamożniejszych, łatwością zawierania i zrywania małżeństw pod najbłahszemi pozorami, rozpowszechnieniem salonowych miłostek.

Przeciwnie, w postaciach dodatnich nie pominął i takich cech, które, dalekie od wymuszania na nas bezwarunkowego dla nich podziwu czy uszanowania, pozwalają nieraz uśmiechnąć się z nich swobodnie. Taki Sędzia np. poważny i poważany, zacny i rozsądny, ma przecież bardzo naturalne wybuchy popędliwości i porywczości, znamionujące nasz narodowy temperament; dość sobie przypomnieć jego rozmowę z Tadeuszem, gdy mu grozi „bizunem na kobiercu" w razie, jeśliby Zosi poślubić nie chciał. Prócz tego, w najwznioślejszej nawet chwili nie może zapomnieć urazy osobistej, chce i żąda, żeby go Hrabia prze-



Adam Mickiewicz.

(Z pomnika w Warszawie, rzeźba w bronzie Cypryana Godebskiego).

prosił; gotów on poświęcić wszystko dla ogółu, ale nie potrafi przezwyciężyć w sobie małej, drobniutkiej słabostki, z miłością własną związanej.

Najwydatniej przedmiotowość tworzenia artystycznego występuje w postaci Jacka Soplicy. Któraż z osób epopei wznosi się wyżej nad niego i któraż jest poetyczniejszą, bardziej bohaterską? A przecież poeta, przedstawiając jego życie codzienne, nie opuścił położeń całkiem powszednich, gdy np. potrząsa dobrodusznie ogórkami bernardyńskimi, widząc zaloty Hrabiego w ogrodzie, gdy w karczmie rozmawia z bracią szlachtą tak, że my dzisiaj nie możemy się nie uśmiechnąć z tych jego gawęd o „wielkich ludziach, co od jego tabaki kichali,“ chociaż równocześnie podziwiamy jego umiejętność zastosowania się do nizkiego poziomu umysłowego słuchaczy, do których przemawia. Mickiewicz miał ten talent olbrzymi malowania ludzi dobrych zgodnie z rzeczywistością, a więc z ich ułomnościami, słabostkami, wzbudzając atoli dla nich w ogólnem wrażeniu uczucie uszanowania, poważania, uwielbienia—i to bez żadnego naciąganego efektu, poprostu wskutek wewnętrznej prawdy i żywotności charakterów, jakie wystawiał.

Jak w malowaniu ludzi, tak też i w odtwarzaniu stosunków, co ich wiążą lub rozdzielają, widnieje taż sama przedmiotowość, ten sam realizm. Rozwija je poeta w trzech niejako kręgach, obejmujących ogół uczuć i interesów narodu: jednostkowym, towarzyskim i politycznym, każdemu wyznaczajac, zgodnie z prawdą, zakres i natężenie odpowiednie.

W stosunkach jednostkowych najwydatniejsze miejsce zajmuje miłość. W jej przedstawieniu widać największą różnicę od dawniejszego, romantycznego kierunku. W „Panu Tadeuszu“ mamy trzy jej rodzaje: jako naiwna, ukazuje się nam w uczuciu Zosi dla tytułowego bohatera; jako zalotna, w poszukiwaniach męża przez Telimenę, zwracającą się kolejno do Tadeusza, Hrabiego i Rejenta; jako gwałtowna,

w namiętnem ukochaniu Ewy Stolnikówny przez Jacka Soplicę. Pierwszego rodzaju Mickiewicz nigdy przedtem nie wystawiał, drugi znajduje się do pewnego stopnia w erotycznych wierszach z czasów odeskich, tylko że tam więcej jest poezyi zmysłów, niż tutaj, w swobodnie i z dobroduszną ironią opowiedzianych przygodach Telimeny; trzeci wreszcie rodzaj jest realistycznem przetworzeniem płomiennych wybuchów Gustawa z „Dziadów". Teraz miłość już nie jest dla poety ową potęgą, druzgocącą ludzkie istnienia, popychającą do samobójstwa, wyłącznym celem życia jednostek; wchodzi ona w skład tego życia jako epizod, bardzo ważny wprawdzie i bardzo wpływowy, ale nie pochłaniający całego umysłu, całej duszy człowieka.

Co do stosunków towarzyskich, tych poprzednio Mickiewicz prawie całkiem nie malował; zarysy, mieszczące się w „trzeciej części Dziadów", są odbiciem chwil wyjątkowych i skreślone zostały w wyraźnym, z góry powziętym celu odsłonienia takich tylko stron bytu społecznego, któreby uwydatniały dążność poematu. W „Panu Tadeuszu" dopiero znajdujemy *malowidło rodzajowe*, odtwarzające stosunki towarzyskie, zwyczaje i obyczaje, nie tylko ze względu na wątek epiczny, lecz także same w sobie, dla odzwierciedlenia tej nieskończonej rozmaitości objawów, jaką daje życie. Interes i zabawa splatają się tu tak ściśle ze sobą, że nie wiadomo nawet nieraz, o co właściwie ludziom idzie, o jeden, czy o drugą. Spór o kawał gruntu i o zrujnowany zamek ciągnie się tak powoli i daje pochop do tak licznych śniadań, obiadów, polowań i przechadzek, że można twierdzić, iż strony spierające się dbają raczej o wesołe przepędzenie czasu w miłem towarzystwie, aniżeli o załatwienie sprawy, jak bywało u nas w rzeczywistości. Sprawa ta jednak jest powodem kolizyi, sprowadza walkę prawdziwą w starciu się dwu na-

prawdę wrogich żywiołów, które potrącają już o trzeci, najwyższy krąg stosunków.

Towarzyskie sprawy roztoczone zostały szeroko, z całym epickim spokojem, jako obraz zwykłych i powszednich uczuć, myśli i interesów, wypełniających ludziom lata całe; gdy tymczasem sprawa polityczna, lubo najważniejsza, mało stosunkowo zajmuje miejsca w poemacie, jako obraz wielce natężonego uczucia, które w najwyższem napięciu długo trwać nie może i musi się przesilić w tym lub owym kierunku, ażeby przejść następnie w fazę spokojniejszą i łagodniejszą i znowu z interesami powszednimi się skojarzyć. Ta najwyższa sprawa, mieszcząca w sobie najgorętsze życzenia narodu, połączona jest z wielkimi powszechnodziejowymi wypadkami za czasów Napoleona, co nadaje historyi zaścianka litewskiego prawdziwie epiczne znaczenie, ogólniejszą cywilizacyjną doniosłość.

Przedmiotowość atoli, panująca w sposobie traktowania ludzi i stosunków z ich motywami, nie jest równoznaczna z bezosobowością, nie przemienia się w fotograficzność; uczucie bowiem silne, namiętne, lecz na wodzy trzymane, przenika całość i nadaje jej ten ciepły koloryt, co tak potężnie na czytelnika oddziaływa. Twórca epopei kocha kraj gorąco a tęsknie, bo w nim najmilsze wspomnienia pozostawił, bo w nim serce zbolałe znalezćby mogło jedynie ukojenie; kocha ludzi, których maluje, bo chociaż mają oni wady i nie są bez winy, jego to przecież rodacy; a ponieważ ukazują mu się w oddali czasu i przestrzeni, tem większe budzą spółczucie i miłość, gdyż są wolni od tych drażniących przywar, jakie w zetknięciu blizkiem a częstem utrudniają i mącą nasze uczucia i nasze stosunki.

W malowaniu zjawisk przyrody Mickiewicz równie jest mistrzem, jak w przedstawianiu uczuć i postępków ludzkich. Zostaje on w najściślejszym związku z naturą, kocha ją i podziwia; ale ta miłość nie

ma w sobie ani cienia chorobliwej czułostkowości, a podziw ten—to uznanie wspaniałego, wiecznie świeżego i zawsze prawidłowego rozwoju zjawisk wobec ruchliwej, zamąconej i zgiełkliwej gmatwaniny spraw człowieka. Przyrodę traktuje także poeta realistycznie, bez tych dowolnych i naciąganych kombinacyj, jakie u romantyków przeważały, bez tego wmawiania w zjawiska natury, że one spółczują z usposobieniami ludzi lub też z nich urągają. Przyroda występuje w „Panu Tadeuszu" sama dla siebie, a ludzie odczuwają jej powab lub grozę. Wspaniałe opisy łanów, borów, stawów, wschodu i zachodu słońca, pogodnej gwiaździstej nocy, a szczególniej burzy letniej należą do arcydzieł malarstwa poetyckiego.

Artystyczna działalność człowieka niewiele wprawdzie zajmuje miejsca w poemacie i ogranicza się głównie do oddania wrażeń muzycznych; ale w tych dwu ustępach, gdzie poeta już to piękną grę na rogu, już rzewną i wzniosłą improwizacyę na cymbałach maluje, czujemy się poruszeni do głębi, jak był bezwątpienia wzruszony i sam twórca.

Nie tylko jednak pod względem treści, lecz nie mniej i pod względem formy „Pan Tadeusz" stanowi w epice naszej pierwszy a zarazem najpiękniejszy przykład pojęć całkiem nowożytnych. Żadne „duchy" nie przyplątują się do akcyi i nie psują dobrego wrażenia, wywołanego obrazami rzeczywistości; żaden wogóle środek nieumotywowany nie ma tu wpływu najmniejszego; wszystko jest koniecznym wynikiem temperamentów, uczuć, myśli, zamiarów i charakterów ludzkich. A jak z fantastyką, tak też rozstał się poeta z wszelką niejasnością i ułamkowością, które służyły romantykom za środek wywoływania wrażeń niepewnych, nieokreślonych i nibyto nieskończonych. Wszystkie uczucia i myśli wypowiada tu Mickiewicz w pełni, wypadki rozwija organicznie, osoby i rzeczy maluje w niezrównanej plastyce. Spokój epiczny, wyjątkowo tylko w wyzna-

niach Jacka rozmyślnie zamącony, przedmiotowość w rozpatrywaniu spraw ludzkich, nie wykluczająca bynajmniej gorącego uczucia, wszechstronne objęcie przymiotów i wad człowieka, zarówno pod zmysłowym, jak i umysłowym względem; rozwaga, nie dozwalająca stwarzać ideałów bezwzględnych i płynąca z niej łagodna ironia, która nie dolewa goryczy, ale działanie jej owszem osłabia, błogiem uczuciem ukojenia napełniając serce: oto ważniejsze znamiona tego stanowiska poety. A styl zawsze zgodny z nastrojem, a porównania, zawsze trafne, zawsze logicznie rozwinięte, świetne i oryginalne, ściśle odpowiadają temu stanowisku, stanowią szatę jakby zrosłą z ciałem. Czy „Pan Tadeusz" nie ma wad wcale? Drobnych usterek w chronologii zdarzeń i w określeniach wieku ludzi, niepoprawnych prowincyonalizmów i zaniedbania w rytmice, nie brak, ale są to uchybienia ledwie dostrzegalne. Dotkliwszym jest brak, dotyczący treści: niema w „Panu Tadeuszu" kobiety-obywatelki, coby we właściwym sobie zakresie mogła być niewieścim równoważnikiem Sędziego lub Jacka Soplicy. Z tym brakiem, który zresztą wytknąć można prawie wszystkim wielkim poetom nowożytnym, pogodzić się musimy, a pogodzenie się tem łatwiej nam przyjdzie, gdy zważymy doniosłość stron dodatnich „Pana Tadeusza." Inni wielcy poeci prześcignęli naszego mistrza tą lub ową właściwością talentu, ale żaden nie doszedł do tej harmonii potęg ducha, w której ani jeden żywioł nie przemaga, lecz wszystkie w najwspanialszy zlewają się akord. Zapewne, *temat* „Pana Tadeusza" nie należał do najrozleglejszych i najgłębszych, jakie w czasach nowożytnych obmyślić było można, ale jego harmonijne rozwinięcie uczyniło zadość najwyższym wymaganiom sztuki, których Mickiewicz stał się poczęści prawodawcą, ponieważ pierwszy z nowożytnych spełnił w obranym przez siebie zakresie to, co przed wiekami, wśród prostszych nieskończenie stosunków,

dokonanem zostało w poematach Homerowskich, a mianowicie w Odysei, z którą nasza epopeja w najbliższym pozostaje związku, lubo góruje nad nią ogarnięciem najżywotniejszych i najdroższych uczuć narodu.

XI.

I u Mickiewicza owa najwyższa równowaga potęg duchowych nie trwała długo; szala przechyliła się niebawem ku uczuciowości i fantazyi. Wkrótce po ogłoszeniu „Pana Tadeusza" poeta nasz ożenił się, w końcu lipca 1834 r., z Celiną Szymanowską, znaną sobie dobrze z Petersburga córką słynnej fortepianistki. Ulotne miesiące cichego zadowolenia, a nawet „pustoty", minęły szybko; nastały długie lata troski o chleb powszedni dla rodziny. Mickiewicz zapadł znowu w rozmyślania religijno-moralne, opanowywujące umysł jego coraz silniej. Wczytywał się w dzieła mistyków: Tomasza z Kempis (wiek XV), Jakóba Boehmego (początek w. XVII), Anioła Ślązaka (druga połowa XVII w.), a szczególniej Saint-Martin'a, teozofa francuskiego z końca zeszłego stulecia. Z ich to dzieł wybierał, tłómaczył, przerabiał te „Zdania i uwagi", które w r. 1836 drukiem ogłosił, i te, które dopiero po jego śmierci wydano. Wówczas też prawdopodobnie napisał wiersz p. t. „Widzenie", ogłoszony dopiero po śmierci poety, wiersz wspaniały, najfilozoficzniejszy, jaki utworzył, przeniknięty mistycznym idealizmem. Mickiewicz przedstawia tu jakby swoje własne wyzwolenie się od przewagi zmysłów. Ciało jego „jak ów kwiat polny, otoczony puchem" prysło, zerwane tchnieniem anioła; a wówczas pozostało już tylko czyste „ziarno duszy." I zdało mu się wtedy, iż się „nagle zbudził ze snu strasznego", snu zmysłów, co go dręc-



Celina z Szymanowskich Mickiewiczowa.
Według dagierotypu rys. K. Mordasiewicz.
(Ze zbiorów Leopolda Meyéta).

czył długo. I „jak zbudzony ociera pot z czoła", tak on ocierał z siebie swoje „przeszłe czyny", które wisiały przy nim „jak łupiny wokoło rozkwitłego ziela." Cały świat, gdzie dawniej było dla niego „tyle ciemnic, tyle zagadek i tyle tajemnic", nad któremi niegdyś się biedził w rozpaczy, teraz roztworzył przed nim swe głębie... I ujrzał „całe wielkie morze płynące z środka jak ze źródła, z Boga, a w niem rozlana była światłość błoga." I mógł „latać po całym przestworze, biegać jak promień przy boskim promieniu mądrości bożej" i był naówczas w tej dziwnej wizyi „*i światłem i źrenicą razem.*" W „środku siebie, jakoby w ognisku" uczuł odrazu całą przyrodę; stał się „osią w nieskończonem kole", był „w pierwotnych żywiołów żywiole, w miejscu, skąd wszystkie rozchodzą się duchy, świat ruszające, same nieruchome." Ale duch poety nie tylko jest w środku owego „nieskończonego koła"; znajduje się on i na jego obwodzie; ponieważ koło to wciąż się rozszerza, więc i dusza wciąż rozszerzać i doskonalić się musi, poznając świat i ludzi do gruntu:

Stały otworem ludzkich serc podwoje,
Patrzyłem w czaszki, jak alchemik w słoje;
Widziałem, jakie człek żądze zapalał,
Jakie i kiedy sobie myśli nalał,
Jakie lekarstwa, jakie trucizn wary
Gotował skrycie...

Przy każdym człowieku dokoła stali aniołowie i duchy czarne „skrzydłami studząc albo niecąc żary, śmiejąc się i płacząc"; lecz zawsze posłuszni temu, kogo trzymali w objęciach, „jak jest posłuszna piastunka dziecięciu, które jej ojciec, pan wielki poruczy." Wola bowiem człowieka szanowana jest przez te duchy jako wolna; od niej zależy zbawienie lub potępienie, bo, jak Mickiewicz gdzieindziej

(w „Zdaniach i uwagach") za Aniolem Ślązakiem powiedział:

Bóg sam może świat zniszczyć i drugi wystawić,
A bez naszej pomocy nie może nas zbawić...

Sam znajdując w takich rozmyślaniach i widzeniach podnietę ku udoskonaleniu duchowemu, Mickiewicz do studyowania mistyków zachęcał też swoich przyjaciół i wielbicieli. Co parę lat temu publicznie jako ogólną wskazówkę dla „pielgrzymów" podawał, teraz szczegółowo w listach prywatnych rozwijał, usiłując mianowicie młodych i zapalonych wojaków, po większej części niedowiarków, przejąć myślą poprawy moralnej. Od Mickiewicza-to odbierał późniejszy wielce żarliwy, wielce utalentowany, ale i nader jednostronny kaznodzieja, *Hieronim Kajsiewicz*, w owe czasy zapalony demokrata i czciciel poety, przestrogi pełne namaszczenia religijnego. Radząc innym, Mickiewicz sam też pragnął przybliżyć się do ideału doskonałości moralnej, coraz bardziej i coraz ściślej jednocząc ją z formami kościelnemi. Dnia 19 grudnia 1834 r. zawiązał w Paryżu znane już nam stowarzyszenie pod nazwą „Braci Zjednoczonych." Czytanie, pisanie lub tłomaczenie książek treści religijno-mistycznej było jednem z ważniejszych jego zadań. Mickiewicz wraz z innymi podjął się naturalnie uskutecznienia tego zamiaru: przyjaciołom nasuwał różne pomysły, poddawał książki do przekładu, sam zaś miał przetłomaczyć ulubione sobie dzieła mistyczne, przypisywane uczniowi ś. Pawła, Dyonizemu Areopagicie. Przekładu tego nie dokonał; potrzeba bowiem było najprzód myśleć o pracach, któreby dały się spieniężyć, gdyż dochód z rozprzedaży poezyj wpływał nieregularnie i wystarczyć nie mógł. Poeta nie stał się wtenczas jeszcze fanatykiem prozelityzmu, zachęcał tylko księży, ażeby korzystali ze sposobności zebrania żniwa duchownego

w różnych stronach Europy a nawet Afryki; ale sam się od tego rodzaju pracy usuwał w przekonaniu, że to nie jego zakres działania.

Potrzeby tymczasem życia codziennego rosły; przyszłość ze swą niepewnością posępne myśli nasuwać zaczęła. Należało zająć się pracą, którąby doraźnie większy dochód zapewnić zdołała.

Początkowo zwrócił się poeta do rodzaju roboty, nie odpowiadającej ani jego usposobieniu, ani też przygotowaniu naukowemu: zamierzył skreślić krótką, przystępną dla ogółu historyę Polski. Rzecz ta zaprzątała go dość długo; rozpoczął ją w r. 1835, lecz szła mu oporem, gdyż musiał wielu rzeczy z gruntu nanowo się uczyć. A miał taki umysł, że nie mógł nigdy napisać tego, czego na pamięć nie umiał; ta właściwość przy tworzeniu poezyi nie tylko nie uciążliwa, ale nawet bardzo naturalna, w posługiwaniu się prozą narażała go na mnóstwo kłopotów. Jeszcze w r. 1838 biedził się z tem ciężkiem zadaniem, przerabiał różne rozdziały, czekając szczęśliwszego natchnienia, a myślał o niem jeszcze i później; ostatecznie nie została historya dokończona i wyszła z druku dopiero w r. 1868, p. n. „Pierwsze wieki historyi polskiej.” Oprócz wstępu, mieszczą się tu dzieje kraju naszego do roku 1194; niektóre opisy i charakterystyki są prześliczne; pogląd na dzieje i czyny ludzkie—religijno moralny.

Gdy tedy praca około historyi nie rokowała plonów pieniężnych, trzeba było chwycić się innego środka. Mickiewicz postanowił pisać po francusku, „dla chleba”, jak sam się wyraził. Z wprawy salonowej, z dawniejszej, petersburskiej próby, kiedy „Historyę przyszłości” kreślił, wreszcie z kilkoletniego pobytu we Francyi, zmuszającego do posługiwania się językiem francuskim, nabył takiej łatwości we władaniu nim, że mógł się odważyć na pisanie. Wielu cudzoziemców zarabiało wtedy piórem w Paryżu pokaźne sumy; dlaczegóżby i on nie mógł tym

sposobem kasy zasilić? Zrazu dawał krótkie artykuły do czasopisma: „Revue des Etats du Nord”, które pomieściło rozprawkę jego „O malarstwie religijnem w Niemczech” oraz powiastkę osnutą na wypadkach r. 1831 p. t. „Tydzień miodowy sierżanta” („La semaine de miel d'un conscrit”, w wydaniach polskich: „Moja pierwsza bitwa”); w r. 1837 skreślił dla dziennika „Le Globe” swoje wspomnienie o Aleksandrze Puszkinie, który tego właśnie roku zginął w pojedynku; wreszcie zwrócił się do twórczości dramatycznej, popłacającej wówczas najwięcej w stolicy Francyi. W ciągu r. 1837 wygotował pięcioaktowy dramat p. t. „Les confédérés de Bar” („Konfederaci barscy”), a gdy ten przez literatów francuskich (George Sanda, Alfreda de Vigny), którym go dał do oceny, został pochwalony, zaczął pisać drugi p. n. „Jacques Jasiński oux les deux Polognes” („Jakób Jasiński czyli dwie Polski”). Pierwszy z nich oddał Mickiewicz do teatru Porte St. Martin i liczył na przedstawienie, jak na wielki los loteryjny; niestety! losu nie wygrał; utwór naszego poety uznała dyrekcya za nieprzydatny do sceny. Dla nas to niepowodzenie spowodowało zatratę trzech aktów dramatu; autor mało się troszczył o dzieło odrzucone; przechowały się tylko dwa pierwsze akty, stanowiące dopiero ekspozycyę [1]. Mickiewicz poszedł w dramatycznym zawodzie drogą raczej Schillera niż Szekspira: rozmowy, dające nam poznać z różnych stron osoby, mają przewagę nad działaniem; rozmowy te wszakże bynajmniej nie są dyalogami epicznymi, lecz z małymi wyjątkami, mają istotne dramatyczności znamiona. Charaktery kreślone są rysami szerokimi i dobitnie się uwydatniają w swej odrę-

---

[1]) Zarówno te dwa akty „Konfederatów”, jak i ocalały urywek „Jakóba Jasińskiego” przełożył na język polski *wierszem*, dowolnie rozszerzającym tekst pierwotworu, Tomasz August Olizarowski.

bności. Wojewoda, ksiądz Marek, Kazimierz Pułaski, jego przyjaciel Choisy, Hrabina (córka Wojewody), Gubernator, Doktor — wszyscy mają silnie zaznaczone znamienne cechy, nie tylko w charakterach swoich, ale nawet do pewnego stopnia w sposobie zachowania się i mówienia. Zbyt długie rozwinięcie ekspozycyi zdaje się wskazywać, że działanie nie było dość szybkie w dramacie i dość harmonijnie przeprowadzone.—Urywek „Jakóba Jasińskiego" zarysowuje przeciwieństwo dwu rodzajów wychowania i wykształcenia w Polsce pod koniec XVIII wieku: staropolskiego i nowomodnego, uległego wpływom francuskim; do pierwszej grupy należy Wielki referendarz litewski, Klara i wierny jej sługa, Stanisław Romba, do drugiej — głównie biskup inflancki, przebiegły i przewrotny; — Jan Jasiński w tym urywku nie ukazuje się na scenie; domyślamy się tylko, że będzie doznawał opieki Klary.

Niepowodzenie zagrzewalo Mickiewicza do walki z trudnościami i przeszkodami. Wówczas to okazała się jego moc duszy, nie dająca się ocenić zwykłą miarą powszednich stosunków, lecz zrozumiała dla każdego, kto ma pojęcie o naturze genialnej. I mierne talenty skarżą się na ciężar i przykrości zawodu nauczycielskiego; cóż dopiero mówić o usposobieniu płomiennem, nieprzywykłem do pracy systematycznej, gdy mu wypadnie zaprządz się do taczki obowiązku, obrachowanego na godziny i zmuszającego do powtarzania pewnych słów jednostajnie, wytrwale, dopóki słuchający ich nie zrozumie. Skrzydlaty pegaz w jarzmie jest dobrym symbolem takiego stosunku. A jednak poeta nasz miał dość siły i hartu woli, by dla dobra rodziny symbol ten we własnem życiu rzeczywistością uczynić. W r. 1838 w Lozannie zawakowała katedra literatury łacińskiej. Dowiedziawszy się o tem, pośpieszył na miejsce, żeby podjąć starania dla osiągnięcia posady. Zabiegi jego pomyślnym uwieńczyły się skutkiem; miał pewność, że bę-

dzie mianowany profesorem; ale z Paryża otrzyma straszną wiadomość, że żona jego dostała obłąkania Zmuszony powrócić, przez kilka miesięcy, wśród przygnębiających stosunków materyalnych, rozciągał opiekę nad żoną i dziećmi. Gdy wreszcie Celina odzyskała przytomność umysłu, wybrał się w czerwcu r. 1839 do Szwajcaryi i przedsięwziął ponownie starania o katedrę, nie zajętą jeszcze. Powiodło mu się i tym razem. Dostał nominacyę na profesora tymczasowego z obowiązkiem wykładania 4 godzin tygodniowo w gimnazyum, a 2 godzin w akademii. Zarówno w jednem, jak w drugiej, wykładami swymi potrafił pozyskać uznanie i słuchaczów i zwierzchności szkolnej. W akademii mianowicie, oryginalnemi zestawieniami i porównaniami, wskazaniem trwałej żywotwości niektórych pomysłów, spotykanych u pisarzów rzymskich, obudził zajęcie dla dziejów literatury łacińskiej, która bywała zazwyczaj oschle, wyłącznie erudycyjnie wykładana. Gdy przytem znakomita autorka francuska, George Sand, w studyum, pomieszczonem w grudniowym z r. 1839 zeszycie głośnej już wtedy „Revue des deux mondes", zestawiwszy twórczość Mickiewicza z twórczością Goethego i Byrona, całemu światu cywilizowanemu dała poznać, jak wysoki był polot poetycki wieszcza polskiego, szwajcarska rada stanu pośpieszyła zamianować Mickiewicza profesorem „zwyczajnym" z podniesieniem pobieranej pensyi i z wyrażeniem wielkiego swego uznania dla jego działalności nauczycielskiej.

W tymże samym czasie, gdy Lozanna tak przywiązać chciała wieszcza naszego do siebie, Paryż starał się go pociągnąć widokiem wyższego i bardziej wpływowego stanowiska. Ówczesny minister oświecenia we Francyi, Wiktor Cousin, głośny myśliciel, szczepiący w swoim kraju znajomość filozofii niemieckiej, przejęty ważnością, jakiej wtedy nabierać zaczęła sprawa słowiańska, powziął myśl, nie-

wątpliwie pod wpływem uwag księcia Adama Czartoryskiego, ustanowienia w Paryżu katedry języków i literatur słowiańskich, pierwszej w całej Europie. Z tą myślą łączyła się ściśle druga: powołania na nową katedrę—naszego poety, jako najsławniejszego ze wszystkich słowiańskich i stosunkowo najlepiej znanego Europie. Zwrócono się do Mickiewicza z propozycyą i naleganiem; on długo się wahał; nareszcie z obawy, żeby katedry, mogącej wywierać wielki wpływ na umysły ogółu ukształconego, a może i rządu francuskiego, nie zajęła jakaś osobistość narodowości polskiej nieprzyjazna, skłoniła go, że względy spokoju i dobrobytu osobistego, jakie miał w Szwajcaryi, złożył w ofierze sprawie ogólniejszej i przeniósł się do Paryża (w październiku r. 1840), którego nie cierpiał.

Pobyt w Lozannie należał do stosunkowo dość szczęśliwych chwil w życiu Mickiewicza; sam on powiada, że wspominałby to ciche miasto „jak raj“, gdyby nie parokrotna choroba żony i dzieci, których wtedy było już troje. Naturalnie, smutków w niem nie brakowało; sama zamiana swobodnego dotychczas rozporządzania czasem i natchnieniem na ciężki obowiązek profesora, nie mogła się przyczyniać do budzenia wesołego nastroju. To też w tych kilku pięknych pieśniach, które powstały w Lozannie („Nad wodą wielką i czystą“, „Polały się łzy me“, „Gdy tu mój trup”, „Do samotności“, „Te rozkwitłe świeżo drzewa”, „Kochanek duchów“) brzmi cicha, ale głęboka i przejmująca nuta melancholii, której nigdy przedtem w egotycznych poezyach Mickiewicza nie było; atoli równocześnie powstał takżc wiersz („Snuć miłość”), niezbyt świetny pod względem formy, lecz podniosły treścią, wskazujący nam, że w poczuciu obowiązku i w miłości ogólnej ludzi szukał poeta pokrzepienia, otuchy i ukojenia w cierpieniach i zawodach, stawiając zasadę miłości jako najpotężniejszy

czynnik wszelkiego dobra. Ze spełnienia obowiązku ojca rodziny spływał nań spokój i stosunkowe przynajmniej zadowolenie, które mu Lozannę „jak raj" częściowo wystawiały.

XII.

Zdawało się, że przejazd do Paryża będzie tylko zmianą miejsca i zewnętrznych stosunków, ale nie wpłynie zasadniczo na dalsze życie poety. Stało się jednak inaczej, chociaż nie natychmiast.

Różne formalności urzędowe, z instalacyą cudzoziemca na posadzie nowej w „Kolegium francuskiem" (gdzie niegdyś Kochanowski słuchał wykładów) związane, oraz potrzeba przygotowania kursu literatur słowiańskich, do którego nie miał Mickiewicz żadnych przed sobą wzorów, nie pozwoliły mu rozpocząć odczytów zaraz po przybyciu do Paryża. Dopiero 22 grudnia 1840 r. odbyła się pierwsza lekcya, przy ogromnym napływie słuchaczów, pomiędzy którymi znajdowali się i najznakomitsi przedstawiciele literatury francuskiej. Lekcya ta wywarła ogólne zadowolenie; rozpisywały się o niej dzienniki francuskie z wielkiemi pochwałami, a rodacy w dzień urodzin i imienin profesora wydali na cześć jego wilię, nazajutrz zaś Eustachy Januszkiewicz, znany księgarz-wydawca na wychodztwie, urządził składkową wieczerzę. Na niej to Juliusz Słowacki, dobijający się o sławę już od lat 11, przemową swą poetycką pobudził w Mickiewiczu natchnienie i wywołał improwizacyę o powołaniu wieszcza narodowego, wypowiedzianą z taką siłą wzruszającą, iż wszyscy rozrzewnieni i rozgorączkowani padli na kolana przed mistrzem uczucia i słowa, ktorego twarz w owej chwili była „jak anielska", spokojna, piękna, jasna... Po drugiej lekcyi, Januszkiewicz wyprawił w dzień No-

wego Roku 1841 drugą ucztę składkową, na której ofiarowany był wieszczowi piękny, rzeźbiony puhar. Mickiewicz improwizował i teraz; mówił o przyszłości kraju, lepszej niż teraźniejszość. Ale ta improwizacya nie wywarła już takiego wrażenia jak pierwsza, znaleźli się zapaleni przeciwnicy wyrażeń użytych na określenie formy przyszłej Polski; uczucie zgody i miłości, skupiające biesiadników poprzednio, prysło ze zgrzytem. Było to niby przepowiednią przykrości, jakie spotkać miały Mickiewicza ze strony spółrodaków.

Wykłady szły swoim trybem. Profesor wypowiadał je z pamięci, tak samo jak w Lozannie; charakter ich też był podobny do lozańskich; nie odznaczały się one erudycyą, ani systematycznością, nie wyczerpywały przedmiotu, ale obfitowały w genialne rzuty myśli, rozświetlajace wielkie wypadki dziejowe i tłomaczące cudzoziemcom właściwości narodów słowiańskich, zarówno w ich życiu, jak w ich twórczości poetyckiej. Mickiewiczowi brakło nieraz potrzebnych książek, a to powodowało nierównomierny sposób traktowania różnych literatur i różnych epok; nie wszystkie też piśmiennictwa słowiańskie były mu równie dobrze znane, a stąd niezawsze mógł podać trafną charakterystykę objawów literackich; ale te usterki, dla większości słuchaczów zupełnie niewidoczne, wynagradzał poeta świetnym wykładem rzeczy wybornie sobie znanych, oraz ogólnymi poglądami i zestawieniami losów słowiańszczyzny z dziejami Europy. W 41 lekcyach pierwszego kursu wyłożył Mickiewicz dzieje piśmiennictw słowiańskich do początków wieku XVII-go.

Słuchacze Francuzi byli zadowoleni zarówno treścią jak i formą lekcyj świetnego improwizatora; Polacy natomiast robili im przeróżne, najczęściej całkiem nieuzasadnione zarzuty, zarówno prywatnie, jak w czasopismach emigracyjnych i poznańskich. Nie było należytej harmonii pomiędzy wychodźcami, uwa-

żającymi katedrę literatury słowiańskiej za jeden ze środków popierania sprawy narodowej, a Mickiewiczem, który z obowiązku uwzględniania twórczości wszystkich Słowian, wywiązywać się musiał. Już dowodów uznania takich, jak w owym 25 dniu grudnia, profesor od rodaków nie otrzymał, a Juliusz Słowacki w „Beniowskim" rzucił pełne goryczy wezwanie „dawnemu bogu" litewskiemu, utrzymując, że w nim „pęknięcie serca znać." Do tych goryczy publicznych przyłączyły się smutki domowe. Żona Mickiewicza po raz drugi w dawniejszą zapadła chorobę i do zakładu w Vanvres pod Paryżem odesłaną być musiała. Wtedy to pojawił się u poety naszego człowiek, który mu się jako zwiastun nowej ery religijnej przedstawił, żonę jego uzdrowił i w wir mistycznych rojeń i działań za sobą pociągnął. Był to rówieśnik Mickiewicza, równie Litwin jak on, marzyciel religijny, Andrzej Towiański.

XIII.

Chociaż przeróżne usiłowania, dążące do zapewnienia rodzinie znośnego bytu, hamowały wyraźniejsze objawy skłonności do mistycyzmu, nurtowała ona jednak w sercu poety głęboko i przy nadarzonej sposobności wybuchnęła gwałtownie. W formach swoich skłonność ta nie odstępowała od katolicyzmu, z każdym nawet rokiem silniej się z nim łączyła; ale jak u wszystkich prawie mistyków, tak i u Mickiewicza nie krążyła ona w dziedzinie dogmatów, lecz w zakresie praktyki i to na tle patryotycznem. Marzenie o udoskonaleniu ludzi, o ich reformie wewnętrznej, o ich przetworzeniu, a dalej, jako wynik tej przemiany, zastosowanie ścisłych zasad moralności do polityki, do wszelkich stosunków, łączących z sobą narody, a więc i polepszenie doli własnego

społeczeństwa było główną myślą, zajmującą Mickiewicza, czy to kiedy pisał „trzecią część Dziadów,“ czy „Księgi narodu i pielgrzymstwa“, czy rady dla Kajsiewicza, czy kiedy łączył się z przyjaciołm w związek „Braci Zjednoczonych“ i zamierzał tłomaczyć dzieła mistyczne. W przyprowadzeniu marzenia tego do skutku nie liczył nic na rozum ludzi; tylko na ich uczucie i wiarę, bo za rękojmię prawdziwości myśli i natchnień uważał nie rozum rozbiorczy, posługujący się porównywaniem i wnioskowaniem, lecz *intuicyę*, którą poczytał za władzę w człowieku najwyższą, nieomylną, dającą wprost i bezpośrednio pewność prawdy. Doznając nieraz w życiu widzeń nadzwyczaj wyraźnych i dokładnych, jakie mu stwarzała jego bogata plastyczna fantazya, i przepowiadając niekiedy ważne wypadki, Mickiewicz wierzył silnie w możność natchnień, czy wprost od Boga, czy od tych duchów dobrych lub złych, które, jak Konrada w „trzeciej części Dziadów“, ciągle otaczają człowieka i na każdą myśl jego czekają.

Towiański potrafił oddziałać na ten mistyczny nastrój poety. Nie mógł go on pociągnąć ani nauką, gdyż wykształcenie jego było zaledwie średnie, ani rozległością myśli, gdyż nie rozwinął żadnego oryginalnego poglądu, powtarzając jedynie stare wyobrażenia o wędrówce dusz, o kolumnach duchów dobrych i złych (jasnych i ciemnych), które prowadzą ludzkość wśród ustawicznej z sobą walki, i dodając do nich kult Napoleona jako męża opatrznościowego:— wpłynął jedynie na jego wyobraźnię i uczucie, gdyż wystąpił z nadzwyczajną pewnością siebie, jako posłaniec boży, zwiastujący nową epokę w rozwoju chrześcijaństwa i w urządzeniu stosunków międzynarodowych, zapowiadający rychły powrót wychodźców do kraju, spełniający niejako to, co Mickiewicz za najważniejszą sprawę ludzi wogóle, a narodu swego w szczególności poczytywał, to jest przemianę wewnętrznej, moralnej natury człowieka. Pojawienie się

Towiańskiego ze słowami tak pełnemi otuchy w chwili nadzwyczajnego przygnębienia poety, uleczenie żony, wyjawienie pewnych w jego życiu tajemnic, które, jak sądził Mickiewicz, nikomu nie mogły być znane, umiejętność zachowania postawy, nacechowanej godnością i prostotą, wzrok magnetyzujący, przemawianie wyrazami tajemniczymi, a wypływającymi z duszy silnie w sobie skupionej i monomanią opanowanej: to były okoliczności zewnętrzne, dopomagające do utwierdzenia wieszcza w wierze o prawdzie posłannictwa, którego treść—moralne przetworzenie dusz ludzkich i szczęście ich w dziedzinie iudywidualnej i narodowej — tak była zgodną z własną jego od lat wielu dążnością. Łatwo więc zrozumieć wyrażenie naszego poety, że wiara jego w słowa mistrza Andrzeja była wynikiem całego jego życia, wszystkich usposobień i prac duchowych; sam bowiem, żywiąc przekonanie, że ludzi odrodzić można słowem bożem, nie potrzebował zbyt wiele dowodów, że Towiański zdoła dokonać tego odrodzenia, gdy występuje z taką ufnością w swe posłannictwo.

Uwierzywszy zaś w to posłannictwo, Mickiewicz stał się najgorliwszym apostołem mistrza, który właśnie potrzebował kogoś w świecie znanego, żeby za jego pomocą marzenia swoje urzeczywistnić; sam bowiem do propagandy czynnej wśród liczniejszych zebrań nie był uzdolniony, umiejąc jedynie w ścisłem, poufnem kółku wpływ silny wywierać. Upojony radością, że zjawił się człowiek, którego, jak się Mickiewiczowi wtedy zdawało, on sam w „trzeciej części Dziadów“ przepowiedział („a imię jego 44“), gorliwie jął jednać wyznawców wśród wychodźców, zwoływać zewsząd przyjaciół, ażeby, porzuciwszy swe zajęcia, przybywali do Paryża i stawali się pomocnikami w sprawie najdroższych nadziei emigracyi (wiersz Mickiewicza do Bohdana Zaleskiego: „Słowiczku mój, a leć a piej“). Dnia 27 września 1841 roku odbyło się pierwsze publiczne wystąpienie To-

wiańskiego w katedrze paryskiej Notre Dame, dokąd Polacy wezwani zostali drukowanemi ogłoszeniami. Przyjąwszy komunię wobec zebranych, przemówił „mistrz", jako przysłany od Boga dla oznajmienia braciom, że wkrótce wszystkie cierpienia ludzkości i narodu ustaną pod panowaniem nowej epoki chrześcijaństwa, będącej zastosowaniem nauk ewangelii do wielkich spraw państwa i społeczeństwa. Wrażenie, wywarte tą mową było bardzo słabe; zwolenników nowego apostoła liczono zaledwie na jednostki, pomimo całego zapału, z jakim starał się o nich Mickiewicz. Towiański raz jeszcze spróbował publicznego wystąpienia w kościele św. Seweryna, lecz gdy ono nie ściągnęło nawet ciekawych, a policya paryska zwróciła już nań swe oko, zaniechał zebrań gromadnych i poprzestał na konferencyach prywatnych w domu Mickiewicza na których, potępiwszy, jak i nasz poeta, rozumowanie, pragnął wpływać jedynie uczuciem, budzić w wyznawcach bezwarunkową wiarę w swe słowa i ćwiczyć ich w wydobywaniu z siebie „czystego tonu" czyli zupełnego poddania się duchowi bożemu, mającemu spłynąć na każdego, kto z głęboką ufnością i miłością, a z zaparciem się samolubstwa, będzie się oń starał i kogo naturalnie łaska boża poświęci.

Potrzeba było geniuszu Mickiewicza, ażeby skłonić pewną cząstkę wychodźców do uwierzenia w zbawienność takich ćwiczeń pobożnych, a co ważniejsza, do utrzymania wyznawców przez znaczny przeciąg czasu wśród wysokiego nastroju duchowego, zwłaszcza że pierwotne obietnice o rychłym powrocie do kraju coraz bardziej w mglistą dal się usuwały. Często też apostoł nasz uginał się pod brzemieniem tego zadania i wołał do „mistrza" o pomoc, ale ten, jako marzyciel o chłodnym temperamencie, wcale nie odczuwając targań wewnętrznych tak potężnego i ognistego ducha, jakim był Mickiewicz, pocieszał go mdłymi i niejasnymi ogólnikami, pobudzając tylko ciągle

do robienia nieokreślonych w swej istocie wysiłków duchowych.

Na odczytach w Kolegium francuskiem podczas drugiego kursu (1841/2) poeta nasz nie występował jeszcze wyraźnie z głoszeniem nowej epoki w rozwinięciu ewangelii, ale przygotowywał umysły do jej przyjęcia, przez ustawiczne wskazywanie w dziejach i literaturze Słowian, szczególniej zaś Polski i Rosyi, wysokiego znaczenia zapału i ducha ofiary, oraz przez potępianie materyalizmu i rozumu samolubnego. Niebawem, w czerwcu, idei tej dał nazwę „mesyanizmu", zapożyczoną od Hoene Wrońskiego, oraz zapowiedział, że z Francyi wyjdzie siła, wstrząsająca posadami starej Europy.

Podczas wakacyj tegoż roku musiał Mickiewicz stanąć do walki z księżmi polskimi, dawniej jego wielbicielami, których on ku pobożności i udoskonaleniu moralnemu nawracał. Hieronim Kajsiewicz, świeżo właśnie wyświęcony na kapłana, został teraz jednym z najzaciętszych a szorstkich przeciwników dążeń mesyanicznych; starcie się między nim a Mickiewiczem było ostre i niewymownie przykre. Napróżno towiańczycy, chcąc złożyć dowód, że z kościołem nie zrywają, przystępowali do spowiedzi i komunii; księża wrogo względem nich działali. Dopiero gdy łagodny i zacny arcybiskup paryski, Affre, po widzeniu się z Mickiewiczem, wykazującym w słowach, żarliwego uniesienia pełnych, zamarcie ducha ofiary w duchowieństwie, radził księżom polskim wyrozumiałość i cierpliwość, zaniechali oni na czas jakiś wystąpień gwałtownych. Mickiewicz zaś, w zachowaniu się arcybiskupa widząc jakby ciche zgodzenie się na rozpowszechnianie nowej nauki, zaczął ją wykładać na lekcyach literatury słowiańskiej, (w roku 1842/3), dopatrując idei mesyanicznej w nowszych utworach poezyi polskiej, poczynając od Brodzińskiego a kończąc na Garczyńskim. Starał się przytem dla tej idei pozyskać swoich towarzyszów-profesorów w Kolegium



Pomnik A. Mickiewicza w Krakowie, z fotografii L. Majewskiego.

francuskiem, mianowicie Juliusza Micheleta i Edgara Quineta, którzy ze swego uczuciowo-poetycznego nastroju najbardziej zdawali się usposobionymi do wzięcia udziału w sprawie, mającej odrodzenie ludzkości na widoku. Wistocie obaj ci uczeni marzyciele kochali Mickiewicza jako człowieka, wielbili jako poetę pełnego zapału; dopóki mówił on na odczytach o przeżyciu się form starego kościoła i jezuityzmu, godzili się z nim zupełnie; gdy wielbił Francyę, jako kraj zdolny do czynów bohaterskich i będący świecznikiem Europy, radowali się szczerze w swem sercu patryotycznem; ale od tego częściowego uznania dla poglądów naszego wieszcza daleko było do wiary w ich całość, a tembardziej do wiary w posłannictwo Towiańskiego.

Nieco lepiej wiodło się ze spółziomkami. Na jednem z posiedzeń „Towarzystwa historyczno-literackiego“, którego Mickiewicz był prezesem, zdołał on zjednać dla mesyanizmu podobno 44 wyznawców; z pomiędzy poetów przyłączyli się już poprzednio do towiańczyków: Juliusz Słowacki i Seweryn Goszczyński. Na tych jednak zdobyczach zatrzymało się powodzenie mesyanizmu. Wszelkie próby przemówienia do przekonania Adama Czartoryskiego rozbiły się o ścisły jego katolicyzm: a w łonie „Towarzystwa historyczno literackiego” powstały niechęci względem prezesa, gromiącego członków za ducha partyi, niechęci, które się w r. 1844 zamieniły w otwartą opozycyę. Mickiewicz już wtedy w Kolegium francuskiem wprost zaczął rozbierać ciemne i mętne pisemko Towiańskiego: „Biesiada“, podając je za najwznioślejszy utwór współczesnej literatury polskiej,—wreszcie 19 marca 1844 wezwał obecnych na lekcyi towiańczyków, ażeby zaświadczyli istnienie nowego objawienia, ażeby wypowiedzieli wyraźnie, iż znają i uznają „mistrza”. Wezwani złożyli to świadectwo. Tak dokonało się publiczne ujawnienie, wobec mnóstwa słuchaczów, faktu, że profesor Kolegium francu-

skiego, ostro krytykujący kościół „urzędowy“ i politykę urzędową, przepowiadający urzeczywistnienie idei Napoleońskiej, jest apostołem nauki Towiańskiego, którego rząd Ludwika Filipa przed dwoma laty z Francyi wydalił. Zwróciło to uwagę ministeryum oświecenia; i gdy Mickiewicz na lekcyi z 28 wzniósł toast na cześć Napoleona, zaproponowało mu, ażeby zażądał dłuższego urlopu, na co zgodzić się musiał. Z drugiej strony Polacy-katolicy ostro teraz i publicznie, w druku, wystąpili przeciwko poecie, jako szerzycielowi nauki przeciwnej dogmatom kościoła. „Towarzystwo historyczno-literackie“ w znacznej swej części oświadczyło się przeciw swemu prezesowi tak, iż Mickiewicz musiał złożyć tę godność.

Tym sposobem już od drugiej połowy r. 1844 apostoł mesyanizmu nie posiadał środków publicznego rozszerzania go, a więc usilniej jeszcze starać się był zmuszony o pozyskanie jakiegoś potężnego sprzymierzeńca, któryby znaczeniem i wpływem swoim mógł istotnie dać ciało marzeniom mesyanicznym. Już dawniej zwracano się w tym celu do Rotszylda; teraz ponowiono odezwę, przyznano Izraelowi wielką misyę w „sprawie bożej,“ ale skutku pożądanego nie osiągnięto. Niektórzy członkowie, pod wodzą Juliusza Słowackiego, oderwali się od koła Mickiewiczowskiego; inni osłabli w swej ufności. Towiański winę niepowodzenia tego kroku złożył na Mickiewicza. Dla usprawiedliwienia się musiał nasz poeta w maju r. 1845 pojechać do Szwajcaryi, ale chociaż odbył naznaczoną sobie przez mistrza pokutę, zupełne porozumienie się nie nastąpiło; stosunki pozostały w naprężeniu. Tak przeszedł ciężki wielce i dla narodu naszego i dla Mickiewicza rok 1846. Towiański całkowicie już zaniechał pierwotnego motywu wystąpienia swego i zaprzestał mówić o powrocie wychodztwa do kraju; zawarł się natomiast wyłącznie w ogólnej dziedzinie udoskonalenia moralnego. Mickiewicz nie mógł się tak łatwo wyrzec nadziei,

za pomocą której pozyskał niewątpliwie największą część wyznawców; ochłódł też w swem pierwotnem zaufaniu względem mistrza. Towiański pogrążał się w marzeniach, zadowolony hołdami szczupłego kółka; Mickiewicz, zawsze dążący do czynu, nie zaniedbywał żadnej okoliczności, jaka zdawała się do urzeczywistnienia idei odrodzenia narodu i ludzkości prowadzić.

XIV.

Gdy we Włoszech r. 1848 rozpoczęły się ruchy narodowe, Mickiewicz 21 stycznia pośpieszył do Rzymu, ażeby u papieża Piusa IX, który początki rządów swoich zbawiennemi reformami zaznaczył, uzyskać posłuchanie i nakłonić go do wzięcia inicyatywy w umoralnieniu stosunków politycznych i rozpłomienieniu dusz ideą miłości i poświęcenia. Gwałtowny ton mowy poety zraził łagodnego papieża; o uznaniu nauki Towiańskiego nie mogło być mowy; a co do myśli politycznych, nie wdawał się Pius IX w ich rozbiór i pójść za niemi nie zamierzał. Nie osiągnąwszy jednego celu, zajął się Mickiewicz innym. Jak tylko wybuchła w Paryżu rewolucya lutowa, powziął chęć wskrzeszenia tradycyi legionów polskich; zwrócił się z tym projektem do możnych panów, lecz ci z lękiem od współudziału się usunęli, mianowicie Zygmunt Krasiński. Wówczas, nie porzucając samego zamiaru, postanowił uskutecznić go choćby na drobną skalę, powołując młodzież, bawiącą w Rzymie na studyach artystycznych. Tu znalazł odgłos. Zebrała się garstka 14 ochotników, z którymi 10 kwietnia opuścił Rzym i morzem pojechał do Liworna, skąd koleją żelazna do Empoli, a następnie piechotą do Florencyi, gdzie prócz entuzyastycznego przyjęcia, znalazł także zasiłek pieniężny. Dnia 8 maja przybył

ten zarodek przyszłego legionu do Medyolanu i tu w przeciągu miesiąca przetworzył się na zastęp, który pod dowództwem Mikołaja Kamieńskiego mógł wyjść do boju z wojskami austryackiemi, dostawszy rozkaz zajęcia części pogranicza od Tyrolu.

Mickiewicz, doprowadziwszy do skutku choć w tej formie myśl swoją, odjechał do Paryża, by usilnemi staraniami zwiększyć liczbę ochotników i utworzyć drugi legion. Przy pomocy pieniężnej Ksawerego Branickiego zdołał pod koniec lipca i w początkach sierpnia wysłać do Włoch cztery oddziały, liczące po sto lub kilkadziesiąt ludzi, pod dowództwem Michała Chodźki, Maurycego Haukego i innych. Oprócz spraw legionowych miał wtedy Mickiewicz na myśli powrót na katedrę w Kolegium francuskiem, ale rząd Rzeczypospolitej nie okazał się względniejszym od rządu Ludwika Filipa. Z Krakowa zaproponowano mu objęcie katedry historyi literatury polskiej; poeta nasz zgodził się, ale nie można było marzyć o zatwierdzeniu go na posadzie przez rząd austryacki, przeciwko któremu tworzył we Włoszech legiony.

Wynik głosowania powszechnego we Francyi z dnia 10 grudnia 1848 r. powołujący na prezydenta Rzeczypospolitej Ludwika Napoleona, elektryzująco podziałał na Mickiewicza. Czcząc bohatera wieku, miał on i dla jego rodziny szczere uznanie, był z nią w stosunkach przed r. 1848 i wówczas już przepowiadał jej dostanie się do rządu. Teraz sądził, że Ludwik Napoleon spełni jego nadzieje odrodzenia Europy. Chcąc w tym kierunku współdziałać, założył w połowie marca r. 1849 dziennik polityczny p. t. „La Tribune des peuples“ (Trybuna ludów). Sam wiele pisał do tego dziennika [1], nie wiążąc się z żadnem stronnictwem francuskiem, ale powstając

---

[1]) Znaczną część artykułów Mickiewicza z „Trybuny“ przedrukował syn jego w dziele „La politique du dix-neuvième siècle.“ Paryż. 1870.

gwałtownie przeciw zachowawcom i legitymistom. Wyznanie jego wiary polityczno-społecznej z owego czasu można określić jako *socyalizm mistyczny*, mający na widoku przedewszystkiem i głównie poprawę wewnętrzną człowieka, kwestye zaś bytu materyalnego usuwający z pierwszego planu. Ze szczególnym naciskiem dążył Mickiewicz do tego, ażeby chłopi, nie zważając na arystokracyę i wyższą hierarchię, wybierali swoich przedstawicieli z pośród ludzi ściśle złączonych z życiem wiejskiem... „Trybuna“ istniała niedługo. Z d. 16 października opuścił ją Mickiewicz, przestał zajmować się gorączkowo sprawami politycznemi i zamknął się w obrębie życia domowogo, otoczony szczupłem kółkiem wiernych mu towiańczyków. Nadzieje, obudzone ruchem roku 1848, rozwiały się; siła rządowa wzrastała; Napoleon z prezydenta Rzeczypospolitej został cesarzem Francyi. Poeta nasz, w zamian za katedrę w Kolegium francuskiem otrzymał 30 października 1852 r. posadę bibliotekarza biblioteki arsenału, z mieszkaniem i 2000 franków pensyi i był z niej zadowolony, przywykłszy podczas propagandy mesyanicznej do znoszenia nie tylko niedostatku, ale nawet nędzy. Zabierał się do pisania dalszego ciągu „Pana Tadeusza“, lecz zamiaru tego wykonywać nawet nie zaczął. Ożywił się znowu podczas wojny krymskiej; w maju 1854 napisał notę o położeniu Rygi, jako podstawy działań wojennych na brzegach morza Baltyckiego; po zdobyciu twierdzy Bomarsundu na jednej z wysp Alandzkich przez wojsko mocarstw sprzymierzonych (17 sierpnia tegoż roku) wyśpiewał odę łacińską na cześć Ludwika Napoleona — ostatni swój utwór poetycki... Utraciwszy 5-go marca 1855 roku żonę, stłumił boleść, zajmując się jeszcze gorliwiej sprawami ogólnemi. Wypracował memoryał o utworzeniu legionu polskiego na Wschodzie, a następnie wyrobiwszy sobie u rządu francuskiego zasiłek, 11 września opuścił Paryż, by pojechać do Kon-

stantynopola, przyjrzeć się pułkom kozaków ottomańskich, formowanym przez Michała Czajkowskiego, i wziąć czynny udział w wojnie. W pierwszych dniach października wybrał się do Burgas, gdzie te pułki się znajdowały, żył tu trybem obozowym, który polubił, i roił o utworzeniu legionu z Izraelitów.

Z wycieczki tej powróciwszy do Konstantynopola, zajmował się wprowadzeniem w czyn planu swego; miał nawet dobre pod tym względem nadzieje; lecz niebawem nagle się rozchorował. Dnia 26 listopada 1855 roku o godzinie dziewiątej wieczorem, zachowując prawie do ostatniej chwili przytomność umysłu, rozstał się z tym światem. Ciało zabalsamowane przewieziono 30 grudnia uroczyście, przy licznym zbiegu ludzi najrozmaitszej narodowości, na parostatek, który zawiózł zwłoki wieszcza do Francyi. Dnia 21 stycznia 1856 r. złożono je na cmentarzu w Montmorency, obok zwłok żony, gdzie spoczywały, dopóki dzięki wytrwałym zachodom młodzieży nie udało się przewieźć ich do Krakowa i wśród najwspanialszego i najrzewniejszego nastroju pochować 4 lipca 1890 r. na Wawelu, obok królów i bohaterów, niedaleko od trumny Tadeusza Kościuszki.

XV.

Takie były koleje życia i twórczości Mickiewicza. Pozostał on nazawsze młodym w najszlachetniejszem znaczeniu tego pojęcia. Od wiersza filomackiego, pisanego w trzecim roku studyów uniwersyteckich, do ostatniego memoryału, kreślonego przed wyruszeniem do Konstantynopola, gdzie go śmierć czekała, chciał on wciąż i wytrwale wznosić gmach społeczny „na nowych posadach“; nie przestawał nietylko mówić, ale i czynić wszystko, by zasada wolności i sprawiedliwości zarówno w świecie mo-

ralnym, jak społeczno-politycznym otrzymała zwycięstwo. W całej działalności swojej był najzawziętszym wrogiem samolubstwa, a wytrwałym głosicielem idei poświęcenia. Był indywidualistą, lecz umiał indywidualizm swój zespolić jaknajściślej z ideałami życia społecznego. Pragnął swobody najrozleglejszej dla każdej jednostki tak, żeby ona mogła zachować swe odrębne prawa duchowe wobec całej ludzkości; lecz równocześnie żądał, iżby jednostka ta gotowa była ponieść wszelkie ofiary, nawet ofiary z życia, dla udowodnienia prawdy i słuszności słów swoich i dążeń. Nie zrażał się niepowodzeniem, zawodami; z istnie młodzieńczą energią podejmował jedno usiłowanie za drugiem, by apatyczną, stężałą, zaskorupioną w materyalnem użyciu masę ludzi podnieść na wyżyny ducha i uczynić ją zdolną do rozpłomieniania się, do przyjęcia prawd wielkich i świętych, do uczynienia starań, iżby zasady, głoszone ustami, nabrały kształtów żywych, przez zastosowanie ich w praktyce społecznej i politycznej. Przeobrażenia, żądane przez Mickiewicza w kościele i państwie, mogą ulegać zarzutom z różnych punktów widzenia, lecz nikt, kto szlachetny, nie może mu odmówić uwielbienia dla samej jego podniosłej dążności, która dzisiaj tem cenniejszą się okazuje, im otaczające nas stosunki ogólno-cywilizacyjne są nikczemniejsze.

Nie śmiejąc twierdzić, za Zygmuntem Krasińskim, że Mickiewicz był dla nas „wszystkiem“ i że „wszyscy z niego” jesteśmy, musimy uznać, że dokonał on—z pomiędzy poetów naszych—rzeczy największych i najpiękniejszych, nie tylko we właściwej sobie sferze twórczości, ale także i w dziedzinie społecznej, ponieważ jego poezya, jako rzeczywiście wielka, oddziaływała na naród tak jak życie samo, z tym jeszcze dodatkiem, iż zawierała i zawiera w sobie najszczytniejsze pomysły, mające na celu uduchowienie społeczeństwa. Mickiewicz był największym

i najbardziej wpływowym nauczycielem płomiennego patryotyzmu,—wymownym głosicielem wolności i braterstwa zarówno wszystkich stanów w narodzie, jak wszystkich narodów w ludzkości, — nieustraszonym przeciwnikiem wszelkiego fałszu, obłudy, matactwa, szalbierskiej dyplomacyi, materyalizmu w życiu i rutyny we wszystkich zakresach działalności społecznej,—apostołem wytrwałym idei udoskonalenia wewnętrznego i zamienienia ideału w rzeczywistość, przez niecenie w duszach świętego ognia zachwytu i żądzy sprowadzenia nieba na ziemię, — geniuszem poezyi, stwarzającym nieśmiertelne obrazy życia narodowego w kształtach plastycznych i odzwierciedlającym wzniosłe wizye duszy wielkiej i szczerej z taką głębią uczucia, jakiej przed nim nie znano,—charakterem niezłomnym, usiłującym nie zaprzeczać w życiu tym szlachetnym myślom, jakie rozwijał w poezyi lub głosił z katedry, lecz zastosować swe czyny, nawet z zupełnem poświęceniem dobrobytu materyalnego, do tych norm idealnych, jakie sobie i innym nakreślił... Mógłże wpływ takiego poety i takiego człowieka na naród nie być olbrzymim? Czyż wpływ ten i na dalszą przyszłość rozciągać się nie będzie, przelewając ognie płomiennej duszy w piersi słuchaczów i przenosząc ich coraz wyżej i wyżej w sferę najwznioślejszej doskonałości?...

XVI.

Spółtwórcy ruchu romantycznego, Zaleski i Goszczyński, wprowadzili, podobnie jak Mickiewicz, nowe pierwiastki do swoich poezyj, pisanych po r. 1831, każdy zgodnie ze swojem usposobieniem oddziaływając na wpływy zewnętrzne.

JÓZEF BOHDAN ZALESKI staje się także mistykiem jak Mickiewicz, ale nigdy nie schodzi z drogi,

przez kościół katolicki wskazanej... Zabawiwszy w końcu r. 1831 we Lwowie i zabrawszy znajomość z tamtejszymi młodymi literatami, pojechał do Paryża, zbliżył się osobiście do Mickiewicza, politykował zawzięcie jako stanowczy zwolennik demokracyi, nazywając nawet twórcę „Pana Tadeusza“ szlachcicem; zostawszy w r. 1834 członkiem „Braci Zjednoczonych“ coraz silniej rozwijał w sobie uczucie religijne i na jego tle porządkował swe poglądy na dzieje i zadania życia. Miejsce dawniejszej swobody i wesołości, zajął smutek, przygnębienie, boleść i tęsknota, nie dochodzące jednak bynajmniej do rozpaczy, bo go pokrzepiały wciąż obietnice religii. Jeżeli się smucił, to dlatego, że chwila młodocianego szczęścia minęła, że był oddalony od Ukrainy, którą chciałby mieć nawet w niebie, i że mu nic się już nie powodziło. Odrywając się od ziemi, wyrzekając na mądrość świata bałamutną, korząc się w pyle przed Panem, wyśmiewając lichotę wszystkich ulepszeń materyalnych w społeczeństwie (drogi bite, koleje żelazne, wynalazki itp.), zachęcał wszystkich do pokory, do porzucenia „owocu z drzewa wiadomości“ a do szukania: „tchu, powiewu, czegoś z nieba.“

Nastrój swój osobisty wyśpiewał najlepiej i najznamienniej w fantazyi p. t. „Kalinowy most.“ Nazwą tą lud ukraiński oznacza „jakąś czarodziejską kładkę na wodach żywota, po której omamienie po omamieniu lat wiośnianych wymykają się niepowrotnie.“ Poeta staje na tym moście i przypatruje się przemiennym falom, co gdzieś w bezmiar biegną. Chciałby powrócić do swobody lat młodzieńczych, ale się zatrzymuje wpół drogi i każde takie wdarcie się do skarbnicy dawnych pamiątek kończy smutną wrotką:

Cyt—cyt—pieśni! Pieśń szczebiotka,
Prządka moja z kołowrotka
Nitki srebrne, nitki złote,
Snuje, plącze mi w *tęsknotę!*

W ten sposób pojawiają się i znikają: rusałka, pieśń, przyjaciele, matka-Ukraina; a przypomniawszy się na chwilę poecie, uchodzą pożegnane smutkiem. O „pieśni“ czytamy tu np. że „bieda“ zrywa pieśniarzowi strunę po strunie i nie daje mu nic nigdy dośpiewać; a pieśń „połkniona“ zachmurza mu życie.

W skardze tej tętniła prawda. W latach największej płodności (1835—37) zaczynał Zaleski kilka poematów na rozleglejszą skalę pomyślanych, a wykończył ledwo dwie i parę mniejszych. I tak ze „Złotej dumy“ (przezwanej także: „Przodkowie)“, mającej się składać z 3 części a 9 „nawrotów“ ukończył tylko część 1 szą w 3 nawrotach, śpiewając dzieje Hanki, ostatniej z książąt Różyńskich, co kochając piewcę, Maryana Bukata,—w postaci i stosunkach którego Zaleski siebie i własne swoje rodzinne wspomnienia wyobraził — ma być wbrew woli wydana za jakiegoś magnata, a tymczasem porywają ją Tatarzy. Zacny ksiądz Jacek wybiera się do obozu tatarskiego, by ją wykupić, a Bukat przywdziewa zbroję, by na czele młodzieży pójść odbić Hankę... Wiersze 10-zgłoskowe płyną gładko i dźwięcznie; tu i owdzie napotyka się zwrot śliczny, ale rozwlekłość i brak plastyki nie pozwalają uznać tego utworu za piękny.—Podobne zalety i wady ma poemat w 3 dużych pieśniach p. t. „Potrzeba Zbaraska,“ pisany wierszami 14 zgłoskowymi, przeciągłymi „jak nuta stepowa.“ Sam Zaleski wysokie miał wyobrażenie o tym utworze. „Czuję— pisał on do przyjaciela w r. 1836—że to, co dziś piszę, więcej warto, niż to, co dotąd pisałem; zdaje mi się, że dawniej piszczałem tylko, a porastałem w puch i pałki, a dziś już śpiewam i latam na własnych skrzydłach“ [1]). Szczegółów pięknych nie brak istotnie „Potrzebie Zbaraskiej“, mianowicie w tem, co

---

[1]) „Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego“ w „Przewodniku naukowym i literackim“ lwowskim 1899.

Zaleski mówi o poezyi, o pieśni; ale nużąca jednostajność nastroju i uczuć, rozwiewność postaci, nawet głównych, Ostapa Daszkiewicza i Bohdanka Różyńskiego, którzy odbywszy pomyślną wyprawę na Wołoszczyznę, ustanawiają porządek w kozaczyznie i przysięgają walczyć wspólnie z Lachami, są to wady wskazujące, że dobrym epikiem poeta nasz zostać nie mógł, tak że nieporównanie lepszą od tego dużego poematu wydaje mi się króciutka duma „Czajki", ten sam nosząca napis, co i jedna z dumek poprzedniego okresu. Sam Zaleski ani „Potrzeby Zbaraskiej", ani „Złotej dumy"—prócz drobnych urywków—, nie drukował za życia; wyszły one dopiero w jego „Dziełach pośmiertnych" (Kraków, 1891, dwa tomy).

Za życia, ogłoszone były dwa epickie utwory: „Przenajświętsza Rodzina" (gotowa do druku w 1839) i „Duch od stepu" (napisany r. 1836 nad Renem).

„Przenajświętsza rodzina"—to sielanka biblijna, która za pomocą plastycznego opisu miejscowości i zwyczajów wschodnich, mogłaby była nabrać niemałego wdzięku; ale ponieważ Zaleski w czasie jej tworzenia nie znał Wschodu naocznie (podróż do Ziemi Świętej odprawił dopiero w r. 1843), tylko z opisów, a powtóre ponieważ brakło mu wyższego talentu plastycznego, nie potrafił więc tej zalety nadać utworowi: opisy jego są ogólnikowe; charakterów niema wcale; są tylko cienie: Maryi Panny, Józefa, Elżbiety i 12-letniego Chrystusa. Gdyby zaś kto powiedział, że poeta naumyślnie nie chciał rysować swych postaci realistycznie i wolał jak starzy włoscy mistrze malarstwa zgrzeszyć rysunkiem, niż silić się daremnie na oddanie nadziemskiego piękna; to można przeciwnie przytoczyć dowód, że Zaleski traktował postaci swego poematu jak zwyczajne osoby; a co więcej nie wahał się użyć rysów trywialnych; dosyć przytoczyć wyrażenie: „Józef w swem sercu wcale go nie winił, lecz Marya *swoje!...*" poczem następuje narzekanie, na które Chrystus odpowiada: „Matko, *niewiasto* ko-

chana, azali jużem nie uczył *duszkę*—twoją duszę..."
Oczywiście do tak kreślonych figur ani umysł, ani serce, ani fantazya przywiązać się nie mogą, bo nie widzą w nich ani boskiego uniesienia, ani ludzkiego ciepła i blasku. Kilka tylko ustępów jest tu prawdziwie cudnych, a za najpiękniejsze uważam dwie sceny z Samarytanką, co to nie śmie się zbliżyć do cór i synów Izraela. Jest w nich myśl istotnie wielka; króciutkim a obrazowym sposobem dają nam przeczuć w Chrystusie serdecznego zwiastuna zasady miłości dla wszystkich ludzi. Zepsuł atoli poeta scenę drugą dodaniem myśli, że Samarytanką jest cała biedna ludzkość, zostająca pod starą klątwą grzechu pierworodnego; ani logicznie bowiem ani estetycznie takie porównanie upowodować się nie da; jeżeli Samarytanką jest cała ludzkość, to czemże są Izraelici? czyż aniołami, czyż samym Chrystusem?

Na największych wyżynach poezyi umieszczony został przez Mickiewicza „Duch od stepu" (drukowany 1841, w Paryżu), ale niesłusznie. Jest to wcielenie mistycznych marzeń Zaleskiego zarówno o swojem przedwiekowem pochodzeniu, jak i o rozwoju dziejów ludzkości. Życie ludzkie według poety jest przypomnieniem chwil spędzonych niegdyś w raju; dzieje ludzkości, powstały z buntu, pożywających owoc wiadomości, przeciwko duchowi bożemu, i tem są smutniejsze, im większe rozmiary bunt ten przybiera. Wszystkie wypadki wszechświatowe są w gruncie tajemnicą, bo któż może wypowiedzieć znaczenie choćby jednej głoski słowa bożego?... ale Zaleski wierzy niezachwianie, że losami narodów kieruje Opatrzność; nie rozpacza więc o ich doli. Zdaje mu się, że widzi i słyszy cuda i pragnie je spółbraciom swoim objawić. W pierwszych siedmiu ustępach (wszystkich jest 23) opowiada w sposób poetyczny dzieje swego dzieciństwa, młodości, powołania wieszczego, pielgrzymstwa, smutków; a w dalszych dzieje ludzkości od życia w raju aż do chwili

sobie spółczesnej, ze znamiennem uwydatnieniem roli Ukrainy w dziejach formowania się narodów Europy nowożytnej; a to wszystko jako widzenie własnego swego ducha, przypominającego sobie swe koleje w ciągu wieków przebyte. „Ideę mesyaniczną" uznaje, ale w skromnej mierze; Polska grzeszyła, „swawoliła." Potępiając cywilizacyę nowożytną i rozum, Zaleski, tak samo jak Mickiewicz, miał niewątpliwie na widoku zobojętnienie Europy na szlachetne hasła; przekonanie atoli o niższości rozumu od uczucia i natchnienia prowadziło wprost w mgliste dziedziny mistyki. A czy poeta dał przekonywający dowód tej niższości? Czy jego natchnienie rozwikłało nam jakieś tajemnice, wyjawiło nam jakieś ważne prawdy? Czy zyskaliśmy choćby maleńki promyczek światła, któryby nam w tej ziemskiej wędrówce mógł posłużyć za wskazówkę właściwego celu wszystkich dążeń naszych?... Niestety, za całą odpowiedź słyszymy, że coraz gorzej na świecie, który „łysieje jak opoka" i kupczeje, że się tu czubią ze ślepym ślepy, że wyzwolony rozum pisze grube bluźniercze księgi i że potrzeba się zatopić w mistycyzmie, aby ujrzeć... cuda; sam poeta wszelako cudów tych nie ujrzał, a przynajmniej nie umiał ich nam przedstawić.

Z rokiem 1845, kiedy Zaleski ogłosił przeważną część swoich „Pyłków" (epigramatów), i kiedy wykończył ostatecznie, jak się zdaje, dawno rozpoczęty, jeszcze Brodzińskiemu obiecany przekład pieśni serbskich, śliczny pod względem rytmu i dykcyi, ale dowolny,—twórczość jego niemal ustaje. Ożeniwszy się r. 1846 z Zofią Rosengartówną, bardzo długo nic zgoła nie ogłaszał, tak, że dopiero w 1866 pojawił się zbiór nowych dumek i pieśni p. t. „Oratoryum wieszcze", obejmujące zaledwie parę świetnych liryk. Potem aż do zgonu w dwudziestoletnim przeciągu czasu jeszcze mniej tworzy, a przedsię-

brane prace większe całkiem chybionemi się okazały.—Zmarł w Villepreux pod Paryżem r. 1886.

Ażeby zostać wielkim poetą, brakowało Zaleskiemu dwu rzeczy: rozległych pomysłów i talentu plastycznego. Sam wyznał, że *myśl* nie przekwita jego pieśni i cieszył się z takiego stanu natchnienia, bo pieśń jego, jak powiada, była wiecznie świeża, rozmaita, miłosna i dziewicza, jak niebo, serce i wiosna. Prawdą to było istotną w pierwszym okresie twórczości, kiedy bez żadnej pretensyi do tłomaczenia tajemnicy dziejów świata, nucił dumki i szumki, śpiewał o rusałkach i o czarach miłości. Gdy atoli później chciał wystąpić w roli proroka, myśl, przezeń wzgardzona, pomściła się w jego utworach, chrztu im swego odmawiając. Istotnie cała filozofia Zaleskiego z tego czasu zamyka się w powtarzanych ustawicznie wyrazach: łaska, pokora, mądrość świata bałamutna, tajnie ducha. Gdyby jeszcze Zaleski miał takie serce płomienne jak Mickiewicz, lub taką tęczową fantazyę jak Słowacki; to pomimo ubóstwa myśli, byłby stworzył niejedną piękną całostkę, przynajmniej piękną pod względem czysto artystycznym; ale tak właśnie nie było. Uczucie jego wyrażało się prawie zawsze łagodnie (jedyny przykład siły, to obraz umierającego gladyatora w „Przechadzce po za Rzymem"), fantazya — polotna i rozwiewna, zdolna była do tworzenia lekkich mar, ale niezdolna do kreacyj plastycznych. Z wiekiem uczucie zamieniało się to w tęsknotę, to w gderliwość, fantazya mgłą zachodziła; zasób myśli się nie zwiększał; musiało nastąpić bankructwo poetyckie, bolesne dla narodu; poeta przestał brać udział w jego życiu cywilizacyjnem. To tylko, czem się od młodu odznaczył, wielka rytmiczność wiersza, prawie aż do zgonu, wierną była towarzyszką jego twórczości.

XVII.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI daleko dłużej niż Zaleski przebywał w Galicyi, bo aż do maja r. 1838, biorąc bardzo czynny udział w tamecznej działalności literackiej i społecznej. Warunki działania były trudne i niebezpieczne. Za rządów Metternicha dążności narodowe uważano za zgubne, a zbliżenie się do ludu w celu oświecania go i uobywatelania — za karygodne. Trzeba było postępować tajemnie; stąd, pomimo prześladowań, tworzyły się różne towarzystwa, do których wchodził Goszczyński. Przenosił się on z domu do domu, pod rozmaitemi firmami. Najczęściej bawił w Mikołajowicach, pod Tarnowem, u przyjaciela swego, *Józefa Tetmajera*, wielce przez siebie cenionego liryka. W kwietniu 1832 r. przeniósł się do Łopuszny, należącej również do Tetmajerów. Stąd robił wycieczki w okolice podgórskie i w Tatry. Owocem literackim tych wędrówek był „Dziennik podróży do Tatrów" (ogłoszony w całości dopiero r. 1853 w Petersburgu), oraz piękny urywek z większego poematu „Kościelisko", wydany p. t. „Sobótka" w noworoczniku lwowskim „Ziewonia" na r. 1834. Śmiały, energiczny, gwałtowny temperament Goszczyńskiego odbił się i w tym napozór niby-sielankowym utworze. Nawet opis zabawy świętojańskiej nie nosi na sobie cech radości; w sześciu pieśniach tam śpiewanych, panuje nuta, dźwiękami smutnych przeczuć nabrzmiała, a całość widnokręgu chmurzy się wiadomością o grożącym napadzie Tatarów. Niema tu przecież ani łez, ani rąk łamania; odwaga bowiem i zaufanie we własne siły każą lekceważyć wszelkie niebezpieczeństwa, ale też niema i owej wesołości niezaniepokojonej o jutro, lekkomyślnej trochę, zaprawionej żartami i śmiechem. Wśród takiego tła, zjawia się zbójnik Janosz, stęskniony do rodziny i do zabaw ludowych, a zmuszony „mieszkać po ciemnych jamach wraz z puhaczami" i przedzie-

rać się „po tropie dzikiej kozy"—trochę jak sam poeta... Życie pełnem tętnem grało w żyłach tego człowieka, pokłóconego ze społeczeństwem, ale dalekiego od bajronizmu. Żądza jakaś gwałtowna, namiętność nieposkromiona a w samym początku przecięta, zmusiła go żyć zdala od reszty ludzi i stać się ich nieprzyjacielem. Śmiały w przedsięwzięciach, nikogo się nie lękał; nawet Kiczora, najsilniejszy góral na Podhalu, musiał uledz jego przewadze; dobrał też sobie odpowiednich towarzyszów, odważnych i dzikich nawet... Piękne są krajobrazy w „Sobótce"; czy to gdy nam wystawia poeta Wyżnię lub dolinę, czy gdy maluje wieczór w górach po ulewie, kiedy las „rzęsno płakał kroplami dżdżowemi", zachód słońca, kiedy na ziemię „spadała wieczoru powieka", ciszę, kiedy „świat dumał północną modlitwę." Zaślubiny wreszcie fantazyi ludowej ze zjawiskami przyrody wyraziły się w widziadle „mnicha" i w owej tajemniczej walce duchów, co się wśród gęstw leśnych uwijały, przerażając swoim widokiem przypatrujących się im górali.

W roku 1835 przybył Goszczyński do Rzeczypospolitej krakowskiej, gdzie chwilowo więcej było swobody aniżeli w Galicyi. Tu napisał ustawę dla nowego związku, przezwanego „Stowarzyszeniem ludu polskiego." Jeden z jego członków, *Leon Zienkowicz*, znany później pod pseudonimem Lacha z Lachów, zaczął wydawać w Krakowie miesięcznik p. n. „Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności." Goszczyński stał się gorliwym jego spółpracownikiem. Prócz poezyj i różnych drobnych artykułów pomieścił tu obszerną rozprawę p. t. „Nowa epoka poezyi polskiej." Surowo w niej ocenił najznakomitszych poetów romantycznych, bez wyłączenia Mickiewicza, zarzucając im naśladownictwo niemczyzny i angielszczyzny; domagał się zaś, jak niegdyś Brodziński, poezyi narodowej, opartej na przejęciu się duchem ogółu, na ukochaniu ludu i skąpaniu pieśni polskiej



Seweryn Goszczyński.

(Ze zbiorów Leopolda Meyéta).

w falach poezyi ludowej słowiańskiej. „Poeci rodacy — wołał on — wyklnijmy wszelką obczyznę, odłączmy z naszej literatury mieszaninę europejską, pokażmy tę literaturę światu w całym jej blasku rodzinnym. Alboż to mało poezyi na naszej ziemi, w naszych dziejach, w istocie narodu naszego? Zbliżmy się tylko do niego, zanurzmy się w jego głębię, poznajmy wszystkie tajniki jego wnętrza, a na każdej stopie tej ziemi, w każdym wierszu tych dziejów, pod każdym odcieniem znajdziemy osnowę najszczytniejszych utworów, przedmioty godne największych artystów; przez wieki nie zdołamy wyczerpać naszych zasobów; stworzymy rzeczy większe, głośniejsze w poprzek świata nad to wszystko, co dziś takim podziwem razi nasze umysły u Anglików, Niemców lub Francuzów; staniemy na równi, a we właściwem sobie stanowisku, z klasycznymi Grekami; będziemy mieć prawdziwą poezyę. Jeśli wam polskich rzeczy za mało, to ogarniajcie, wyczerpujcie całą słowiańszczyznę; słowiańszczyzny wielkie pola, sławne dzieje, a wtedy rozlewajcie się sobie na świat cały." Winienem dodać, że kreśląc te słowa, Goszczyński nie czytał widocznie, ani „trzeciej części Dziadów", ani „Pana Tadeusza", gdyż znając te utwory, musiałby inaczej swoje myśli wyrazić. Bądź co bądź, sam starał się programowi temu być wiernym, zarówno w wierszach lirycznych, których dużo w owej dobie napisał, jak w poematach i powieściach, jakie po opuszczeniu i Krakowa i Galicyi napisał.

W przejeździe do Paryża r. 1838 zatrzymał się czasowo w Strasburgu, gdzie był jednym z założycieli pisemka satyrycznego p. t. „Pszonka", wymierzonego przeciwko przesądom arystokratycznym, błędom i wadom, stojącym na przeszkodzie podźwignięciu się kraju. W Paryżu napisał słabą powieść wierszem na tle wieku XVII, p. t. „Anna z Nabrzeża", oraz trzy opowiadania prozą: „Oda", „Straszny Strze-

lec", „Król Zamczyska." „Oda"—to obrazek starcia się żywiołu ludowego pogańskiego ze świeżo wprowadzonem chrześcijaństwem, za czasów Bolesława Chrobrego. „Straszny Strzelec" jest opowieścią o usiłowaniach podejmowanych w Galicyi celem oświecenia i uobywatelenia ludu. „Król Zamczyska" — to poemat prozą, jeden z najświetniejszych w tym rodzaju, malujący przeciwieństwo entuzyazmu i chłodnego poziomego wyrachowania, mającego na oku tylko najbliższy materyalny pożytek.

Kiedy się „Król Zamczyska" drukował (r. 1842 Poznań), Goszczyński należał już do grona wyznawców Towiańskiego. Pociąg do szukania tajemnic w naturze i rozwikływania ich nie drogą analizy rozumowej, lecz drogą intuicyi poetycznej, niemało się zapewne przyczynił do sprowadzenia umysłu poety na tory mistyczne. Zostawszy sekretarzem koła towiańczyków, brał czynny udział we wszystkich jego działaniach. Sprawy, które go najsilniej do owej pory zajmowały, straciły dla niego znaczenie. Udoskonalenie wewnętrzne, stłumienie miłości własnej, poświęcenie wszystkich sił i uzdolnień na rozpowszechnianie słowa głoszonego przez „mistrza", pochłaniały go całkowicie. Na zapytanie dawniejszych przyjaciół, czy zmienił swe poglądy demokratyczne, przyznał się do tego z otwartością i odwagą żarliwego w wierze. „Do zgubnych obłąkań — pisał w końcu r. 1842 — liczę tak zwane dzisiaj zasady demokratyczne, które pod świętymi pozorami wolności, życia, szczęścia ludów, nie są niczem innem w istocie swojej, tylko ubóstwieniem siły materyalnej, interesu materyalnego, jednem słowem materyi, która jest śmiercią, na pognębienie ducha, który jest życiem, a przez to prędzej lub później zniszczyłyby wszystko, co jest wielkie, święte na ziemi, zabiłyby ludy w ich duchu: otóż przyczyna, iż się ich wyrzekłem, a ukorzyłem się przed tem, co mi odsłoniło całą przepaść moich błędów, a wprowadziło mię na

drogę prawdy, to jest, przed słowem Chrystusa." Goszczyński zerwał na czas długi z poezyą, ale pisać nie przestał; chciał bowiem za pośrednictwem artykułów szerzyć nowe swe przekonania. Do prac, tym duchem mistycyzmu przejętych, należą: „Stanowisko poetów w społeczeństwie", „Z dziennika artysty", „Rzut oka na żywot Antoniego Malczewskiego", oraz najobszerniejsza ze wszystkich: „Slowo o poświęceniu" (1845, Poznań). Dalekim był jednak i wtedy od „marzeń próżniaczych", które nazywał nałogiem szkodliwym zwyczajnemu stanowi duszy, pasożytną rośliną myśli, co ją wyniszcza, a „w niczem innem nie wynagradza jej korzyści." Marzeniem nazywał „każdą myśl, w której niema zarodu życia, siły do działania."

Do poezyi wierszowanej wrócil dopiero w roku 1856, kiedy napisał „Posłanie do Polski" (drukowane dopiero w r. 1869). Z innych poezyj znane są dotychczas tylko wyjątki z poematu „Boga-rodzica", gdzie między innemi pięknie scharakteryzował pieśń starożytną, znaną pod tą nazwą, powiadając, że „tem przenajświętszem imieniem lud-niemowlę Chrystusowe rozwiązywał ust swych mowę."

Pod koniec życia pełnego biedy, a nawet nędzy materyalnej, opuścił Paryż (1872) i osiadl we Lwowie, skąd raz jeszcze odwiedził Tatry, opisywane przez siebie i opiewane przed laty. W lat cztery niespełna po przyjeździe do kraju, żyć przestał, pozostawiając po sobie dużo rękopismów, zaledwie w drobnej cząstce do dziś ogłoszonych.

Była to natura silna fizycznie i energiczna moralnie. Co Goszczyński pisał, to czuł głęboko, a co czuł, stwierdzał czynem. Pióro było mu orężem, a oręż piórem. Do obrazów swoich używał prawie wyłącznie barw ponurych; lubował się w widokach pełnych grozy, w ludziach dyszących dziką energią i nieposkromionemi namiętnościami. Z uczuciami się nie pieścił, utrzymywał nawet, że „serce

jak księżyc jest gwiazdą ciemnej strony człowieka, a często bywa przyczyną zaćmienia słońca—idei.“ Obrazy jego uderzają potężną całością, nie zaś wyrzeźbieniem szczegółów. Nie lubił on muskać, gładzić i szlifować swoich utworów; stąd chropowatość jego stylu, niepoprawność wyrażeń, wiersz niezawsze harmonijny. Pod tym ostatnim względem najświetniej się jeszcze przedstawia „Sobótka“, gdyż niewiele w niej podobnych niewłaściwości napotkać można; więcej ich w „Zamku Kaniowskim“ a zwłaszcza w poezyach lirycznych. Łagodność, słodycz i miękkość obce są pióru Goszczyńskiego; miłość przelotnie tylko zjawia się u niego i to prawie zawsze w szatach nieszczęścia. Wiersz jego grzmiał jak surma bojowa, jak świst wichru wśród hukania puszczyków, jak potężny krzyk roznamiętnionego serca...

XVIII.

Żywioł bujnej, lśniącej, lekkiej, eterycznej fantazyi, jakiej nigdy przedtem w poezyi naszej nie było, w połączeniu z nastrojem melancholijnym, pełnym powabu, i przechodzącym skalę bardzo rozległą, wcielił w twory cudnej piękności JULIUSZ SŁOWACKI. Urodził się na Wołyniu, w Krzemieńcu nad Ikwą, 23 sierpnia 1809 roku. Był synem osób, należących do warstwy inteligentnej i starannie wykształconej, do warstwy znacznie wyżej rozwiniętej, aniżeli np. rodzice Mickiewicza, a tembardziej Goszczyńskiego. Ojciec jego, znany już nam profesor „wymowy i poezyi“ w gimnazyum krzemienieckiem, Euzebiusz, posiadał sam dużo wyobraźni, upominał się o jej prawa, tłomaczył wierszem „Henryadę“ Woltera i wiele utworów łacińskich, pisał tragedye w smaku oczywiście naówczas panującym, pseudo-klasycznym. Matka, Salomea z Januszewskich, tkliwa wielce, albo mó-

wiąc ściślej „sentymentalna“ w znaczeniu, w jakiem wtedy brano ten wyraz, to jest bez odcienia śmieszności, który dzisiaj do niego przylgnął, posiadała wykształcenie belletrystyczne w takim zapewne stopniu, jak Maryla Mickiewiczowska. Czytając poezye i powieści, głównie po francusku, wyrobiła sobie smak estetyczny, który dziś wydałby się może dziwnym, ale który w owych czasach rozmowę jej niemałym powabem zaprawiał. Miała przytem zaletę, obecnie nawet niezbyt częstą, że wyszedłszy za mąż, nie zaniechała „talentów“, interesowała się nowościami literackiemi, brała udział w ogólnym ruchu umysłów, zachowała wrażliwość na nowe prądy i kierunki.

Od najpierwszych zatem chwil dzieciństwa wchłaniał Słowacki nieświadomie te drobne, niedostrzegalne dla zwykłego oka wpływy, co w wątłym jego organizmie fizycznym miały nadać ogromną przewagę nerwom nad mięśniami. W parę lat po urodzeniu, przejechał wraz z rodzicami (r. 1811) do Wilna, gdzie Euzebiusz zajął katedrę „wymowy i poezyi“, mając na niej sześć tylko półroczy akademickich wykładać. Tu pierwszy głęboki smutek omroczył duszę 5-letniego dziecka, gdy je ojciec odumarł, zostawiając dla niego pamiętniki (zaginione) i wiersz pełen smutnej melancholii, co wzmożona miała przejść na syna. Wrócił potem Słowacki z matką do Krzemieńca, który teraz silniej oczywiście niż przedtem miał się wyryć w jego pamięci ze swą rzeczką Ikwą, z górami: Zamkową i Czerczą, z lasami i łąkami, ciągnącemi się naokół. Zaczęły się też wtedy pierwsze nauki, udzielane głównie przez matkę; francuszczyzna stała, według obowiązującej mody, na pierwszym planie. Tak ubiegło trzy lata. W r. 1817 wyszła Salomea Słowacka powtórnie za mąż za Augusta Becu, profesora hygieny w uniwersytecie wileńskim, wdowca, mającego dwie córki: Hersylię i Aleksandrę, starsze od Juliusza. Z tem zamęściem łączył się oczywiście po-

nowny przejazd do Wilna. Ośmioletni chłopiec znalazł się pod spotęgowanym wpływem kobiecym, gdyż ojczym wcale się nie zajmował sprawą jego wychowania i wogóle mało się udzielał towarzystwu, jakie Salomea wkoło siebie zbierała. Ten wpływ kobiecy odbił się wyraźnie na usposobieniu, na pewnych rysach charakteru i przyzwyczajeń przyszłego poety. Uczynił go najprzód bardzo bacznym na wygląd zewnętrzny, bardzo dbałym o ubranie, bardzo troskliwym o zachowanie salonowych manier. Powtóre, wzmógł w nim zmienność nastroju, skłonność do kaprysów i dziwactw, bo ruchliwa jego wyobraźnia nie pozwalała mu nigdy cieszyć się chwilą obecną, lecz kazała wciąż wybiegać w dal, w przyszłość, żyć rojeniami. Nie tylko dumnym był „dumą wielkiego człowieka," za jakiego się miał już nader wcześnie, lecz i próżnym, pragnącym zwracać na siebie uwagę ustawicznie. Były niewątpliwie i strony dodatnie tego wpływu kobiecego; a mianowicie: dążenie ku wyżynom, pragnienie sławy, dodające bodźca do udoskonalenia talentu, delikatność i subtelność w odczuwaniu i wypowiadaniu wrażeń, czarem wyobraźni owianych.

W tym samym roku 1819, w którym Mickiewicz skończywszy uniwersytet, udawał się na posadę nauczycielską do Kowna, Słowacki wstępował do gimnazyum wileńskiego, gdzie miał przebyć lat sześć, zawsze należąc do liczby uczniów celujących. W ciągu tych nauk szkolnych zaszły dwa ważne zdarzenia, mające wpłynąć na jego nastrój, a po części i losy. Pierwszem z nich było zawarcie ścisłego stosunku przyjaźni ze starszym od siebie *Ludwikiem Spitznaglem*, marzycielem-fantastą, nie umiejącym ująć swych rojeń w kształty określone a piękne, lecz trującym się własnemi uczuciami, wzruszeniami i myślami. Słowacki ślicznie opisał później swoje z nim bujania w kraju wyobraźni („Godzina myśli"). Obaj żyli więcej imaginacyą niż rzeczywistością, obaj uolbrzymiali



Juliusz Słowacki.

(Z rysunku J. Kurowskiego 1838 r.)

swoje pragnienia i swoje zawody; a zamiłowanie do poezyi przenikało ich do głębi. Dwa pierwsze tomiki Mickiewicza (1822, 1823), pochłaniane przez młodzież, stały się niewątpliwie karmią duchową dwu przyjaciół. Słowacki czuł już wówczas, że ma przed sobą „krainę duchów do zdobycia“, że „swoim marzeniom da kiedyś wyrazy“, bo się umiał od ukochanych rojeń „odłamać zimniejszym rozumem.” Już wtedy kreślił poezye, które matka pokazywała Mickiewiczowi, bywającemu w jej domu, o ile znajdował się w Wilnie, i posłyszała od niego miłą przepowiednię o przyszłej sławie ucznia gimnazyalnego. Spitznagel zaś, lubo także pisywał, a nawet już wtedy drukował swe wiersze, nigdy nie mógł oderwać rzeczywistości od marzeń, sprzęgał ze sobą te „dwa niezgodne światy”; posągom jego myśli brakowało ciała, a dusza, „jakby w kuli kryształowej zamknięta, patrzała na świat dzikiem obłąkaniem oczu, niezupełności wrażeń łamana katuszą“. I żył jak senny, pogrążony w marzeniach, a „wiśnie i kwiaty ogrodu *bezwonne* przed nim rosły, bo myśl dalej biegła“... Teorye magnetyczne, będące wówczas w modzie, chętnych znajdowały wyznawców w obu młodzieńcach, próbujących siły swojego wzroku wśród „ciemnego tłumami“ kościoła, gdy „którą z klęczących dziewic natrafiwszy losem, wołali na nią silnie niemym duszy głosem“, a ona „twarz odwracała od Pańskiego stołu, jej wzrok w zadziwieniu, nieobłędnie rzucony, na twarz dzieci padał, jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał!“... Od teoryj magnetycznych łatwe było przejście do mistycyzmu, do rozczytywania się w pismach (a przynajmniej ich streszczeniu) głośnego teozofa szwedzkiego z pierwszej połowy zeszłego stulecia, Swedenborga, i do budowania na nich gmachu pojęć, pełnego „głosów anielskich, szaleństwa i blasku“. Marzyli o tej hierarchii duchów jasnych i ciemnych, co wedle mistyków wypełniają cały ogrom wszechświata; marzyli o wędrówce dusz po przez

wieki całe przebierających się w kształty przeróżne, w dusze, nadające woń i barwę kwiatom, myśl ludziom, światłość aniołom; mniemali, że człowiek może silną wolą rozwinąć się w anioła, a ten anioł rozleje się zachwytem w blask i „będzie częścią Boga na żywiołów tronie...“

Spitznagel, oddając się tym rojeniom więcej może aniżeli Słowacki, nurtowany chorobą, znękany nieodwzajemnioną miłością, ukończywszy akademię języków wschodnich w Petersburgu, mając już wyjechać na Wschód, o którym dawniej roił z lubością, zastrzelił się w Snowiu, w domu uwielbianej Zosi Rdułtowskiej (r. 1827)...

Zanim do tego przyszło, drugie zdarzenie, nagła śmierć ojczyma od pioruna w r. 1824, musiało dotknąć boleśnie wrażliwego i ambitnego Słowackiego. Nie z miłości dla ojczyma, bo tej zapewne nie miał, ale ze względu na matkę, która nosiła to nazwisko, przeboleć musiał Słowacki, mający przejść do szóstej klasy, ten okropny wypadek.

W r. 1825 wszedł do uniwersytetu na wydział prawny i trzy lata poświęcał się niemiłym sobie zresztą studyom, więcej trawiąc czasu nad poezyami, niż nad kodeksem. Zaznajomił się już wówczas z utworami Byrona, najprzód w tłomaczeniach polskich i francuskich, a potem, zrobiwszy szybkie postępy w języku angielskim, także i w oryginale. Była to chwila, kiedy w całej Europie liczono najwięcej bajronistów zarówno w twórczości poetyckiej, jak i w życiu. Zewnętrzna mianowicie strona bohaterów Byrońskich: ponurość malujaca się na twarzy, zamknięcie się w sobie, wstręt do towarzystwa, udawanie obojętności i bawienie się jakiemiś gorzkiemi wspomnieniami,—będąc najłatwiejszą do naśladowania, najwięcej też popłacała. I Słowacki uległ temu wpływowi, zwłaszcza, że jego wrodzona duma wybornie się dostrajała do usposobienia bajronicznego. Przedwczesny zgon ojca, niezwykła śmierć ojczyma, potę-

pionego przez znaczną liczbę ziomków, często ponawiająca się a wielce dotkliwa choroba matki (podobno kamienie żółciowe), wszystko razem wyolbrzymione w wyobraźni, upoważniało niejako młodzieńca do przybrania pozy bajronicznej. W dodatku przyłączyła się nieodwzajemniona miłość. Wzbudziła ją córka znakomitego fizyologa i chemika, Jędrzeja Śniadeckiego, Ludwika, panna już dorosła, namiętnego i burzliwego temperamentu, oczytana i wielce rozmowna. Lubiła ona utalentowanego chłopca „z czarnemi oczymą" i spotykając się z nim często już to na wsi w Jaszunach, już to w Wilnie, chętnie wdawała się w poetyczne rozprawy, z przyjemnością czytywała wiersze do siebie pisane, lecz uczucia „Julka" nie traktowała poważnie, zwłaszcza gdy się zakochała sama we Włodzimierzu Korsakowie, synu gubernatora wojennego wileńskiego. Na wsi czuł się Słowacki swobodniejszym, zbliżał się więcej do ukochanej; w mieście musiał być z nią na stopie etykietalnej i zamiast swego imienia w jej ustach słyszeć nieznośny wyraz: „pan..." Pod koniec pobytu w uniwersytecie (w czerwcu r. 1828) podczas egzaminów nastąpiło ostatnie widzenie się Słowackiego z Ludwiką, mającą na całe lato wyjechać do Jaszun. Było ono obojętne ze strony panny. Słowacki wrzał w duszy, ale na twarzy usiłował nie pokazać żadnego wzruszenia. Po jej wyjeździe przychodziła mu myśl samobójstwa, że jednak tegoż samego dnia doznał zawodu w uniwersytecie (zamiast spodziewanej pierwszej nagrody otrzymał tylko drugą, t. zw. *accessit*), zaniechał jej, iżby śmierci jego nie przypisano tej drugiej przyczynie...

Po skończeniu uniwersytetu wyjechał Słowacki do Krzemieńca, dokąd się matka jego już dawniej przeniosła; przebył tam pół roku, zrobił wycieczkę do Odessy dla kąpieli morskich, odwiedzał z matką dalszych i bliższych znajomych; ale się nie bawił. Głównym tego powodem był stosunek z matką, którą

Słowacki kochał całem sercem, ale która go wciąż jeszcze trochę jak dziecko traktowała. Oto wyznanie samego Słowackiego: „Matka moja egzaltowana roiła sobie ciągle, że skoro ja skończę nauki, to ze mną na wojaż wyjedzie. Ta myśl jej była dla mnie niemiłą, bo kochając się w Ludwisi, utworzyłem sobie charakter podobny do ciemnego charakteru bohaterów powieści Byrona; stąd myśląc o wojażu, myślałem o nim zawsze jako *o poetycznej pustyni*, na którą sam jako poetyczna i ciemna osoba rzuconym będę. Wszystka zaś poetyczność znikała, skorom pomyślał, że mam podróżować z matką;—byłbym wtenczas jak dobroduszna osoba, odprawiająca świętą pielgrzymkę; nic nadspodziewanego, nic dzikiego w mojem życiu... Matka wymagała odemnie ciągłej otwartości i zwierzania się... to być nie mogło. Wymagała tego odemnie wtenczas, kiedy się właśnie uczyłem wszystko w sobie zamykać i łzy pożerać w milczeniu; stąd ciągłe jej skargi i nudzący mnie płacz;—wychowany między kobietami, pragnąłem jaknajprędzej z rąk ich się wyrwać i być samotnym. Matkom trzebaby wmówić tę prawdziwą maksymę, że wszystko, co one starań dają swoim dzieciom, dzieci nic im samym, ale swoim kiedyś dzieciom oddawać powinny...“ Ażeby miłość Słowackiego stała się trwałą i rozkwitła w tak piękne świadectwo, jak jego „Listy do matki“, potrzeba było oddalenia. Przyszło ono niebawem.

Należało pomyśleć o sposobie utrzymania, bo chociaż Słowacki miał po ojcu pewien fundusik, niepodobna przecież było nań liczyć wyłącznie. Na życzenie matki dziewiętnastoletni bajronista, lubo nie miał upodobania do zawodu urzędniczego, zgodził się wszakże jechać do Warszawy i szukać miejsca w jakiem biurze. Znalazł je w Komisyi Skarbu (r. 1829) i „z rozpaczą“ w duszy zasiadł przy zielonym stoliku, myśląc, że skazany będzie aż do śmierci przy nim pozostać. Naczelnik jego bezpośredni, Władysław Miniewski, sam trochę poeta-bajkopisarz, wyróż-



Ze Śniadeckich Ludwika Sadyk.

(Ze zbiorów Leopolda Meyeta).

nił go wkrótce, umieścił w oddziale sekretaryatu jeneralnego, „gdzie najbogatsza młodzież i krewni ministra Lubeckiego“ pracowali; okazywał wielką przychylność i dawał uczuć, że go uważa za najzdolniejszego; może go Słowacki zainteresował „cichym smutkiem, z jakim przez całe godziny milczący przy swojej pracy siedział.“ Melancholiczne usposobienie biuralisty z musu zwiększyła, jak sam przypuszczał, „okropna febra, która co dwa tygodnie coraz mocniejsza wracała.“ Po każdym napadzie doznawał strasznego gorąca, a wtenczas „leżąc twarzą na sofie,” marzył o różnych poematach; „z rozpaczą“ chciał te ciężkie majaczenia odpędzać, lecz one wracały wciąż, a krew uderzająca do skroni coraz straszliwsze obudzała obrazy. Tak przebył całe lato 1829 roku; siedząc samotny, trawiony „piekielną gorączką“, czasem wracał myślą na Litwę lub Wołyń, czasem bawił się opowiadaniem swego starego sługi, który długo podróżując niegdyś ze swoim wojskowym panem, same tylko błahe zdarzenia w pamięci przechował. Na jesień dopiero wszedł Słowacki w towarzystwa; bywał na rautach sobotnich u pani Teresy Kickiej i u państwa Węgrzeckich. Wieczory u pierwszej nie podobały mu się, uważał je za nudne; „zwyczaj był—jak mówi—w Warszawie w towarzystwach wielkiego tonu, że się mężczyzni do dam młodych prawie nie zbliżali, albowiem te — krótkie tylko odpowiedzi w rozmowie dawały i nigdy do niej chętnie należeć nie chciały.“ Inaczej u Węgrzeckich; tu trzy panny dały mu „zupełne wyobrażenie o warszawiankach: rodzice byli niczem w domu, one bawiły towarzystwo; jedna najładniejsza na sawantkę wyglądała; średnia, najmniej ładna, była najlepszą i najmłodsza, ładniejsza od średniej, w tańcu rej wodziła, jako najweselsza.“ Pomimo jednak ożywienia, panującego w tym domu, i w nim nie znajdował Słowacki przyjemności. Widocznie towarzystwo ludz-

kie jako bajroniście ciężyło mu; wolał przebywać w „kraju imaginacyi.“

Zabrał się też do pisania i prawie wszystkie swoje powieści poetyckie oraz dwa dramata utworzył w przeciągu półtora roku za pobytu w Warszawie. Z dawniejszych swoich utworów, pisanych w Wilnie lub Krzemieńcu (sonet do Ludwiki Śniadeckiej, wiersz do Ludwika Spitznagla, różne sonety, poemacik w stylu wschodnim: „Szanfary,“ Nowy Rok, dziś zatracony), nie był już rad; żadnego więc z nich do druku nie podał; na prośbę Odyńca, wydającego noworocznik: „Melitele“, udzielił mu świeżo wtedy nakreśloną powieść poetycką p. t. „Hugo”, która się ukazała w drugim tomiku wydawnictwa, na rok 1830. Pomysł tu bardzo mało prawdopodobny, przypominający, lecz niezręcznie, Grażynę, przebierającą się w zbroję męża, tylko że Blanka robi to, by ponieść śmierć za ukochanego z ręki „sądu tajemnego“ *(Vemgericht)*, który Hugona, krzyżaka, za porwanie mniszki z klasztoru, potępił. W obrobieniu i stylu znać bardzo silny wpływ Mickiewicza, bez śladu jego plastyki; właściwości późniejszych Słowackiego, prócz naciąganego wyzyskiwania wypadków, zgoła tu jeszcze nie widać ani w bogactwie fantazyi, ani w świetności języka... Pod koniec sierpnia 1830 r. zachęcony przez jednego ze swoich znajomych, wsławionego później agronoma i ekonomistę, *Tomasza Potockiego*, wybrał się Słowacki złożyć wizytę sędziwemu twórcy „Śpiewów historycznych“, czci powszechnej używającemu, Julianowi Niemcewiczowi, mieszkającemu wówczas w pobliżu Warszawy, w wiosce przezwanej od jego przydomku Ursynowem. Czytał mu wyjątki ze swej tragedyi „Mindowe“, usłyszał kilka pochwał od skąpego w nie starca, wyniósł wogóle bardzo miłe wrażenie.

W przygotowujący się ruch polityczny nie był Słowacki wtajemniczony; wybuch dla niego, jak dla wielu, stał się niespodzianką. Nastrojem atoli, jaki

następnie zapanował w Warszawie i kraju, Słowacki przejął się łatwo i próbował wyśpiewać uczucia ogólne. Nie czuł się zrazu swobodnym na tem nowem dla siebie polu twórczości. Dotychczas zajmowały go wrażenia i wzruszenia osobiście doznane, albo też w wyobraźni pod wpływem obcej poezyi wytworzone; teraz miał odzwierciedlić ówczesny prąd powszechny. Nasz romantyzm nie wyrobił jeszcze wtedy na to form nowych; utwory, w tym duchu pisane przez Goszczyńskiego, znane były zaledwie najbliższym jego przyjaciołom, gdyż zostawały w rękopiśmie; w druku zaś chyba tylko niektóre ustępy z „Konrada Wallenroda“ mogły za wzór posłużyć. Ale Słowackiemu nie przyszło na myśl zużytkowanie wzoru tego; zwrócił się raczej do klasyków naszych, a mianowicie Ludwika Osińskiego i w tym patetycznym a ogólnikowym tonie napisał dwa utwory. Z właściwą jednak sobie giętkością umysłu, prędko się wyzwolił z pęt klasycznej ody i w tonie żwawszym nakreślił: „Kulig“.

Nagle przerywa się twórczość w tym kierunku; ostatnim jej odgłosem będzie śliczna „Duma o Wacławie Rzewuskim...“ Słowacki opuszcza Warszawę i kraj. Jaki był powód tego nader doniosłego w następstwa wypadku, na pewno nie wiemy; najprawdopodobniejszy domysł jest, że ogłoszona przez Lelewela broszura po polsku i po francusku o procesie filaretów wileńskich, gdzie rola Augusta Becu po raz pierwszy w druku przedstawiona została w bardzo ciemnych barwach, skłoniła Słowackiego, nie chcącego może narażać się na bolesne przytyki i gorsze nieprzyjemności, do wydalenia się na czas krótki, jak zapewne sądził naówczas. Zasilony funduszami przez matkę, w dniu 8 marca 1831 r. wyjechał z Warszawy—na zawsze.

We Wrocławiu zatrzymały go pewne trudności paszportowe; w Dreźnie liczne znajomości, zarówno dawniejsze (Odyniec), jak i nowoporobione. Dopiero w końcu lipca, mając sobie powierzony list do jene-

rała Grouchy, przebywającego w Londynie, puścił się z młodzieńczą fantazyą i pewnem poczuciem ważności swojej „misyi“ do Anglii i jechał szybko, nie szczędząe kosztów. Do Londynu przybył 3 sierpnia; jego „misya” nie mogła już mieć żadnego znaczenia; poeta pocieszał się tem, że zrobił, co było w jego mocy. Przebył tu miesiąc z górą, oglądając pamiątki, bawiąc się nieźle w towarzystwie, jakie znalazł w pensyonacie pani Gordon. W dniu 9 września był już w Paryżu. Nie podobało mu się to miasto; nazywał je ,,prozaicznem, szkaradnem;'' malarstwo francuskie sprawiło na nim wrażenie nienaturalności i skrzywienia; w teatrze grano tragedye ,,szkaradnie“; publiczność nie miała gustu, bo świstała na piękne kawałki; lubowała się jeno w wodewilaah... Pod wpływem tych wrażeń, kiedy zwłaszcza pierwsza fala wychodźców nadciągnęła, napisał Słowacki zwrotką Spenserowską, 9-wierszową, pierwszy raz u nas pojawiającą się, swój ładny wiersz p. t. „Paryż“, nową Sodomą go zowiąc i przepowiadając mu klęski, jakie spaść nań miały od kul wrogów i w skutek rozterki wewnętrznej...

W Paryżu zostawał dlatego głównie, ażeby wydrukować swoje poezye. Miał ich na dwa tomiki. Oddał je do drukarni panien Pinard; a jedna z nich, Kora, zakochała się w poecie, co „lubił kruszyć serca i patrzeć, jak się kruszą“. Ze strony Słowackiego nie było w rzeczywistości żadnego żywszego uczucia; lubił młodą panienkę, prowadził z nią długie rozmowy, a że potrafił, gdy chciał, być bardzo przyjemnym, zawrócił główkę biedaczce, zamyślającej czasami o samobójstwie, kiedy Słowacki naumyślnie, dla wypróbowania jej serca, udawał obojętnego. Tragicznie jednak nie skończyła; wyszła potem za jakiegoś milionowego mieszczucha...

Druk tymczasem poezyj posuwał się naprzód w ciągu roku 1832; a poeta nasz, lubiący robić pochlebne dla siebie zestawienia, dowiedziawszy się

o śmierci Goethego, pomyślał sobie i powiedział: „Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie, wydającego poezye, miejsce zrobił na świecie...“ Omylił się na razie w marzeniach swoich. Po wyjściu dwu tomików „Poezyj“ jego z druku, cicho było o nich w prasie polskiej w Paryżu; polityka zajmowała wszystkich, a na wiersze, nie mające żadnego z nią związku, nie zwracano wcale uwagi. Bohdan Zaleski lekceważył wielce i poetę i jego twory, siebie za wyższego poczytując. W kraju mało komu tomiki te były znane; a w jedynej ocenie, napisanej oryginalnie przez *Jana Sowińskiego*, autora książki o „Uczonych Polkach“, przyznano mu „poprawny smak i wygładzenie,” zestawiając w dodatku z... Odyńcem!... To też Słowacki ogłaszając tomik trzeci (1833 r.). nakreślił w przedmowie te gorzkie słowa: „Niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę *otchłań milczącą*, która pierwsze połknęła“... Późniejsi lepiej ocenili poetę, przyznając mu przedewszystkiem bogatą a barwną wyobraźnię, język i styl przecudny.

Prócz drobnych wierszy, całości pięknej w ścisłem znaczeniu wyrazu nie było jeszcze w ogłoszonych naówczas utworach. Tonem i nastrojem, panującym tu wszędzie, był bajronizm, niekiedy do krańcowości posunięty, przenikający też nawskroś opowiadanie biograficzne, zresztą bardzo ładne, p. t. „Godzina myśli“. Mroczne, posępne, nienawiścią ludzi, a nawet wszelkich żywych istot, dyszące charaktery, chorobliwie uolbrzymiające własne cierpienia i nieszczęścia; sceny gwałtowne, tajemnicze, niezawsze należycie upowodowane, prowadzenie opowiadania lub akcyi umyślnie zgmatwane, ażeby pódrażnić ciekawość czytelnika—to są ogólne cechy sześciu powieści poetyckich: „Hugo“, „Arab“, „Mnich“, „Jan Bielecki“. „Żmija“, „Lambro“, oraz dwu dramatów: „Mindowe“ i „Marya Stuart.“ Nastrój bajroniczny najjaskrawiej widnieje w „Arabie“. Bohater pozba-

wiony szczęścia za młodu, błądzi po kraju, gnany rozpaczą i nienawiścią, pragnie zniszczyć radość wszystkiego, co żyje. Odbiera spokój ubogiemu rybakowi, ukazawszy mu perłę nieocenionej wartości i rzuciwszy ją potem w morze; wyrywa z pośród umierających starca, który wszystko postradał, i darzy go życiem, nie mającem już dla niego żadnego powabu; ucina głowę upiorowi, aby pozbawić kochankę Selima nawet tej smutnej rozkoszy, że krwią własną, zabijaniem własnego życia karmi upiora; wreszcie nie może znieść widoku szczęśliwej palmy, kwitnącej wśród oazy, i zasypuje źródło, będące jej karmicielem... „Jana Bieleckiego“ wyróżnił ogół z pomiędzy innych powieści poetyckich zapewne dlatego, iż treść wzięta była z dziejów narodowych i że charaktery oraz sceny najbardziej jeszcze ze wszystkich przypadały do naszego usposobienia. Dla poetów i estetyków więcej karmi fantazyjnej i myślowej znajdowało się w „Arabie“ i w „Lambrze“.—Co do dwu dramatów, to „Marya Stuart“ nieporównanie jest wyższą od „Mindowego“. Wątek dramatyczny „Mindowego“ (podjęty już przez Euzebiusza Słowackiego) jest wprawdzie rozleglejszy, ale jego rozwinięcie—słabe. Słowacki zaznaczywszy przeciwieństwo dawnej religii pogańskiej na Litwie z chrześcijańską, świeżo wprowadzoną, nie wyzyskał go należycie, bo wśród przedstawicieli nowej religii żaden nie jest nią naprawdę przejęty; wszyscy ją wyznają powierzchownie jeno, czy to dla celów ambitnych, jak bajroniczny Mindowe, który zresztą bardzo rychło ją porzuca, czy też z tradycyi tylko, jak Krzyżacy. Istotnego więc starcia się między dwoma potężnymi prądami niema, gdyż ci, co walczą istotnie, jak Lutuwer, działają poza sceną, a na scenie zachodzą tylko kolizye natury prywatnej: miłości, ambicyi, zemsty, wyrażone w sposób bardzo jeszcze młodzieńczy. — W „Maryi Stuart“ pierwiastek dziejowy ma znaczenie podrzędne, kollizya dramatyczna oparta jest nie na starciu się wiel-

kich prądów, ale na epizodzie z dziejów serca młodej królowej szkockiej. Marya—to dziecko kaprysu, miłości i dumy; sił do walki nie ma wcale, a pragnienie szczęścia—niezmierne. Jeżeli przytrafi się jej jaka boleść, to nie winna temu jej przewrotność, ale słabość, mogąca przemienić się w zbrodnię. Wewnętrznej walki, coby rozstrzygała o jej losach, nie doświadcza; idzie na oślep, najprzód za popędem swojej namiętności, a potem za rozkazem człowieka, który wziął jej umysł w bezwzględną niewolę. Jak dziecko nie namyśla się nad spełnieniem jakiejś psoty, ale ukarane płacze bez pewności poprawy; tak Marya gotowa otruć męża (Darnleya) bez namysłu, z tem zastrzeżeniem, że później żałować tego będzie i modlić się do Boga, ażeby skutki otrucia odwrócił. Stąd widzenie przyszłych nieszczęść i śmierci okropnej (przy końcu 5 go aktu) wydaje mi się najodpowiedniejszą karą dla tej lekkiej, prawie bezmyślnej, ale wrażliwej i czułej istoty.. Bajroniczny Botwell, doprowadzający Maryę do strasznego postanowienia, jest to postać niby demoniczna, nienawidząca ludzi i siebie, druzgocąca cudze istnienia z jakimś groźnym spokojem. Czy jest potężnym, wielkim umysłem, czy fanfaronem tylko, tego niepodobna rozstrzygnąć, gdyż Botwell niczego zwalczać nie potrzebuje, niczego pokonywać—wszystko pod nogi mu się ściele. Kiedy się zjawia po raz pierwszy z myślą owładnięcia tronem, Marya już go kocha, rzuca mu się na szyję, sama poddaje zamiar pozbycia się nienawistnego teraz małżonka... Pomijając inne podrzędne postaci, nie można nie wspomnieć o Nicku, trefnisiu królewskim, który dobrowolnie przyjmując śmierć za swego pana (wypija truciznę), swoją dolą sierocą, swoją miłością, swojemi tęsknemi wspomnieniami i swojem poświęceniem budzi spółczucie najszczersze... W budowie dramatu są dość ważne usterki, lecz biorąc ogólnie, znacznie jest ona spójniejszą od budowy „Mindowego“

i wykazuje wielkie zalety sceniczne, zapewniające utworowi powodzenie w teatrze. Oba dramaty mają to jeszcze w dziejach literatury naszej znaczenie, że wprowadziły u nas po raz pierwszy *w druku* reformę, usuwającą stanowczo wymagane przez poetykę klasyczną zachowywanie jedności miejsca i czasu. Reforma ta odbyła się po cichu, bez wywołania opozycyi walki, jaką obudziło we Francyi wystąpienie Wiktora Hugo. W przenoszeniu swobodnem miejsca akcyi i w niemniej swobodnem rozciąganiu czasu jej trwania, Słowacki poszedł za Szekspirem, którego uwielbiał, z którego brał także niektóre pomysły do sytuacyj; korzystał atoli również z pomysłów Mickiewicza, Schillera, Byrona, Walter-Scotta, Alfierego (który był także twórcą tragedyi o Maryi Stuart) i in., nadając tym pożyczkom i reminiscencyom barwę fantazyi własnej i coraz świetniej rozwijając talent dyalogowania i wogóle ślicznej dykcyi poetyckiej [1]).

XIX.

Wróćmy do życia autora. Z pomiędzy dość licznych znajomości, zawartych przez Słowackiego w Paryżu z Francuzami i ziomkami, zajmuje nas najbardziej stosunek do Mickiewicza, którego widywał, jak wiemy, w dzieciństwie i którego przez lat wiele był wielbicielem i naśladowcą. Urażona ambicya stała się przyczyną ochłodzenia tego zapału. Mianowicie w r. 1829 posłał nasz początkujący poeta parę próbek talentu swego do oceny Mickiewiczowi, do Petersburga. Przesyłka przybyła za późno: Mickie-

[1]) Wykaz szczegółowy reminiscencyj obcych w pierwszych dwu dramatach Słowackiego dał Wiktor Hahn, w rozprawach: „Kilka słów o genezie Mindowego“ (Lwów, 1894), „Przyczynek do genezy Maryi Stuart“ (Ateneum, 1894, t. I).

wicz wyjechał już w podróż, a przyjaciel jego, Franciszek Malewski, wówczas dopiero zakomunikował mu te próbki, kiedy miał już jego pewny adres w Rzymie, dodając w liście drwiąco, że pereł uryańskich tam nie znajdzie. Czy Mickiewicz odczytał owe poezye, nie wiemy; ale wśród gwaru życia towarzyskiego, jakie w zimie r. 1830 prowadził, zapomniał odpisać Słowackiemu, może zresztą nie wiedzac, dokąd, po upływie długiego czasu od chwili wyprawienia wierszy z Warszawy, odpowiedź swą skierować. Drażliwość Słowackiego kazała mu uważać brak odpisu za dowód lekceważenia; ponieważ zaś talent jego wzmagał się, a duma potęgowała, więc gdy Mickiewicz zawitał do Paryża, autor dwóch już wtedy wydanych tomików „Poezyj" nie myślał bynajmniej składać mu wizyty. Pisał w owym czasie do matki: „nie pójdę pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze..." Zeszli się na uczcie, wyprawionej 7 sierpnia 1832 r, na cześć jenerała Dwernickiego. „Po obiedzie—donosił Słowacki tegoż samego dnia matce—kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... Przypomniałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim. Śmiał się z przypomnienia, potem przypomniał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa; kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę... jeden z Polaków, stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny...— i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę"... Nie zbliżyli się też do siebie i potem, lubo spotykali się nieraz, mianowicie na posiedzeniach „Towarzystwa litewskiego i ziem ruskich", w którem Mickiewicz objął przewodnictwo oddziału historyczno-politycznego, Słowacki zaś był sekretarzem. Zdanie Mickiewicza, ustnie wyrzeczone, o świeżo ogłoszonych

poezyach autora „Jana Bieleckiego”, iż to gmach piękną architekturą stawiany, ale w nim Boga niema, nie mogło oczywiście sprowadzić serdeczniejszego między obu poetami stosunku. W końcu listopada 1832 r. wyszła „Trzecia część Dziadów“.

Słowacki, odczytawszy ten utwór, nie tylko był rozżalony, ale wprost oburzony na Mickiewicza i zamierzał wyzwać go na pojedynek, lecz rada starszego wiekiem i doświadczeniem przyjaciela, Michała Roli-Skibickiego (któremu „Arab“ i „Mnich“ byli poświęceni) odwiodła go od tego kroku. Czując wszelako, że w jednem mieście razem z autorem „Dziadów“ żyć nie może („nienawidzę go“—pisał w rok jeszcze potem—), postanowił opuścić Paryż i starać się okryć matkę swoją „promieniem takiej sławy, aby inne ludzi pociski dojść jej nie mogły.“ I wyjechał do Genewy 26 grudnia 1832 roku.

Trzyletni z górą pobyt w Szwajcaryi należał do najszczęśliwszych stosunkowo chwil w życiu naszego poety. Urocza natura górzystego kraju, orzeźwiające, czyste powietrze, spokój zacisznego miasta, a raczej willi pod miastem (Pâquis), z widokiem na śliczne jezioro, uwolnienie się od gwarów i swarów paryskich, towarzystwo miłe, ujmujące, miłość Eglantyny Pattey, córki pani, utrzymującej pensyonat, w którym zamieszkał Słowacki, miłość serdeczna, wytrwała, troszcząca się o wygody ukochanego, podzielająca jego radości i smutki, — przyjaźń albo przychylność innych osób: wszystko to, razem wzięte, dobroczynnie, kojąco oddziaływało na duszę szlachetną i dobrą, lecz mrokiem melancholii bajronicznej osłoniętą, dumną, wymagającą. Nie zrzucił poeta i w tym czasie smutku i tęsknoty z serca, drapował się w pozy poetyczne, jak dawniej, lecz bywał wesołym po dziecinnemu częściej niż dawniej, puszczał się w tany, uczył panny genewskie mazura, jak go tańczono na Wołyniu, swobodniej nieraz wdawał się w gawędy, a listy, wtedy do matki pisane, są może najładniejsze

ze wszystkich... Kilka godzin trawił codziennie w czytelni publicznej, dobrze zaopatrzonej w pisma peryodyczne; ale nie same gazety go pociągały; czytywał różne dzieła, a w pewnym okresie najwięcej filozoficznych; grywał też na fortepianie i to bardzo często, ale „tylko fantazye i słyszane aryjki z oper.” Pisaniem zajął się dopiero na jesień, która wogóle stała się dla niego porą twórczości poetyckiej. Przez dwa miesiące pięknej jesieni r. 1833 (październik i listopad) utworzył poemat dramatyczny, mający okryć matkę Słowackiego „promieniami sławy”, odbijającymi wszelkie pociski.

Był to „Kordyan“, drukowany bezimiennie w roku 1834. Słowacki zamierzył wyśpiewać na wzór starogreckich tragików wielką trylogię, t. j. utwór z trzech osobnych dramatów złożony, ale tak, żeby jedna postać przynajmniej była im wspólna. Planu tego nie wykonał, dał tylko wstęp do całości p. t. „Przygotowanie“, oraz pierwszą część trylogii, przedstawiającą nam wrażliwą, niespokojną, bajroniczną młodość bohatera.

Utwór ten świadczy o wielkim talencie dramatycznym Słowackiego; są w nim sceny, mogące wytrzymać porównanie z najznakomitszymi ustępami w tragedyach Szekspira i Szyllera. Całość atoli nie stanowi jeszcze dobrego dramatu; dwa bowiem pierwsze akty są raczej dyalogowem opowiadaniem, aniżeli rozwinięciem, a choćby tylko przygotowaniem akcyi; są one oczywiście potrzebne, bo dają nam poznać miotany przeciwnościami i wątpliwościami umysł bohatera.

Ukończywszy ten dramat, zaznajomił się Słowacki w listopadzie 1833 r. z zamożnym domem Wodzińskich, których córka Marya miała z czasem wpłynąć silnie na życie i twórczość poety. Zrazu niepodobała mu się zgoła („bardzo brzydka”), podziwiał tylko jej grę na fortepianie. Długo też nie bywał w domu jej rodziców. Dopiero wspólna wycieczka

w góry, latem r. 1834 odbyta, zbliżyła go nieco do całej rodziny i pewnym urokiem poetyczności otoczyła tylko „nieładną“ już tym razem pannę Maryę. Odtąd zapraszany przez panią Wodzińską, uczestniczył w wydawanych przez nią wieczorkach; ale ponieważ jesień nagliła go do pisania, więc się jeszcze nie bardzo zaprzątał myślą o „nieładnej” panience. Szybko w tym czasie nakreślił „Mazepę,” ale podobno spalił niebawem tę tragedyę; dopiero w kilka lat potem obrobił ją nanowo. W tym również czasie utworzył „Balladynę,” uważając ją sam za „najlepszą” ze wszystkiego, co do owej chwili napisał; cieszyło go, że w niej odnalazł „nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy niż ta biedna ziemia, bo idealny.” Rozczytywał się ponownie w Szekspirze i w Dantem, którzy się stali jego „kochankami,” odkrywał w nich coraz to wyższe piękności. „Jaki ja byłbym szczęśliwy — pisał wtedy do matki — gdybym mógł z tymi dwoma umarłymi usiąść pod jaką lipą albo dębem, przed moją własną chatą, w mojej rodzinnej ziemi, i marzyć, i pisać marzenia, i gwarzyć z tobą, kochana mamo, i opowiadać ci z zapałem plany moje poetyczne...” Sam dopatrywał się rodzinnego podobieństwa „Balladyny” z „Królem Learem” Szekspira z powodu matki - wdowy i niewdzięcznej, okrutnej córki, co ją na wiatr i deszcz i pioruny z zamku wygnała; a nie wspomniał ani o „Makbecie,“ który mu dostarczył motywu niestartej plamy krwawej i kilku innych szczegółów, ani o „Śnie nocy letniej,“ co mu poddała pomysł do fantastycznej strony utworu, pomysł co prawda świetniej rozwinięty, lotniej i eteryczniej niż u angielskiego twórcy. W „Balladynie,” nie będącej „najlepszym” dramatem Słowackiego, ale najbardziej znamiennym, najdokładniej się odbił jego talent marzycielski, melancholijny, w świecie wyobraźni czujący się najbezpieczniejszym. Wszystko, co się tyczy stosunków czysto ziemskich, realnych, nie ma tu doskonałego

wyrazu, jest w części przynajmniej wzięte z innych dramatyków; przeciwnie, w krainie fantastycznej, w otoczeniu Goplany, choć nawet pierwotny zarys pomysłu zaczerpnął skądinąd, czuje się Słowacki zupełnie swobodnym i rozwija swój niedościgły lot poetycki tak subtelnie, z takiem głębokiem przejęciem się zapuszczając myśl w duszę istot okiem nigdy nie dostrzeżonych, że gotowiśmy uwierzyć niemal w ich prawdziwość. Goplana, ta niewiasta „z mgły i galarety," wedle objaśnienia rubasznego Grabca, zakochana tak dziwnie, a jednak nie bez pewnego uzasadnienia psychologicznego, w nieokrzesanym gburze i pijaku, dobra i łagodna, choć swemi zachciankami wprowadza zamęt w sprawy ziemskie; leniwy Chochlik; zawsze rzeźwy i ochoczy w spełnianiu rozkazów królowej Skierka: są to postaci doskonałe, wykończone, których istocie i sposobowi zachowania się, jako całkiem fantastycznemu, nic zarzucić niepodobna, którym, przyjąwszy je takiemi, jak je wystawił poeta, musimy przyznać zalety wielkiej i ujmującej poetyczności. W osobach realnych natomiast są znaczne uchybienia. Próżność, zmysłowość, pycha i instynkty mordercze znamionują Balladynę, nie mającą w sobie żadnego uczucia szczerze ludzkiego, prócz dziwnej, jak na taką naturę, wstydliwości w chwili, gdy szła zabijać; to też rys ten musimy uważać za niewłaściwie dobrany, za wypływ pewnego upodobania w przedstawianiu bohaterek swoich w koszuli tylko, co się parękroć w jego utworach powtarza. Skądinąd charakter Balladyny jest jednolity; następstwa złego czynu idą za sobą nieubłaganie i zabijają w duszy, nawskroś przenikniętej pychą i żądzą władzy, wszelkie inne uczucia; stąd Balladyna jest złą córką, złą siostrą, złą żoną, złą kobietą, jest wcieleniem namiętności nizkich i krwawych. Co do innych osób realnych, mających trafne rysy, zarzucić można zbyt wielką szkicowość w przedstawieniu ich działania. Słowa Kirkora zaw-

sze są doskonałe, ale czyny jego odbywają się za kulisami. Zaraz nazajutrz po ślubie z Balladyną, wyrusza on w pole, by żyjącemu jako pustelnik Popielowi tron przywrócić i wywiązać się w części szczęśliwie ze swego zadania; otrzymuje obietnicę, iż temu tron zwrócony będzie, kto się w koronie Popielów ukaże. Korona była u pustelnika, lecz swywolne duchy powietrzne, dla przypodobania się Goplanie, wykradły ten klejnot i włożyły go na głowę gbura i pijaka, Grabca. W ten sposób cała wyprawa Kirkora została udaremnioną; koronę, odebraną zabitemu Grabcowi, przywłaszczyła sobie Balladyna i osiągnęła tytuł królewski, otruwszy wprzódy swego nowego pomocnika, von Kistryna. Wątek ten ma cechy raczej żartu, owego „Aryostycznego uśmiechu," jaki swemu utworowi sam Słowacki przypisywał, aniżeli poważnego traktowania sprawy, dotyczącej przejścia władzy z jednej rodziny do drugiej. Wygląda on jak urzeczywistnione senne marzenie.—Różnorodność uczuć odmalowanych jest znaczna. Mamy tu naprzód ślepe, bezgraniczne przywiązanie matki do jednej z córek i to nie do tej, co ją kocha prawdziwie i głęboko, ale do tej, co ją lekceważy, siebie tylko mając zawsze na względzie. Mamy tu dalej miłość siostrzaną Aliny, dobrej, serdecznej, po dziecięcemu figlarnej, a gotowej wyrzec się szczęścia własnego, jeżeli ją tylko Balladyna ładnie poprosi. Widzimy następnie miłość dla człowieka, pod żadnym względem nie zasługującego na to uczucie, miłość znoszącą drwiny grubijańskie i wszelkie upokorzenia, a dbającą jedynie o to, by ukochany miał, czego pragnie, co mu przyjemność sprawia. Jest miłość szlachetna, rycerska; jest i udawanie miłości dla osiągnięcia pewnego celu. Widzimy miłość urojoną, czułostkową (Filona), zwróconą najprzód do nieokreślonej, we mgle bujającej istoty, a potem do zmarłej, gdy istota ta jako zmarła, odmienić się, a więc rozczarować nie może. Wszystkie te uczucia dobre,



Marya Wodzińska.

Według jej własnego szkicu rysunkowego odtworzył Kazimierz Mordasiewicz.

(Ze zbiorów Leopolda Meyéta)

uczciwe, szlachetne, czasami skrzywione w zastosowaniu, nie przynoszą ludziom szczęścia, nie zapewniają im radości i spokoju, giną złamane, sponiewierane, oszukane, bo nad niemi trzyma żelazną dłoń samolubstwo i interes, nie przebierajace w środkach, uparte w działaniu, niepowstrzymane w biegu, dopóki zamiarów swoich nie dopną. Wrażenie ogólne jest w końcu smutne, choć nie rozpaczliwe, gdyż poeta nie daje tryumfu ostatecznego pierwiastkowi złemu, zbrodniczemu.

Wzmianka o katastrofie prowadzi do uwag nad pojęciem tragiczności w „Balladynie." I pod tym względem jest to utwór nader znamienny; poeta użył w nim najróżnorodniejszych motywów, poczynając od działania przypadku aż do widomego udziału Opatrzności w sprawach ziemskich. Przypadkiem nazwać musimy, że Goplana, każąc duchom zlać czar na córkę Wdowy, nie powiedziala na którą z dwóch, sądząc zapewne, że domyślny wykonawca jej woli, Skierka, przeczuje, iż idzie tu o usunięcie rywalki względem Grabca; Skierka jednak nie okazał się domyślnym i obdarzył czarem zarówno Balladynę jak i Alinę. Natomiast wmieszanie się świata duchów, świata nadzmysłowego w sprawy ludzkie, przemiana Aliny w wierzbę, oddanie korony Popielów Grabcowi, nie jest już rzeczą przypadku, ale wynikiem działalności wyższej nad ziemską i celowej. Konsekwencya czynów znalazła rozległe zastosowanie, bo zabójstwo, popełnione przez Balladynę (wzięte z ballady Aleksandra Chodźki p. t. „Maliny") prowadzi za sobą, w połączeniu z jej nienasyconą ambicyą, szereg innych morderstw i nikczemności. Lecz rozwiązanie zawikłań, wywołanych trzema poprzedniemi czynnikami, powierza poeta czwartemu, t. j. widomej interwencyi Boga, który piorunem zabija zbrodniarkę, urągającą sprawiedliwości ludzkiej. Takie połączenie i zmieszanie różnorodnych motywów tragicznych nadaje „Balladynie" cechę bardzo oryginalną, właściwą

kapryśnej twórczości Słowackiego, nie lubiącej się krępować jednostajnemi prawidłami; nie przyczynia się atoli do wzmocienia siły wrażeń, do skupienia efektów, do wywołania potężnej grozy tragicznej. Dzieje się w tym utworze bardzo dużo rzeczy strasznych, trupów jest wiele, bo w każdym akcie ginie jedna lub nawet dwie osoby; ale mimo to, czytelnikowi wciąż staje na myśli ów „uśmiech Aryostyczny," jaki swej „Balladynie" przyznał twórca. Nie możemy wypadków, w tragedyi przedstawionych, rozważać na seryo, jako objawów życia ludzkiego, lecz patrzymy na nie jako na genialną igraszkę wielkiego talentu, który swobodnie puścił wodze swojej brylantowej fantazyi i chciał uwydatnić dziwną plątaninę spraw świata wogóle, nie dbając o jakiekolwiek ich systematyzowanie.

Takie-to i tym podobne pomysły (np. zatracony dramat: „Wallas" z dziejów Szkocyi) zapełniały wyobraźnię Słowackiego w jesieni r. 1834; czytywał też utwory owoczesnej belletrystyki: powieści Balzac'a, George Sanda, zalecając swej matce szczególniej „Indyanę" i „Lelię." Z pomiędzy poetów oddziałał nań, zdaje się, w tym czasie, poważny i posępny Alfred de Vigny. Życiu towarzyskiemu oddał się Słowacki dopiero w zimie i na wiosnę roku następnego; u Wodzińskich zaczął bywać częściej, zwłaszcza gdy za jego poradą przeprowadzili się z dawniejszego mieszkania do willi w Pâquis. Rozmowy prowadzone z Maryą, wiersz wpisany do jej imionnika, zabawka w obrywanie płatków stokrotek, pocałunek złożony na warkoczu panny—oto ważniejsze zdarzenia w tej sielance, w której wyobraźnia więcej, zdaje się, brała udziału niż serce. Słowacki był przekonany, że Marya w nim się kochała, „krótko, ale mocno, jak nasze panienki umieją;" a takie przekonanie najzupełniej poecie wystarczało.

Narazie to nowe uczucie nie wpływało nawet na wybór tematów do poezyi, gdyż na wiosnę roku 1835 Słowacki zajęty był tragedyą „Horsztyński" (do-

chowaną ułamkowo), której pomysł w żadnym nie zostawał związku ze stosunkami jego owoczesnymi. Dopatrzyć się w nim raczej można jakiegoś dalekiego echa stosunku do ojczyma, Augusta Becu, i matki. Wybór imienia Salomei dla kobiety, idealizowanej w dramacie, pielęgnującej czule starego niewidomego męża, starającej się wyrugować z serca miłość dla Szczęsnego, można do pewnego stopnia uważać za potwierdzenie tego domysłu. Przytem „Hamlet" Szekspira, „René" Chateaubrianda, „Manfred" Byrona, „Dzieje Wacława" Garczyńskiego wywarły także mniejszy lub większy wpływ na szczegóły pomysłu i wykonania. Zasadniczy motyw utworu jest jednym z najtragiczniejszych, jaki pomyślić sobie można, a przytem bardzo realny, daleki od tych motywów imaginacyjnych, które w przeważnej części dramatów Słowackiego dostrzegamy. Kollizya pomiędzy uszanowaniem i czcią synowską a obowiązkiem obywatelskim stanowi powód strasznej melancholii i obłędu niemal w Szczęsnym, naturze szlachetnej, poetycznej, rwącej się do czynu, lecz zahamowanej w działaniu tem, że syn musiałby stanąć przeciw ojcu. Jest Szczęsny w położeniu straszniejszem niż Hamlet, i jego ociąganie się, jego niepewność zrozumialej się nam przedstawiają, niż ustawiczna chwiejność królewicza duńskiego. Stosunek Szczęsnego do siostry Amelii, kochającej go nad życie, wywołał parę scen nieporównanej piękności, podobnie jak stosunek do Salomei i jej niewidomego męża, starego konfederata barskiego, Horsztyńskiego, mającego dawne rachunki z jego ojcem, Hetmanem. Horsztyński obiera śmierć dobrowolną z dwu pobudek: chce uniknąć skutków ruiny majątkowej, spowodowanej przez Hetmana, a powtóre chce się usunąć z drogi szczęścia swojej ukochanej Salusi, kochającej Szczęsnego. Hetman ginie śmiercią haniebną, bo gdy poszedł do Wilna w r. 1794, Szczęsny nie wykonał jego rozkazu, nie pośpieszył mu na pomoc z siłą zbrojną... Dramat w obe-

cnym swym kształcie nie przedstawia całości; najistotniejszych bowiem scen sprowadzających katastrofę nie posiadamy, tak samo jak i jej rozwiązania.

Wykończeniu „Horsztyńskiego" przeszkodziło może zajście z Eglantyną Pattey, która widząc zakochanie się Słowackiego w Maryi Wodzińskiej, wybuchnęła zazdrością. Poeta opuścił Pâquis i przeniósł się na drugą stronę jeziora, do Veytoux, gdzie w ciągu lata 1835 r. powstały przepyszne liryki, wywołane świeżo doznanemi wzruszeniami, jako to: „Rozłączenie," „Przekleństwo," „Stokrotki," „Chmury," „Ostatnie pożegnanie do Laury..." Gdy Wodzińscy opuścili Genewę, Eglantyna pojechała sama do Veytoux i uprosiła poetę, by wrócił do swego zacisznego mieszkania. Uległ Słowacki i znów kilka miesięcy przebył w Pâquis, nic atoli nowego nie tworząc.

XX.

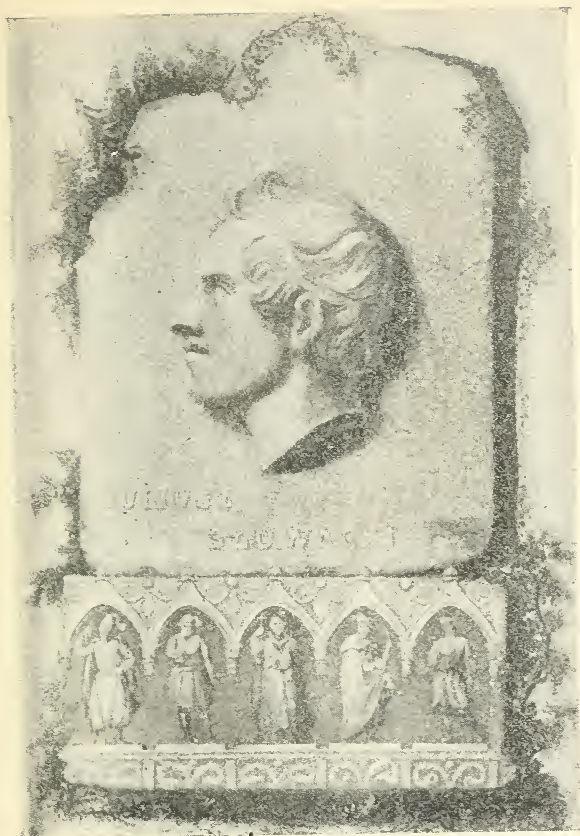
Za nastręczeniem się sposobności oglądania wujostwa Januszewskich, którzy się do Włoch wybrali, pośpieszył, z niemałym smutkiem Eglantyny, w ich ślady, w lutym 1836 roku. Tęsknił on za krewnymi; w wyobraźni wystawiał sobie rozkosz widzenia się z nimi po tylu latach rozłąki; ale przy zetknięciu się rzeczywistem rychło ostygł w zapale; okazało się bowiem, że niewiele miał z nimi spólnego w świecie umysłowym. Znalazł natomiast inne towarzystwo w Rzymie i przylgnął do niego całą duszą. Bawił tam wówczas młodszy od Słowackiego, lecz wytrawniejszy, z głębszą rozwagą, z rozległemi wiadomościami, Zygmunt Krasiński. Łączyła ich ze sobą cześć dla poezyi, skłonność do rozkoszowania się w kraju imaginacyi, a przeciwieństwa umysłów czyniły ich wza-

jem tem ciekawszymi dla siebie. Krasiński zachwycony był olśniewającą fantazyą Słowackiego, a ten uznać w nim musiał przewagę myśli. Stąd pochop do rozpraw, nie wyczerpujących się nigdy, bo świeżego wciąż materyału dostarczały im zarówno dziejowe pamiątki odwiecznego grodu, wycieczki do will poza miastem leżących, jak i odczytywanie sobie wzajemne własnych utworów. Ulubione były szczególniej przechadzki nocne przy blasku księżyca i nieskończone w Kolizeum rozmowy... To przebywanie w towarzystwie Krasińskiego i jego przyjaciół (Konstanty Danielewicz, dr. Sauvan, Adam Sołtan i in.) ochłodziło do reszty stosunek Słowackiego względem wujowstwa, i dopiero pod koniec ich pobytu we Włoszech wróciły chwile lepsze.

Po ich wyjeździe, dwaj bogaci znajomi Słowacki, Zenon Brzozowski i Aleksander Hołyński, namówili go, by z nimi udał się na Wschód, do Ziemi Świętej. Sprawę finansową załatwili pożyczką i 28 sierpnia 1836 r. już byli w Otranto, by wsiąść na statek parowy. Podróż morzem, zwiedzenie Grecyi, wywołującej w poecie wielkie wspomnienia przeszłości, oryginalny widok pierwszego wschodniego miasta, Kairu, piramidy, sfinksy budziły wyobraźnię, poddawały pomysły do nowych utworów, takich jak „Podróż z Neapolu do Ziemi świętej,“ lub „Hymn o zachodzie słońca na morzu“ oraz wiele refleksyjnych opisów i dumań: „Do Teofila Januszewskiego,“ „List do Aleksandra Hołyńskiego,“ „Piramidy,“ „Rozmowa z Piramidami...“ Przeszedłszy kwarantannę w El-Arish, wysłuchawszy opowiadania, które mu później posłużyło do utworzenia „Ojca zadżumionych;“ po innych drobnych przygodach, silnie wbijających się we wrażliwą fantazyę, znalazł się wreszcie poeta w Jerozolimie, u grobu Chrystusa. Nabożnym nie był; wiara jego dziecinna zachwiała się dość wcześnie; istota jednak uczucia religijnego tkwiła w nim

głęboko, a przytem myśl, że już nigdy w życiu po raz drugi nie będzie mógł doznać wzruszeń podobnych, skłoniły go do przepędzenia nocy na czuwaniu w kościele Zbawiciela z 14 na 15 stycznia roku 1837... Z Jerozolimy jeździł do Morza Martwego, do Betlejem, Nazaret, Jerycho, czując, jak mu serce napełniało się „jakąś prostotą i świętością." Następnie udał się do Damaszku, a przejechawszy Antyliban i Liban, osiadł w klasztorze ormiańskim Betcheszban (spoczynek umarłych), zbudowanym na skale, w miejscu bezludnem. Przepędził tu dni 45, a w nich i Wielkanoc. Umyślnie przybyły jezuita ofiarował mu się na spowiednika; poeta ociągał się, lecz ujęty jego przyjacielskiemi naleganiami, z płaczem wyspowiadał się z całego życia... Oczywiście w samotności klasztornej niedługoby mógł wytrzymać; ale chwilowo podobała mu się ona bardziej od gwaru. Serdecznie pożegnany przez zakonników, pojechał do Beyrutu, a stamtąd do Europy. W połowie lipca r. 1837 był już we Florencyi, gdzie się oddał natężonej pracy poetyckiej.

Przywoził już ze sobą naszkicowany, czy też całkowicie w ciszy klasztoru Betcheszban obrobiony poemat prozą, jeden z najoryginalniejszych (pomimo wykazanych w nim wpływów obcych) i najbardziej do tęsknej zadumy pobudzających utworów swoich. Był to „Anhelli" (drukowany r. 1838). Na formę jego wpłynęła proza biblijna „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa," ale Słowacki nadał tej prozie właściwą sobie lotność, eteryczność i barwność. Na pomysł główny—ofiara z serca wybranej jednostki dla zapewnienia szczęścia ogółu — jak i na krajobrazy — oddziałał Chateaubriand swoim poematem prozą pisanym p. t. „Les Natchez;" ale Słowacki po swojemu zużytkował każdy niemal szczegół; w rysach Ellenai dostrzedz można podobieństwa do „Atali" Chateaubrianza, Eloę wziął nasz autor z poematu Alfreda de



Juliusz Słowacki.

(Ze sztychu Wł. Oleszczyńskiego).

Vigny: „Eloa ou la soeur des anges“ [1]), ale jej stosunek do Anhellego rozwinął samoistnie. Ze spostrzeżeń osobistych co do rozterek na wychodztwie, z „Pamiętnika“ Kopcia brał materyał również i tak go przetwarzał, że lubo nie wszędzie zadowolić może myśl badawczą i krytyczną, czaruje wyobraźnię i roztęsknia serce, jak mało w którym ze swoich utworów...

Bawiąc we Florencyi, przejął się Słowacki silniej niż kiedykolwiek wpływami Dantego, zastępującemi teraz dawniejsze wpływy Byrona. Wynikiem tych wpływów, w połączeniu już to że świeżo odebranemi wrażeniami, już to z rozmyślaniami sięgającemi daty odleglejszej, było napisanie trzech poematów, przejmujących grozą, malujących cierpienia serca rodzicielskiego. Najsłabszym z nich jest „Piast Dantyszek, herbu Leliwa“ (druk. 1839), gdyż połączenie rubaszności opowiadacza kontuszowego o swej wędrówce przez morze krwi, wśród widm straszliwych, z obrazami tkliwego nastroju nie powiodło się, rażąc nieraz swoją nieestetycznością, wywołując wstręt i odrazę.—Daleko lepszym jest „Wacław,“ gdzie poeta nasz podjął po Malczewskim dalszą historyę jego bohatera, ale bynajmniej nie w jego duchu; Wacław jest to nieszczęśliwy starzec, zdradzany nikczemnie przez trzecią swą żonę, Zofię Greczynkę, co urągając jego słabości, jawnie się popisuje swojem wyuzdaniem; umiera on w strasznem przypuszczeniu, że ta cyniczna „grafini“ struła go wraz z synkiem z pierwszej żony, Eolionem, dawszy im napój, w który prochy jego przodków wmieszała. I tu wszakże okropności cierpienia nie znalazły harmonijnego wy-

---

[1]) Ferdynand Hoesick: „Anhelli i trzy poematy,“ Kraków, 1895. — Wacław Gasztowt: „Oeuvres complètes de Jules Słowacki,“ Paryż 1870. — Ignacy Matuszewski. „Swoi i Obcy“ 1898, Warsz.

razu; targają one duszę, dręczą ją, ale artystycznego ukojenia nie dają. Być może, chciał poeta wskazać, że tragicznie zakończone dzieje pierwszej miłości Wacława zasiały w duszy jego złe ziarna, które rozrastając się przygłuszyły wszystko, co w niej było niegdyś szlachetnego i wzniosłego, i że starość jego samotną i bolesną uważać należy za straszną ekspiacyę grzechów popełnionych w drugiej fazie życia po gwałtownej śmierci Maryi. Najpiękniejszy jest ustęp o Eolionie, synku Wacława.—Równowaga estetyczna zachowana została dopiero w „Ojcu zadżumionych," gdzie z wielką prostotą, z wielką prawdą psychologiczną odmalował poeta boleść Araba, opowiadającego o kolejnej śmierci najdroższych swych dziatek z zarazy, na pustyni. Arcydzieło liryczne Kochanowskiego: „Treny" znalazło tu swój odpowiednik epiczny. Trudno pomyśleć, ażeby można z większą siłą, potęgującą się wraz ze śmiercią każdego następnego dziecka, oraz z większą naturalnością oddać cierpienia ojca tracącego jedną pociechę po drugiej wśród morza piasków, bez żadnego współczującego serca, bo rozgoryczona małżonka ani może, ani chce przynieść ulgi katuszom męża. Wybrać taką sytuacyę i nie znużyć nią czytelnika; pozbawić swój poemat wszelkiego urozmaicenia, a jednak obudzić szczere spółczucie dla bohatera; dotykać strun najboleśniejszych i wydobywać z nich tony najwyższe, a jednak nie przesadzić — to mógł zrobić tylko taki genialny talent jak Słowackiego, umiejący w szczęśliwej, wyjątkowej chwili przejąć się obcemi cierpieniami, których sam nigdy nie doświadczył, nadać im wyraz pełen wielkiej siły, ale i miary estetycznej zarazem— i stworzyć małe arcydzieło.

Drugie takie arcydzieło, ale w zupełnie innym rodzaju, choć również), nie bez odgłosów Dantego (miłość Franczeski i Paola) tworzy poemat „W Szwajcaryi." Są-to przez pryzmat fantazyi przepuszczone dzieje uczucia Słowackiego dla Maryi Wodzińskiej. Niema

w literaturze powszechnej drugiego utworu, któryby z większym powabem, z większą subtelnością, z większem mistrzowstwem przedstawiał ten rodzaj miłości, jaki musimy nazwać „fantazyjnym,” gdyż nie bezpośrednie, szczere, serdeczne uczucie, lecz raczej wymarzona w wyobraźni, nią przeniknięta nawskroś, zarówno radość jak i smutki z niej czerpiąca skłonność jest jej źródłem. Katusze wyobraźni nie mniej są dotkliwe od cierpień tak zwanych realnych, to jest będących wynikiem rzeczywiście zranionego serca; owszem w pewnych organizacyach duchowych bywają one nieraz stokroć boleśniejsze. Nie wszyscy oczywiście mogą odczuć taki nastrój, ale ci, co go odczuwają, muszą być wielbicielami poematu „W Szwajcaryi.“ Motywów wprost z życia zewnętrznego wziętych jest tu bardzo mało. Widoki gór, dolin, parowów, szaletów szwajcarskich, kaplica Tella — oto prawie wszystko; reszta dzieje się w „kraju imaginacyi“ pełnym czaru, blasku i niewypowiedzianej melancholii, jeszcze tkliwszej aniżeli melancholia Malczewskiego. Jestto niby spowiedź poety, w której jaśniejsze, a nawet najjaśniejsze chwile szczęścia widzimy poprzez rozłzawioną kaskadę smutków. Poeta nie zachwyca się ani pięknością ciała, ani szlachetnością duszy kobiety ubóstwianej i opłakiwanej; on widzi w niej tylko główną przyczynę błogiego lub melancholijnego nastroju, w jaki zapada. Są tu wprawdzie wzmianki o pocałunkach, ale pocałunki te — takie jakieś eteryczne, jakby się tylko w świecie wyobraźni całowano. Rumieniec zamienia czasami twarz ukochanej w róże, ale to chyba dla rozmaitości jedynie kolorów, ażeby ubóstwiana nie wyglądała wciąż jak lilia biała. Poeta sam powiada, że właściwie to tylko „fala niewierna a tak wierna,“ w której się przeglądali kochankowie, zbliżyła ich do siebie, chociaż łączyły ich tylko wyrazy; ona to, „taka szalona i pusta,“ że spoiła nawet usta kochanków, chociaż sercem tylko byli związani. Nawet owa scena, przypo-

minająca Eneasza i Dydonę, chroniących się przed burzą do groty, scena, kiedy to dzień zastał kochanków „z twarzą ognistą przy twarzy," nie robi wrażenia namiętnego wybuchu, nie wywołuje obrazu żądzy zmysłowej, lecz jest jakby przypomnieniem sennego marzenia. I katastrofy rozstania nie opowiada poeta, boć ona odbyła się w wyobraźni tylko; ona „zniknęła jak sen jaki złoty;" zapewne umarła, gdyż wzmianki o aniołach i niebieskich szrankach, gdzie bawić się zdaje, domysł ten nasuwają. Dla poety najważniejszym faktem jest to, że cierpi:

Bo i tu i tam, za morzem i wszędzie
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie...

Piękne otoczenie, wśród którego poeta poznał ukochaną, stanowi jakby nieodzowny składnik jego miłości; stąd te cudne obrazy „tęczy na burzy w parowie," księżyca, szumu kaskady, fontanny, lodowej groty, melancholijnego pejzażu.

„Ojciec zadżumionych," „W Szwajcaryi" i „Wacław" wyszły razem r. 1839 pod tyt.: „Trzy poemata." Tegoż roku ukazała się dopiero w druku „Balladyna," zapewne przerobiona, z prześlicznym listem do Zygmunta Krasińskiego, gdzie Słowacki zapowiedział „naśladując francuskich poetów," że utwór ów „jest tylko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Aryosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyj czyli kronik dramatycznych."

Zanim jednak spełnił ten zamiar choć częściowo, doznał żywszego, jak się zdaje, od wszystkich dawniejszych, prócz pierwszego naturalnie, uczucia dla milionowej panny, Anieli Moszczyńskiej, poznanej we Francyi. W dwu cudnych sonetach: „Do Anieli M." skarżył się poeta na jej chłód i dumę; w liście do matki wyznał, iż mu przez trzecią osobę robiono propozycyę, żeby się o rękę panny starał. On, aby

nie mieć kiedyś na sumieniu, że się „po szczęście w ludzkiem rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas kiedy mu leżało na drodze," zatrzymał się we Florencyi dłużej, a bywając często, „w domu egoizmu i zimną napełnionym atmosferą złota," przechodzi przez wszystkie niepewności „kokietowanego człowieka" tak, że go to wreszcie udręczyło, zwłaszcza, że „serce jego było zupełnie zimne i wszystkie wady widziało. Postronni wmieszali się w ten stosunek.. oziębił się on raptem. Słowacki nie chciał, ażeby sądzono, iż biedę swoją chce załatać bogatem ożenieniem... i wyjechał. Niepodobna uwierzyć, ażeby Słowacki rzeczywiście miał dla Anieli „serce zimne;" musielibyśmy w nim bowiem przypuścić zbyt nizkie pobudki bywania w jej domu, pobudki z jego charakterem zupełnie niezgodne; raczej wolno przypuścić, iż duma nie pozwalała mu wyznać nawet przed sobą samym, iż był zakochany w milionowej pannie i że taż duma stanowiła główny powód zerwania. Imię Anieli, niebawem zmarłej i przez śmierć uidealizowanej, utkwiło silnie w jego duszy: nadał je wielce sympatycznej bohaterce „Beniowskiego."

W drugiej połowie grudnia roku 1838 był już poeta nasz w Paryżu, gdzie miał resztę życia przepędzić. Rozpoczął tu gorączkową działalność; wydawał utwory pisane dawniej i układał nowe. Wśród nowych, nakreślonych między rokiem 1839 a 1841 wyróżnić można dwie grupy wyraźne; w jednej oddźwięki bajronizmu odzywają się jeszcze tu i owdzie, zmieszane z tonami zupełnie innego rodzaju; w drugiej tętni krytyka nastroju bajronicznego. Do pierwszej grupy liczę dramata: „Lillę Wenedę," „Mazepę," „Beatrix Cenci;" do drugiej: „Podróż do Ziemi Świętej," „Niepoprawnych" i „Beniowskiego."

„Lilla Weneda" (r. 1840) jest drugą z szeregu owych sześciu „kronik dramatycznych," jakie ogłaszając „Balladynę," zapowiedział Słowacki. Wstrząsający wątek — zagłada narodu Wenedów w skutek

najścia srogich Lechitów — rozwinięty został z niezmierną siłą uczucia i z powagą, jakiego przedmiot wymagał, bez deklamacyi i fałszywej patetyczności. Bohaterka tytułowa pociąga nas ku sobie potęgą nieprzepartą. Jest to uosobienie cichego, łagodnego poświęcenia, zharmonizowane we wszystkich częściach, nie rażące prawie żadną nutą fałszywą. Wszystkie jej przemowy, czy do siostry Rozy, czy do ojca Derwida, czy do Lecha i Gwinony, nacechowane są taką miłością, tak wzniosłem poczuciem idei ofiary, tak poetycznem natchnieniem, że w całym zasobie dramatycznych postaci Słowackiego niepodobna znaleźć czystszej i poetyczniejszej; wobec niej Kordelia Szekspirowska (z „Króla Leara") blednie. Początek jej dało wspomnienie Julii Alpinuli, co to ojca ocalić nie mogąc umarła, wspomnienie upoetyzowane tak świetnie przez Byrona w „Pielgrzymce Childe-Harolda"[1]), a przez Słowackiego przetworzone i do szczytu doskonałości podniesione.

Czar atoli tej postaci, gdy ją rozważamy samą w sobie, nie czyni jej dramatyczną naprawdę, z powodu że jej czyny (oczarowanie wężów za pomocą śpiewu, żeby nie pożarły ojca, nakarmienie tegoż ojca liliami wodnemi), chociaż ładne jako fikcya poetycka, nie budzą przekonania o swej rzeczywistości i każą poczytywać tę osobistość za cudne urojenie, mające wielką wartość dla fantazyi, lecz nie oparte na trwałym i twardym gruncie realnym. Toż samo powiedzieć trzeba i o zasadniczym motywie tragicznym. Poeta nasz w uniesieniu złączył najściślej nie tylko dzielność, ale nawet samo istnienie Wenedów z urokiem harfy czarodziejskiej, która dostawszy się w ręce mściwej Gwinony, nie wróciła już do rąk króla Derwida i nie mogła serc zrozpaczonych za-

---

[1]) Wiktor Hahn: „Studyum nad genezą Lilli Wenedy" Lwów, 1894.

grzać do boju. Choćbyśmy nie wiem jak wysoko stawiali muzykę i poezyę, nie możemy im przecież własności cudotwórczych przypisywać. Jeżeli Roza Weneda (przetworzenie Welledy, kapłanki gallijskiej z „Męczenników“ Chateaubrianda) w sercach współziomków swoich znalazła zgniliznę lub pustkę, to sądzimy, że im już i harfa Derwidowa nicby nie pomogła. Czytelnik nie może się przejąć tem nadmiernem znaczeniem, jakie Słowacki nadał harfie, nie może zatem w całej pełni oddać się uczuciu grozy, które obudził temat zgonu narodu całego. Przytem Ślaz, mający wyobrażać wpływ nędznych, lichych osobistości na sprawy doniosłego znaczenia, będąc bezpośrednim powodem katastrofy (zwiedziona jego kłamstwem Roza Weneda zabija Lechona, i tym sposobem sprowadza śmierć Lilli i pozostanie harfy u Gwinony), obniża wrażenie; a karykaturalny ś. Gwalbert bynajmniej go nie podnosi. Pomimo jednak tych wad „Lilla Weneda“ przez głębokie odczucie i oddanie cierpień ginącego narodu pozyskała wysokie miejsce wśród najznakomitszych tworów poezyi naszej.

Z dalszych „kronik dramatycznych“ nie opracował Słowacki w całości żadnej; zostawił jeno drobny urywek z „Krakusa”.

„Mazepa“ (r. 1840) był, jak wiemy, napisany pierwotnie w Genewie, lecz spalony; z dawniejszego atoli opracowania utkwiły silnie w pamięci poety niektóre sceny i te zostały w nowem obrobieniu powtórzone, chociaż pomysł ogólny uległ, zdaje się, zmianie. Takich pozostałości najwięcej znajduje się w akcie pierwszym, gdzie występują osoby, całkiem pominięte w dalszym rozwoju działania. Jest to dramat, w którym ludzie niewinni padają ofiarą; budzą oni współczucie, lecz nie wywołują grozy tragicznej. Amelia posiada dużo uroku; jej niezasłużone cierpienia, jej niewyznana miłość idealna do pasierba, jej polot poetycki zniewalają nas ku niej; doskonale jednak zharmonizowaną w sobie postacią nazwać jej niepodobna.

Poeta dał się pociągnąć swej wyobraźni i dla efektu wyrazowego poświęcił w jednem miejscu wewnętrzną jednolitość osobistości; raz pojął ją w tonie elegijno-poetycznym, drugi raz w tonie pewnym siebie i śmiałym. Postaci Zbigniewa i Mazepy, ujmujące i rycerskie, wynikliwiej są przeprowadzone. Wojewoda ze swą podejrzliwością, dumą i okrucieństwem ma chwile wspaniałe. Pomysł zamurowania kaplicy z żywym, tam znajdującym się paziem (Mazepą) wziął Słowacki z wybornej powiastki Balzac'a: „La grande Bretèche", ale go po swojemu rozwinął, nie można jednak twierdzić, żeby wywołał takie tragiczne wrażenie, jak autor francuski, u którego niema wprawdzie tej fantazyi co u naszego, ale niema także i dowolności, nie liczącej się ze ścisłą konsekwencyą i słów i czynów. Zaletę sceniczności posiada „Mazepa" w wysokim stopniu i pod tym względem przewyższa wszystkie inne dramata naszego poety.

Właściwa treść tragedyi p. t. „Beatrix Cenci" nie została poczerpnięta z owego pełnego zgrozy i wstrętu stosunku ojca do córki, jaki nam przekazała historya, gdyż Słowacki zaznaczywszy tylko ten fakt w sposób mistrzowski na początku sztuki, rozwinął jej wątek na podstawie dalszych losów bohaterki, a mianowicte miłości do malarza Gianiego i wyników śledztwa, prowadzonego w sprawie morderstwa, którego ofiarą padł stary Cenci. Rzecz się wikła wskutek nikczemności Piotra Negri; ten bowiem pałając namiętną żądzą względem Beatryczy, a widząc płonność zabiegów swoich, donosi urzędowi o jej zbrodniczym postępku; za co znów zostaje zamordowanym przez malarza, który, jak się potem okazuje, był jego bratem. Okropności tej osnowy porównać się dadzą ze zbrodniami wypełniającemi tragedye greckie. Gdyby nie brylantowa fantazya Słowackiego i gdyby nie uczuciowość, jaką nadał bohaterce, rzecz cała robiłaby wrażenie wstrętne, jak niektóre dramata Wiktora Hugo. Beatrix, zabójczyni ojca dla ochrony

czystości dziewiczej, jest spokojną, choć wie, że śmierć ją czeka; wyrzutów sumienia nie doznaje, całkowicie się oddając uczuciu miłości do Gianiego, a w chwili ostatniego z nim pożegnania wypowiada słowa tchnące prostotą i rzewnością. Nie znosi przymusu i fałszu; to też naciąganemi wydają mi się jej wyrażenia, kiedy powiada, ze „przeczuciami dawno rozkochana“ w Gianim — niewidzianym przez siebie nigdy przedtem — „jemu broniła wierności straszną ofiarą“; ładnie to brzmi, ale w ustach Beatryczy niezbyt to właściwe.

Kilka innych pomysłów do dramatów historycznych („Jan Kazimierz“, „Wallenrod“, „Walter Stadyon“) pozostało w rękopismach poety w stanie zarodkowym tylko; z pomiędzy tych fragmentów wyróżnić potrzeba „Złotą czaszkę“ dlatego, że tu po raz pierwszy zeszedł Słowacki z krain mglistych na padół ziemski, po raz pierwszy rozwinął talent plastyczny, chociaż pod względem stopnia nie mogący się równać ze zdolnością prawdziwie znakomitych plastyków; po raz pierwszy wreszcie starał się przemawiać językiem rozmowy potocznej. Dawniej bowiem nie lubił on mowy pospolitej, powszedniej, nie chciał się zniżyć do kopiowania wyrażeń z języka codziennego, lecz tworzył połączenia słów niespodziewane i uderzające swoją świetnością. Wszystkie jego osoby, od króla do błazna, od uczonego do prostego szeregowca, przemawiały stylem jednakowym, czasami tylko zlekka zabarwionym pewnemi znamiennemi słowami lub szczególnym tokiem wyrazów. Język jego osób nie był więc charakterystycznym, nie znamionował odrębnych temperamentów, odrębnych umysłów, odrębnych stopni wykształcenia, odrębnych zajęć w życiu. Jeżeli powiadano o postaciach Szekspira, iż wszystkie chorują na hipertrofię wyobraźni, to o postaciach Słowackiego możnaby twierdzić, iż wszystkie zanadto są poetami, wyszłymi ze szkoły Słowackiego. Czasami tylko starał się nasz dramatyk charakteryzować ludzi

za pomocą doboru słów im właściwych; słabo mu się to udawało w osobie Grabca („Balladyna"); zanadto sztuczności i Szekspirowskich czy Kalderonowskich reminiscencyj było w jego Ślazie („Lilla Weneda"); ale za to w „Złotej Czaszce" owładnął on całkowicie stylem staroszlacheckim, „kontuszowym" (tak samo jak w „Preliminaryach peregrynacyi do Ziemi Świętej Radziwiłła Sierotki" 1841 prozą pisanych), zapewne pod wpływem rozczytywania się w „Pamiętnikach Paska", wydanych r. 1836 i w „Pamiątkach Imć Pana Seweryna Soplicy," ogłoszonych r. 1839—41.

XXI.

To zejście do rzeczywistości łączy się psychologicznie z krytyką nastroju bajronicznego i prowadzi nas do przeglądu utworów drugiej grupy.

Dramatyzowanie swego życia i pozowanie, pogoń za coraz to nowemi wrażeniami, by zaspokoić głód wewnętrzny, rozterka pomiędzy stosunkami zewnętrznymi, a pragnieniami nienasyconemi, przyoblekanie twarzy w ponurość i bladość, uważanie się za nieszczęśliwych, niezrozumianych, nieocenionych; lubowanie się w boleści; przybierana umyślnie melancholia i ironia gorzka; jednem słowem cechy ludzi, którzy bądźcobądź chcieli uchodzić za poetycznych, albo będąc nawet takimi, pragnęli spotęgować wywierany przez się efekt, cechy, bynajmniej nie obce przez czas bardzo długi samemu Słowackiemu, a oglądane nieraz w karykaturze, wywołały w nim zastanowienie krytyczne i przedstawiły się z czasem ze swej strony śmiesznej. Powoli, bardzo powoli uświadamiał on sobie te ujemności w prawdziwie poetycznych, a zwłaszcza w udających poetyczność osobistościach, aż doszedł wreszcie do stanowczego potępienia wszelkich uczuć wydwarzanych (afektowanych)

i dostrzegł, że sam nie był na prawdę Polakiem, ale „istnym bajronistą.“ I tu jednak wzorem i przewodnikiem dla niego stał się Byron—w najdojrzalszym utworze swoim, pełnym wielkich piękności, lecz i strasznych zgrzytów, w „Don Juanie“. Tylko że Słowacki nie majac tak gwałtownych i głębokich namiętności, jak poeta angielski, ukwiecił swe szyderstwa Aryostyczną fantazyą, i lubo się odgrażał, rzadko kiedy użył wężowego bicza Erynij (Furyj).

Tonem najlżejszym skreślił kilka bajrońskich karykutur, a między innemi i swą pierwszą kochankę Ludwikę Śniadecką, udającą się do Konstantynopola po „uszy“ poległego w wojnie tureckiej Włodzimierza Korsakowa,—w „Podróży do Ziemi świętej“, należącej do najwcześniejszych przejawów nowego, krytycznego zwrotu w twórczości Słowackiego. Powstawała ona niemal spółcześnie z samem odbywaniem wędrówki i odbijała kolejno to wesołe, zabawne, to poważne, rzewne i smutne wrażenia. Poematu tego nie wykończył Słowacki, doprowadził go tylko do opisu pobytu w Grecyi, na co potrzebował aż dziewięciu pieśni, a to w skutek częstych „dygresyj“, mających na celu wypowiedzenie uczuć lub poglądów osobistych. Satyra, ironia, lekkomyślność, prawie płochość spajają się tutaj najściślej z głęboką melancholią (mianowicie w pieśni I-szej), żalem, surowym nastrojem.

Za życia ogłosił Słowacki tylko drobną cząsteczkę z tego poematu p. n. „Grób Agamemnona” (1839), który powagą myśli i cudnem wykonaniem wywarł wrażenie ogromne i oddziałał silnie na umysły młodzieży. Jestto najdotkliwsza, ale niestety bardzo trafna charakterystyka naszego usposobienia (ślepe naśladownictwo obcych, porywczość i nierozwaga, woskowa miękkość charakteru, płytkość myśli) w zestawieniu z bohaterstwem trzystu Spartan, pod wodzą Leonidasa. Przystępował do tej krytyki w sposób bardzo ujmujący, bo wyrażał swe głębokie spółczucie i przyznawał, że sam nie jest bez winy; ale za-

kończył zgrzytliwie—urąganiem z niedoli, która obronić się nie może. To wynoszenie się nad cały naród, dające się zrozumieć psychologicznie u Słowackiego, przejmuje wstrętem u jego naśladowców, powtarzających wyzyw na zimno...

Najwięcej ironii subtelnej rozwinął Słowacki w „Niepoprawnych“ (lub też „Nowej Dejanirze“). Potrzeba było poety, obdarzonego taką fantazyą i takiem delikatnem poczuciem, jak on, ażeby módz wystawić śmieszności poetyckiego nastroju, bynajmniej nie zasłaniając prawdziwie szlachetnych, pięknych, nawet wzniosłych porywów, jakie rzeczywiście tkwiły w owych wyszydzonych istotach. Mamy tu z ogromnym talentem słowa przedstawione dwa rodzaje poetyczności: jedną udaną, źle pokrywającą powszednie, grube popędy w osobie zrujnowanej hrabiny Respektowej; drugą prawdziwą, ale pozowaniem ośmieszającą się w hrabinie Idalii i w hrabi Fantazym. Naprzeciw zaś tym dwom rodzajom poetyczności postawił Słowacki natury proste, ale z charakterem dzielnym, a więc mającym wyższość nawet nad szlachetnymi, lecz rozbujałymi fantastami; są to Dyana, córka hrabstwa Respektów, Jan przez nią ukochany, i Major. Osnową utworu jest właściwie małżeństwo, zaprojektowane przez puszących się hr. Respektów, którzy swą córkę, bez względu na jej uczucia, oddawali Fantazemu za spłatę długów, ciążących na ich majątku. Treść ta jednak, która nasunęła Słowackiemu jedną z najwspanialszych przemów (w odpowiedzi Dyany Fantazemu) nie wypełniła dramatu, autor więcej nawet, niż nią, zajął się stosunkiem Fantazego i Idalii, którzy też wychodzą na głównych bohaterów sztuki i zajmują czytelnika najwięcej, bo są istotnie przepyszni. Starał się oczywiście poeta dwa te wątki połączyć ze sobą i połączył je też istotnie, ale nie spoił artystycznie, nie uczynił utworu jednolitym w całej pełni. Dramat, zakrawający z początku na rzecz poważną i pełną grozy, zaprawiony został komicznie

przedstawioną przygodą pani Rzecznickiej (porwanej przez Kałmuka), a zakończony uwieńczeniem dawnej miłości Dyany do Jana, sprowadzonem przez poczciwego i zacnego Majora, który sam jeden umiera w tym utworze, mającym ostatecznie charakter tragikomiczny, a odznaczonym świetnemi wzlotami fantazyi w dyalogu.

„Beniowski," będący arcydziełem języka i stylu, mieniącego się wszystkiemi barwami, najpodobniejszy do „Don Juana" Byronowskiego, lecz mający też dużo cech wspólnych z „Orlandem Szalonym" Aryosta, nie ma tej, co „Don Juan" rozległości widnokręgu, nie obejmuje ogromnych obszarów życia ogólno-europejskiego, z jego etycznymi i politycznymi stosunkami; obraca się w zakresie szczuplejszym; ale też nie kreśli scen ślizkich i rozpustnych. Tło wprawdzie—konfederacya barska, w połączeniu z koliszczyzną (czyli rzezią humańską)—mogło dostarczyć wątku do szerszego i głębszego obrobienia przedmiotu, poeta nasz atoli nie skorzystał z niego w całej pełni, nie rozsnuł go tak, jakby to zrobić było można, wciągając do opowiadania zdarzenia i myśli, związane ze sprawą; poprzestał jeno na opisie paru bitew, na przyglądaniu się rzezi hajdamackiej, na poselstwie bohatera do Krymu, gdzie go zajęły raczej kolorystyczne obrazy „Wschodu w miniaturze", aniżeli stosunki polityczne. I miłosne przygody Beniowskiego mało zajmują miejsca w poemacie, chociaż dały Słowackiemu sposobność do nakreślenia jednej z najpiękniejszych i najsympatyczniejszych swoich postaci niewieścich, Anieli, córki dumnego a śmiesznego hr. Ankwicza, panny, co sercem całem ukochała zubożałego Beniowskiego. Ten nie budzi zainteresowania swoimi czynami, gdyż poeta, chociaż zapowiadał jego bohaterstwo, nie przedstawił go w tem, co do nas doszło w żadnej naprawdę poważnej walce, często go nawet ośmieszał, ale miłością Anieli opromieniwszy jego postać, uczynił go, pomimo wad, dosyć miłym. Przeważną część

poematu, na wielką zamierzonego skalę, wypełnił Słowacki „dygresyami“. Dygresye te podzielić można na trzy kategorye. Do pierwszej zaliczam ustępy uczuciowe; przy opowiadaniu przygód bohatera, poeta nieraz opiewa własne wrażenia i wspomnienia, przechodząc bardzo rozległą skalę uczuć, od szczerości i serdeczności, płochości i pustoty, czy smutku i melancholii, do ironii, satyry i gryzącego sarkazmu. Mieszczą się tu rzeczy najpiękniejsze, najbardziej wzruszające, że tylko wspomnę ostatnie pożegnanie z kochanką młodości Ludką, przy końcu pieśni IV-ej, z którem zestawić można rzewne wspomnienie w I-ej pieśni „Podróży do Ziemi świętej“.—Drugą kategoryę nazwaćby można „dygresyami literackiemi“; mieszczą się tu wycieczki przeciwko krytyce wogóle i krytykom poszczególnym, jak niemniej objaśnienia czytelnika o sposobie tworzenia, o powstawaniu takiej lub innej strofy, takiego lub innego nastroju. Po większej części, rzeczy te okolicznościowe mało nas dzisiaj obchodzą, a i w wykonaniu ich niema zazwyczaj wielkiej świetności; niekiedy nawet rażą nas one i tworzą przykry rozdźwięk.—W trzeciej kategoryi wreszcie, najmniej obfitej, zawrzeć-by można uwagi religijno-społeczno-polityczne, zastosowane do położenia i losów kraju; występuje tu Słowacki jako poeta demokracyi, jako wróg obłudy i bigoteryi, jako smutny syn nieszczęśliwego narodu.

Ze wszystkich dygresyj „Beniowskiego“ najpamiętniejszą jest ta, którą wymierzył przeciwko Mickiewiczowi w końcu pieśni V-ej. Powodem do niej była znana już nam uczta 25 grudnia 1840 roku. Jak wiemy, improwizował na niej Słowacki, składając hołd twórcy „Pana Tadeusza“, którego wartość on jeden z najpierwszych wysoko ocenił, oraz skarżąc się na obojętność ogółu względem siebie. Mickiewicz w odpowiedzi swojej wskazał mu serce i Boga, jako jedyne drogi, prowadzące do uznania i miłości w narodzie. Słowacki nie czuł się bynajmniej dotkniętym

BENIOWSKI

POEMA

PRZEZ

JULJUSZA SŁOWACKIEGO



PIĘĆ PIERWSZYCH PIEŚNI.



w Lipsku.

U LEOPOLDA MICHELSENA.

1841

i miał nawet na drugiej uczcie wręczyć Mickiewiczowi pamiątkowy puhar; ale tymczasem nieżyczliwi rozgłosili, jakoby wieszcz litewski w owej improwizacyi odmówił autorowi „Balladyny“ nazwy poety. Oburzony tą potwarczą plotką, jak niemniej zaniechaniem myśli o daniu mu także jakiejś pamiątki (pierścienia), Słowacki usunął się od uczestnictwa w drugiej biesiadzie. Gdy zaś niebawem potem ukazał się w jednem z pism poznańskich (w „Tygodniku Literackim“, Nr. 8 z r. 1841) ubliżający Słowackiemu artykuł o „improwizatorach”, a Mickiewicz nie sprostował mylnych twierdzeń (nie wiedział poprostu o nich, zajęty swymi odczytami w kolegium francuskiem), drażliwy poeta do gotowych już pięciu pieśni „Beniowskiego“ dodał strof kilkanaście, poświęconych temu zajściu, a poprzedzonych wspaniałą modlitwą do Boga, co „lubi huczny lot olbrzymich ptaków, a rozhukanych koni nie kiełza“. Strofy to śliczne, jako styl i wiersze, lecz nie wszędzie jednakowo porywają nas treścią swoją. Spółczujemy poecie, gdy się skarży, że „próżno słowa wyrzuca namiętne, pełne łez i krwi, i błyskawic świetnych,“ gdy podaje się za pieśniarza ludu, nie zaś za barda minionych czasów, nawet gdy zapewnia, że lud pójdzie za nim; nie możemy atoli przyznać mu słuszności, kiedy drogę obraną przez Mickiewicza nazywa „kłamną“, ani też kiedy rokuje sobie zwycięstwo nad przeciwnikiem, ani zwłaszcza, kiedy w gniewnem uniesieniu odgraża się zabiciem go i włóczeniem jego trupa wokoło jego Troi, jak drugi Achilles. W takich wynurzeniach znać słabą stronę dumy Słowackiego, a mianowicie próżność i zbyt wysokie o sobie rozumienie. Gdyby był poprzestał na wypowiedzianem przez siebie zdaniu, iż sąd o wartości swojej i o stosunku do Mickiewicza zostawi wiekom, byłby się nie naraził na zarzut, jaki mu uczynić wypada, że sąd ten chciał swoim własnym uprzedzić, sobie tylko słuszność przypisując. Dodać wszelako potrzeba, że przykre wraże-

nie, jakie pozostawił po sobie ten wybryk względem największego wieszcza naszego, Słowacki starał się zatrzeć, pisząc w pieśni VIII-ej „Beniowskiego“ świetną pochwałę „Pana Tadeusza“, bo Litwini:

..... w tej cudnej epopei żyją;
W ich lasach trąba gada—boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją;
Patrzcie, jak ten żubr od pękniętej bomby
Cofa się; patrzcie, jakie wianki wiją
Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewosłęby;
Słuchaj i patrzaj, bo jako zjawienie
Litwa ubrana w tęczowe promienie
Wychcdzi oto z lasu.—Z taką chwałą
Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
Iż myślisz dotąd, że to echo grało,
A to anielskich był głos serafinów.
Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!
Chociaż Gofredów nie miał i Baldwinów,
Ani mógł morza wiosłami zamącić,
Ani księżyca z wież krzyżowych strącić;
Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica...

Inna dygresya, dotycząca krytyki, a mianowicie czasopisma, wydawanego w Paryżu p. t. „Młoda Polska,“ wywołała wyzwanie poety na pojedynek przez czującego się obrażonym, zdolnego, lecz wielce nerwowego *Stanisława Ropelewskiego* (1815 † 1865). Z tej atoli sprawy Słowacki wyszedł zupełnie zwycięsko; okazał męstwo i spokój, upokorzył przeciwnika, który się na plac nie stawił; w końcu przebaczył mu wspaniałomyślnie. Mógł więc z tryumfem pisać o tem do matki, że na śniadaniu u jednego z sekundantów przeciwnika „nadskakiwano mu jak zwierzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić“. Atoli chluba ta cieszyła go jeszcze żywiej ze względu na osobę, w której wówczas szalenie się kochał, cieszyła go, bo mógł się jej ze strony rycerskiej przedstawić. Osobą tą była Marya Joanna Bobrowa, kobieta ukształcona, delikatna, sentymentalna, przed kilku laty ko-

chająca się w Zygmuncie Krasińskim i przezeń kochana. Rozstawszy się z mężem w skutek tego stosunku, mieszkała za granicą wraz z dwiema córkami, znanemi z ładnych wierszy Słowackiego. Chciała być wielbioną przez autora tylu dzieł strzelających błyskawicami fantazyi, chciała może odgrywać względem niego rolę idealnej Beatryczy, być mu natchnieniem, podniecać do twórczości poetycznej, lecz nie zamierzała go dopuścić bliżej, wciąż jeszcze marząc o Zygmuncie. Nauczona smutnem doświadczeniem poprzedniem, trzymała Słowackiego na uwięzi Po raz to pierwszy może poeta nasz rozgorzał. Jeździł za panią Bobrową do Frankfurtu nad Menem i pisywał stamtąd listy tchnące namiętnością, jak ten np. „Nie żałuję, żem przybył. Dni schodzą mi przyjemnie; widuję ją, czuję przyśpieszone bicie swego i jej serca; twarz jej okrywa się rumianością, przypominającą mi przezroczą jasność jutrzenki w Grecyi; uczę się mówić językiem miłości, żyję i promienieję. I czegoż trzeba więcej?... Czytałem jej moją *Beatrix Cenci*, a wstrząśnienie elektryczne, jakiego doznała, z tem jedynie porównać się może, jakie w czasie kąpieli sprawia nam (ryba) drętwik... Namiętność wydała się jej po mistrzowsku odmalowaną... Prawda, że czytając, dobierałem takich cieniowań głosu, co wprawiały w drżenie wszystkie struny jej duszy... Są dni, kiedy jej prawie wcale nie widuję; bywa to wówczas, kiedy jej córka przychodzi (z pensyonatu) do domu. Dni takie są dla mnie piekłem. Zmuszony jestem przepędzać je samotnie z niemieckiemi książkami, z rozstrojonym fortepianem i małą służącą niemiecką, zakochaną we mnie. Czujesz, że się wściekam wtedy i że nie tykam ani książki, ani fortepianu, ani dziewczyny. Pogrążam się w czarnych swych myślach jak Korsarz lub Lara (bohaterowie Byrona).“ W końcu nie mógł wytrwać wśród takich udręczeń i wyjechał z Frankfurtu. Pożegnanie z Bobrową nie

skończyło się rozdźwiękiem; przyjaźń z obu stron przetrwała lata całe, a tymczasem w duszy poety zaszła zmiana ogromna.

XXII.

W połowie r. 1842 przedstawiony Andrzejowi Towiańskiemu, został Słowacki jego wyznawcą. W dziecinnym niemal wieku lubił on, jak wiemy, zatapiać się w teoryach Swedenborga o przechodzeniu dusz i szczeblowaniu istot; później powiew sceptyczny rozwiał mary, ale niezupełnie. Jako natura wrażliwa i wielce nerwowa, Słowacki miewał przeczucia, którym dawał wiarę, miewał wizye, uważane przez siebie za prorocze. Zwątpił o wartości nastroju bajrońskiego, wyśmiał go, a nie miał go czemś pewnem i określonem zastąpić. Towiański łączył jego dziecinną wiarę w wędrówkę dusz (metempsychozę) ze wskazaniem możności obcowania bezpośredniego z duchami, otrzymywania od nich natchnień, byleby tylko, odrzuciwszy całą sztuczność i nieprawdę zwykłego życia towarzyskiego, skupić się w sobie, dojść do potrzebnego „tonu”, wznieść się wewnętrznie i udoskonalić. Dodana do tego, w początkach propagandy, obietnica rychłego powrotu do kraju, oddziałała także częściowo na stęsknione za swymi serce Słowackiego. Wszedł więc do grona towiańczyków, pogodził się z Mickiewiczem, który po przymusowym wyjeździe „mistrza“ z Paryża stał na ich czele; doznał uspokojenia; czuł się szczęśliwym i mocnym. Niedługo wprawdzie wytrwał w jedności z „kołem“ Mickiewiczowskiem (mało co więcej nad rok); różne sprawy, które mu się nie wydawały zgodnemi z duchem „mistrza“, skłoniły go do protestu i wycofania się z grona, by ze szczupłym zastępem zwolenników swoich utworzyć odrębne zgromadzenie. Główne jednak nau-

ki Towiańskiego o kolumnach duchów złych i dobrych, walczących ze sobą, o migracyi dusz, uznawał do końca życia za prawdę i rozwijał je w swoich utworach.

Pisać bowiem nie przestał; owszem uważał to sobie teraz za obowiązek; ale treść tych nowych dzieł inną była od dawniejszych. Słowacki wierzył niezachwianie, że natchnienie do nich przychodziło mu z nieba, a więc miały one stanowić nie indywidualny wyraz przekonań jednostki, lecz prawdy niewątpliwe, jakby objawienia, których dla dobra ogółu poeta nie tworzy, powtarza je tylko, czyniąc zadość niepokonanemu naciskowi z góry, zmuszającemu go do zostania narzędziem woli wyższej. Widzenia i halucynacye stały się u niego wówczas bardzo częste, a tak silne, iż brał je za rzeczy z zewnątrz, a nie z wewnątrz pochodzące. Znając usposobienie dumne, a przytem sceptyczne Słowackiego w latach, poprzedzających przyjęcie towiańszczyzny, łatwo zrozumieć, że poeta nie chciałby się był podawać za narzędzie jedynie natchnień, gdyby w głębi duszy nie miał przeświadczenia o prawdziwości takiego stanu duchowego. Pod wpływem teoryj mistycznych zaszła bowiem olbrzymia w Słowackim zmiana, daleko większa aniżeli w Mickiewiczu; umysł jego z wątpiącego i skłonnego do szyderstwa, stał się naiwnie a żarliwie wierzącym; charakter z dumnego a pogardliwego— ukorzonym, pałającym miłością ludzi, wielce serdecznym. Co dawniej przypisywał działaniu rozumu lub namiętności, teraz uważał za wynik natchnienia i cudu. Czyny bohaterskie, silną dłonią i mieczem dokonane, straciły dla niego powab i wzniosłość, gdyż przeciwstawił im czyny poświęcenia się cichego, ofiary, upokorzenia i cierpienia. Moc cielesna, której zresztą i poprzednio nie bardzo hołdował, miała teraz w jego oczach znaczenie ujemne, a za jedyną siłę dodatnią poczytywał moc duchową. Stąd objawy cywilizacyi materyalnej, udoskonalenia w gospodarstwie

społecznem, w administracyi, polityce nie pociągały go ku sobie bynajmniej, budziły raczej obawę, że wśród tego postępu zewnętrznego zaniedbany zostanie postęp wewnętrzny, uduchowienie. Nie rola, nie handel, ani rozdział pracy—mówił—jest źródłem bogactwa kraju, lecz natchnienie. Natchnienia tego nie może dać ten kierunek oświaty, co czci „rozum tylko tak jak rzemiosło“. Wobec rozpraw o wolności, Słowacki myśląc o udoskonaleniu wewnętrznem, porównywał jej posiadanie do posiadania fletu: „jeśli go weźmie człowiek muzyki nieświadom, piersi straci i uszy sfałszuje sąsiadom“. Wolnym jest ten jedynie, „kto się wzniósł ponad potrzeby powszedniości, kto umie się wyrzec wszystkich dóbr widzialnych, kogo namiętności nie gnębią“. Nowoczesne urządzenia konstytucyjne nie znajdowały wtedy w Słowackim wielbiciela; porównywał je do fortepianów, w których klawiszami są ludzie, pedałami — bogacze, a wirtuozem, grającym na tych instrumentach—„najwyższy pieniężny interes“... Pogardzając sprawami i rzeczami ziemskiemi, podnosił umysły ku Bogu i napełniał je głębokiemi uczuciami religijnemi, ale oswobodzonemi od form i formułek, bo jak wszędzie indziej, tak i tu cenił tylko ducha. Dlatego poddał krytyce księdza, wołającego z ambony, że na wsi jest bliżej Boga, i pytał: „gdzie jest Bóg tego księdza?“ Dlatego zapewniał, że kościół znajduje się tam, skąd „boskie płynie natchnienie,“ a nie tam, „gdzie krzyż, belki i kamienie...“

W skutek takiego nastroju duchowego, bohaterami poetycznymi nie mogli już być bajroniści, myślący jeno o sobie, ani też ludzie powszedniemi uczuciami i celami zajęci, lecz duchy lub też osoby, przeniknięte nawskroś duchowością, będące wcieleniem potęg nadziemskich. Walka pomiędzy duchami jasności a duchami ciemności staje się dla niego zasadniczym objawem życia cywilizacyjnego narodów i główną sprężyną działań indywidualnych. Kto ma

serce czyste, pokorę i wiarę, może jednem słowem całe pułki nieprzyjacielskie zgnieść i zdruzgotać, może wynieść się ponad troski i cierpienia życia codziennego i zajaśnieć aureolą świętych.

Rozpowszechnieniu tych myśli i uczuć poświęcił Słowacki dwa swoje mistyczne dramata, w całości wykonane i przez niego samego wydane: „Ksiądz Marek“, „Sen srebrny Salomei“, kilka fragmentów dramatycznych krótszych lub dłuższych, ogłoszonych po jego śmierci, rozległy poemat p. t. „Król-Duch“ i trzy rozprawy prozą pisane.

W „Księdzu Marku“ (1843) karmelita, kaznodzieja uwielbiany przez konfederatów barskich, jest przedstawicielem idei boskości, pokonywającej wszelkie zło potęgą wewnętrzną, duchową. Gdy możni tego świata (Krasiński, Regimentarz i przełożony karmelitów) pomimo jego upomnień porzucają Bar, by szukać gdzieindziej schronienia i środków materyalnych, on zostaje, a poświęceniem swojem, godnością, gromem słowa i gromem z niebios przywołanym podtrzymuje ducha w zalęknionych, pobudza grzeszników do skruchy i pokuty, pozyskuje cześć ze strony nieprzyjaciół i zachowuje mieścinę dla Kazimierza Puławskiego. Jest on wizyonerem i cudotwórcą, ale jest też zarazem i chrześcijaninem, który słowa przebaczenia i miłości zastosowuje w praktyce, szturmując niemi do serc zatwardziałych w zbrodni lub żądnych zemsty. Jeżeli kogo karze (jak Kossakowskiego), to jedynie dla jego poprawy, ma zaś uczucie ojca wyrozumiałego na wybuchy duszy zbolałej i zbłąkanej syna czy córki, jak względem Judyty, choć ona tajemnem przejściem wpuściła nieprzyjaciół do miasta. Wszystko, co się dzieje w dramacie, tchnie nadzwyczajnością i cudownością, nie mającą nic spólnego ze zwykłym trybem życia. Ci, co się wydawali ostatnimi łotrami, pozbawionymi uczuć szlachetniejszych, stają się, pod wpływem słowa bożego i natchnień ducha, sługami braci swoich, poświę-

cającymi przesądy rodowe i przyzwyczajenie do rozkazywania i dumę i złe nałogi. Idea miłości i potęga wiary odnoszą tu tryumf stanowczy, choćby ludzie, te idee reprezentujący, ginęli cieleśnie.

„Sen Srebrny Salomei" (1844) rozwija tę myśl, że grzech pychy i nieposłuszeństwa względem natchnienia bożego, spływającego we śnie, w wizyi, musi być odpokutowany szeregiem cierpień dotkliwych i krwawych. Gruszczyński, choć skądinąd uczciwy człowiek, nie poszedł za natchnieniem ducha, nakazującem mu udanie się do konfederacyi barskiej — i oto córka jego ukochana zhańbioną została przez syna przyjaciela, któremu ją powierzył w opiekę, — co więcej, żona jego i dziatki w mękach strasznych, zadawanych przez hajdamaków, życie utraciły. Regimentarz zgrzeszył pychą rodową i nieuwzględnieniem prawa miłości: chciał syna swego połączyć z Księżniczką, choć ten syn kochał Salusię Gruszczyńską; więc też odcierpieć to musiał na tym synu, który rozbity przez hajdamaków, popadł w obłąkanie przerażające. Dopiero gdy po zniesieniu katuszy, ugiął się drzed Panem, zrozumiał znaczenie pokory, odrzucił przesąd rodowy, uczuł prawo miłości; został obdarowany szczęściem: syn jego odzyskał zmysły; Salusia, poczytywana za umarłą, zjawia się żywą i może stanąć do ślubu z ukochanym. Księżniczka natomiast, co potajemnie zaślubiła kozaka Sawę, lecz żoną jego nie była ani na chwilę, zgadza się na to, gdy Sawa położył zasługi wielkie w sprawie poskromienia hajdamaków. Ażeby zaś wobec istniejących jeszcze w społeczeństwie przesądów, małżeństwo to nie raziło, daje Sawie dokumenty, zostawione jej przez Wernyhorę, a świadczące o szlacheckiem męża pochodzeniu.

Z fragmentów dramatycznych, przejętych mistycyzmem, największy jest „Agezylaus" (ogłoszony po raz pierwszy przez Józefa Rychtera w Krakowie 1889 r.). Bohaterem ducha jest tu król spartański,

Agis. Postanowił on podnieść upadające państwo przez przywrócenie praw Likurga, nakazujących ubóstwo i poświęcenie dla wspólnej sprawy. Dokonawszy przewrotu, pomimo niechęci najbliższych krewnych, sam nie chce ciągnąć korzyści ze swego królewskiego dostojeństwa, zostawia panowanie stryjowi swemu Agezylausowi. Ufny w jego prawość, idzie staczać walki z nieprzyjaciołmi, by oręż ojczysty okryć sławą i zapewnić spokój krajowi, doznaje upokorzeń i klęsk dlatego, że działa szczerze i prostodusznie, a ludzie przywykli już do fałszu i obłudy;— gdy zaś wraca do ojczyzny, opuszczają go najbliżsi przyjaciele, zdradzają ci, którym świadczył dobrodziejstwa; wtrącony do więzienia, oczekuje kary za to, że dobrze czynił lub czynić się starał. Tragika jego losu nie polega na winie, przezeń popełnionej, lecz na przeciwieństwie dążeń jego czysto duchowych z nastrojem spółczesnych mu działaczy, uwielbiających tylko siłę i powodzenie materyalne. Agis jest męczennikiem swego ducha; jego wzniosłość daje się odczuć z jego postępków, z jego zachowania się w okolicznościach stanowczych. Wspaniałym jest, gdy widząc, że skazanym będzie na śmierć, przedstawia się ludowi jako ofiara za jego grzechy i przepowiada mu przyszłość. — Drugą postacią, przedstawiającą bohaterstwo duchowe, to Chelonida, córka króla Leonidasa, będąca najczystszem poświęceniem. Idzie ona za tym, kto cierpi i jest prześladowany, nie rozumuje i nie roztrząsa swego postępowania; natchnienie wskazuje jej właściwą drogę; ona poddaje mu się bez szemrania, cicha i pokorna. Podobna jest do Lilli Wenedy, tylko że zaledwo jest naszkicowana. Gdy jej ojciec, strącony z tronu, idzie na wygnanie, ona śpieszy za nim, by mu śpiewać jaką piosenkę gminną i dzielić schronisko w jakiej krainie dzikiej, pełnej ciszy, cienia i smutku. Chociaż jej boleśnie, to przecież „wszędzie sercu spokojnie, bo spełnia święty obowiązek.“ Opuściła małżonka, co był

spółsprawcą wygnania Leonidasa, wszystkie trudy i biedy wygnańca podzieliła i osłodziła, a co więcej, lubo z bólem serdecznym, była „jak Hekuba, cała w psa przemieniona, i na męża wyła i sławę jego gryzła." A jeżeli ojciec przez litość wymienił jego nazwisko, to Chelonida „pamiątkę jego gryzła, jak pies, co gryzie kamienie pastucha — wściekły obróci i chwyta i zęby na nich połamie i zgrzyta." Ale gdy Leonidas wraca w końcu do Sparty i męża Chelonidy na śmierć skazuje, ona poprzysięga wszelki z tymże los podzielić, a jeśli trupem on, to nie może wyjść inną, jak trupem. Wygnanemu towarzyszy tak samo, jak poprzednio ojcu.

Inne fragmenty dramatyczne, jako to: „Zawisza Czarny", „Z dziejów Wielkiego Nowogrodu", „Scena w Malborgu", „Beniowski" mają te same cechy wewnętrzne w rozmaitych kombinacyach i zastosowaniach.

Na formę „Księdza Marka" i „Snu Srebrnego" wpłynęło przeważnie rozczytywanie się w Kalderonie, którego dramat p. t. „Książę niezłomny" przetłomaczył tak świetnie, że rzadkiem zdarzeniem w dziejach poezyi jest ten przekład, zdaniem znawców, wyższym od oryginału.

Najrozleglejszy poemat epiczny Słowackiego: „Król-Duch" (1847) pozostał niewykończonym, a raczej w drobnej jeno cząstce wykonanym. Pomysł do niego oparty był na teoryi wędrówki dusz, przemieniających kształty, w które się wcielają, pokutujących za grzechy, popełnione w czasie wcielenia, i dochodzących stopniowo poprzez męczarnie do trymfu nad złem, do najwyższej doskonałości. Historyę jednej z dusz takich, wcielającą się w kształty książąt, królów i bohaterów Polski, przedsięwziął nasz poeta opowiedzieć w „Królu-Duchu", lecz kilka zaledwie wcieleń przedstawił, jako to: Popiela, Piasta, Mieczysława, Bolesława Śmiałego. Ścisłej łączności idei, z powodu ułamkowego stanu, w jakim poemat posiada-

my, niepodobna wykazać, ani też wywnioskować zakończenia; niepodobna też twierdzić napewno, czy ostatnim kształtem Króla-Ducha miał być sam poeta, czy też nie. Popiel jest synem Rozy Wenedy i popiołów, pozostałych po bohaterach wenedyjskich, co spłonęli na stosie. Doznał on w dzieciństwie wszystkich niedoli i upokorzeń sieroctwa, powoli dostał się na dwór książąt, co ziemię Wenedów zagarnęli, a w końcu sam osiągnął nad nią władzę. Wtedy stał się okrutnikiem, łączącym w sobie znamiona największych tyranów, jakich świat wydał. Potem ukazuje nam poeta Piasta jako przedstawiciela duchów jasnych, wspieranych widomie przez niebo, a żonę jego Rze-Pychę, jako reprezentantkę duchów ciemnych, walczących zaciekle z duchami jasności. Słowacki nazwał Rze-Pychę „Prometeanką polską“, gdyż kradła ogień święty, przez aniołów na głowę Ziemowita zlany, i przenosiła go na głowę starszego swego syna, potwornego Wodana. Chcąc mu zapewnić panowanie, łączy się ona z Niemcami. Za te grzechy zsyła niebo na kraj skamienienie, co daje sposobność poecie do skreślenia szeregu przepięknych obrazów pełnych plastyki, przedstawiających ludzi i zwierzęta w rozmaitych pozach, w jakich skamienienie nastąpiło. Modlitwa Piasta wyzwala Polskę z tego zaklęcia; władza dostaje się Ziemowitowi. Dalsze fragmenty są zbyt ułamkowe, ażeby z nich można było jakiś ciąg myślowy wydobyć.

Fantazyę Słowackiego w dobie mesyanicznej zapełniały przeważnie wizye płomienne, przerażające, straszne, — mianowicie w dramatach. Dość tu przypomnieć owo „widmo po pas obnażone“, wychodzące z katowskiej chaty, a za niem oprawcy „niby dwa słońca czerwone, niby dwa czerwone duchy, zgięci jak żebracy na kulach i biją się po koszulach“, — albo Pafnucego z wyciętym na ciele pasem św. Franciszka, — albo Leona błąkającego się po cmentarzu z czaszką ludzką w ręku, duszącego Se-

menkę, — albo Gruszczyńskiego trzymanego pod pachy na dzidach i ostatni raz komenderującego... W „Królu-Duchu“ nie brak podobnych obrazów, lecz jest większe urozmaicenie; są i pogodne a jasne, lecz zawsze prawie z pewnem naprężeniem, z jakimś pędem wichrowym połączone. Nadzwyczajną prostotą, która czasami wydaje się wydwarzaną, pisana jest piękna „Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską.“

Mistyczne swoje poglądy w niejakim systematycznym ładzie wypowiedział Słowacki w trzech utworach, ogłoszonych dopiero po jego zgonie: „Genesis z ducha“, „List do J. N. Rembowskiego“, „Wykład Nauki.“ Znajdują się one razem zebrane w tomie „Pism pośmiertnych“ Słowackiego, wydanych we Lwowie i w Warszawie przez H. Biegeleisena r. 1884. Za najważniejszą poczytywał sam poeta „Genesis z ducha“, przedstawiającą przeobrażenie ziemi i wszystkiego, co na niej żyje, rusza się lub martwe spoczywa, według zasady, że wszystko przez ducha i dla ducha stworzonem jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje. Utwór ten napisany jest prozą poetyczną w formie modlitwy.

Życie zewnętrzne upływało poecie od r. 1842 bardzo jednostajnie. Rozmowy w kole towiańczyków, czytanie i pisanie wypełniały większą część czasu. Latem jeździł zwykle nad morze, do Pornic w Bretanii, dla wypoczynku i kąpieli. Młodzi poeci, z kraju przybywający, ze czcią ku niemu podążali. Najważniejszym wypadkiem z tej doby było zerwanie kilkuletniej przyjaźni z Zygmuntem Krasińskim, ale o tem później pomówię.

Rewolucya lutowa w Paryżu 1848 wywołała odgłos i w innych krajach. Wielu wychodźców naszych opuściło stolicę Francyi, zmierzając ku W. Ks. Poznańskiemu. Słowacki wyjechał tam również, celem rozwinięcia na gruncie wielkopolskim idei „konfederacyi“, rzuconej przez siebie na zebraniu Polaków 19 marca tegoż roku. W Poznaniu związał się

ze znanym filozofem, Karolem Libeltem. Rząd pruski, zrazu zalękniony rewolucyą w Berlinie, uporawszy się ze swoimi, zaczął ostrzej występować przeciwko Poznańczykom, a przedewszystkiem wydalił emigrantów. Słowacki pojechał do Wrocławia i tu po pięciu tygodniach gorączkowego niepokoju, doczekał się przyjazdu matki, z którą od lat blizko 20 się nie widział. Dni kilkanaście zaledwie mogli doznawać zobopólnej radości. Nastąpiła rozłąka na zawsze. Za powrotem do Paryża, zapadł w chorobę. Wątły ciągle, miewał teraz częste krwotoki, sił go pozbawiające. Przeczuwał zgon swój, napisał testament prawny, a dla ogółu „Testament“ poetyczny, w którym nakazał nieść przed narodem oświaty kaganiec, tę sprawę za rzecz najważniejszą poczytując; zapowiedział, że duch jego i po śmierci cielesnej działać będzie nieustannie na serca i umysły, dopóki zwykłych „zjadaczów chleba“ w aniołów nie przetworzy. Dnia 3 kwietnia, przed przyjęciem sakramentów, odebrał ostatni list od matki, który mu odczytał młody jego wielbiciel, Zygmunt Szczęsny Feliński, późniejszy arcybiskup warszawski. Poeta prosił go, ażeby za widzeniem się powiedział matce, iż syn czuł się szczęśliwym, odbierając jej pismo, jakby na pożegnanie, i że umierał z myślą o niej. A potem mówił jeszcze tonem uroczystym: „Wiara w nieśmiertelność ducha i w sprawiedliwość bożą pozwala spokojnie śmierć przyjąć... Dziś ja ufam w sprawiedliwość bożą. bo ją pojmuję. tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stosownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką dziś oddaję go w ręce mego Stwórcy...“ Zmarł nasz poeta 4 kwietnia o godzinie 4-ej zrana. Pogrzeb nastąpił 5, w 24 godzin po zgonie, według przepisów owczesnych. Skromny dwukonny karawan, w nielicznym orszaku żałobnym, zawiózł ciało najprzód do kościoła parafialnego (ś. Filipa du Roule), gdzie było od-

prawione nabożeństwo, a potem na cmentarz Montmartre. „Żadna mowa pożegnalna — powiada Feliński — żaden jęk głośny lub niewieście łkanie, nawet rodzinny nasz Anioł Pański nie ozwał się na tem wzgórzu cmentarnem, tylko grudki ziemi, ręką życzliwych sypane, głuche echo wywoływały z trumny, mieszajac się z ponurym śpiewem kapłana: *requiescat in pace!...*"

Słowacki jako poeta nie ma tego przywileju co geniusz Mickiewicza, nie jest dla wszystkich. Umysły zanadto rozsądkowe i „trzeźwe", niezdolne do wysokich wzlotów fantazyi, nie lubiące chwilowego nawet przebywania w „krainie ułudy"; serca zbyt proste, dalekie od wszelkiego wyrafinowania i wysubtelnienia uczuć; charaktery pochopne jedynie do cenienia czynów w zwykłem znaczeniu tego wyrazu, a nieufne względem wszystkiego, co „ideologią" nazywają,—nie znajdą prawdziwego, głębokiego i szczerego zadowolenia w większości utworów Słowackiego. Z takich to głównie ust wypłynęła jego charakterystyka, igrająca z nazwiskiem, jako „poety słowa", to jest poety odznaczającego się głównie i przedewszystkiem barwnością, giętkością i subtelnością wyrazu, nie zaś treścią i duchem. Dodano później, ze stanowiska artystycznego, że był największym „kolorystą" wśród naszych poetów... Lecz to nie dosyć. Słowacki jest poetą dusz delikatnych i wrażliwych jak płatki mimozy, dusz chwiejnych i nie osiągających prawie nigdy równowagi duchowej, a stąd skłonnych do krańcowości,—jest poetą serc czułych i tkliwych, a jednak rozmyślających nad swemi uczuciami, wyobraźni nieco chorobliwych, lecz żywych i błyskotnych, charakterów może zanadto sobą zajętych w zwykłym trybie życia dlatego, że w otoczeniu swojem nie widzą duchowego pokrewieństwa. Pewne tony uczuciowe on tylko jeden z wielkich poetów naszych umiał wydobyć z lutni i pod względem „nastroju" daleko jest bliższy czasom naszym, ani-

Matko Najukochańsza

Te kilka słów piszę — abyś [illegible] wiedziała że zdrów jestem i widziałem się z Panią Melanią z którą długo się rozmawiałem o Tobie — Względem [illegible] twego do mnie teraz nie powiem — Bądź cierpliwą — ufaj że cię kocham — Filowi za kilka [illegible] jego czułych dziękuję i równie to słowa jego serdeczne [illegible]. Niech się Pan Bóg z wami [illegible] [illegible] jestem — Wszystko się tu uspokoiło.

Pani Melania w kilku słowach [illegible] mogą Duszy widziała by teraz Najdroższa moja [illegible] w listach moich — [illegible] się nie prawdziwie o mnie [illegible] nie będziesz bo w jej oczach widziałem wyrozumienie i czucie. Całuję Cię serdecznie droga moja — i proszę byś wszystko z Duszą [illegible] nie była, abym nie myślał o twoim smutku

Twój Syn Jul

[illegible] 28 Lutego 1848 r.

List J. Słowackiego do matki z r. 1848.

Ze zbiorów Leopolda Meyeta

[illegible] na pocztę

żeli Mickiewicz;—stąd liczni jego naśladowcy w młodszem pokoleniu. Niektóre jego poemata są dzisiaj daleko silniej odczuwane, aniżeli dawniej („W Szwajcaryi“, „Król-Duch“). Impresyonistą był Słowacki po części zawsze, ale więcej ulegał wrażeniom wyczytanym w książkach, niż odebranym w życiu realnem; widać to zarówno z jego młodzieńczych tworów, gdy Byron, Chateaubriand, Dante, Aryost i inni byli jego ulubieńcami, jak i wówczas, gdy pod wpływem nauk mistycznych z jednej, a dramatów Kalderona z drugiej strony, zdawało mu się, że stenografuje natchnienia duchów. Fantazya lotna jak myśl, gibka, zwrotna i barwna jak koliber, bogata jak przyroda, choć lubująca się w powtarzaniu barw niektórych,—z sercem wrażliwem nadmiernie, z umysłem nie tyle głębokim, ile nadzwyczaj chwytliwym, to najważniejsze żywioły jego *genialnego* talentu.

XXIII.

Żaden z naszych wielkich poetów nie rozwinął się umysłowo tak szybko i nie zaczął tworzyć tak wcześnie jak ZYGMUNT KRASIŃSKI. Pomijając już bowiem podanie, iż sześcioletni wychowaniec baronowej de la Haye napisał dla niej powiastkę *La bonne fée Marie* („Dobra wróżka Marya“), dość będzie przypomnieć, że mając lat piętnaście utworzył spore opowiadanie: „Grób rodziny Reichstalów“, wydrukowane r. 1828 w „Gazecie Korespondenta Warszawskiego.“ Ani Mickiewicz, ani Słowacki nic jeszcze w tym wieku w świat nie puszczali.

Głównym czynnikiem tak rychłego rozkwitu zdolności twórczej był naturalnie sam przyrodzony talent Krasińskiego; niemałe wszakże posiadała w tej mierze znaczenie cieplarniana atmosfera wychowaw-

cza, pobudzająca umysł do wybujania nakształt kwiatów egzotycznych.

W arystokratycznym domu rodzicielskim, od niedawna zresztą używającym tytułu hrabiowskiego, nadanego przez Napoleona, miał chłopiec i młodzieniec wszelkie możliwe ułatwienia do nabycia wiedzy i zajmowania duszy pomysłami poetów, polityków i historyków. Urodzony 19 lutego 1812 roku w Paryżu z ojca Wincentego, znanego nam już z poprzedniego opowiadania, i z matki Maryi Radziwiłłównej, do siódmego roku życia pozostawał pod opieką baronowej de la Haye, następnie oddany został pod kierunek męski. Guwernerowie jego: Józef Korzeniowski, a potem Piotr Chlebowski należeli do rzędu osobistości wybitnych, w zawodzie pedagogicznym i literackim zamiłowanych. Na słynnych obiadach literackich, dawanych przez ojca, Zygmunt nie bywał wprawdzie z powodu zbyt młodego wieku, ale od starszych cokolwiek towarzyszy swoich chciwie chwytał odgłosy zaciętych sporów o klasycyzm i romantyzm. Ożywiony ruch umysłowy w Warszawie, następnie kolegowanie w liceum i w uniwersytecie z młodzieżą, zamiłowaną w poezyi i rwącą się do pióra, jak Konstanty Gaszyński, co prócz wierszy, pisał wtedy swą powieść historyczną: „Dwaj Sreniawici“, i Dominik Magnuszewski, który tworzył komedyjki dla sceny,—musiały potężnie oddziaływać na wrażliwą a ambitną duszę Zygmunta i zachęcać go do spróbowania sił swoich w twórczości oryginalnej.

Trzech szczególniej poetów przyczyniło się do rozpłomienienia wyobraźni młodzieńca: Mickiewicz ze swojskich, Byron i Walter Scott z obcych. W Mickiewiczu był on wtedy zakochany: wyjątki z jego poezyj tłomaczył na łacinę („Świtezianka“), podawał za motta wielu rozdziałów powieści swoich, a gdy w r. 1830 pisał po francusku w „Bibliothèque universelle de Genève“ o stanie literatury polskiej, wyrażał



Zygmunt Krasiński.

(Kopia ze sztychu będącego własnością Ordynacyi hr. Krasińskich).

swój zapał dla niego z uniesieniem. Byron pociągał go ku sobie demonicznością swoją i głębią namiętności. Walter Scott podobał się poetycznem odtwarzaniem przeszłości, a zwłaszcza zwyczajów i zapasów rycerskich.

Oprócz tych trzech poetów wszystko w literaturze, co wypowiadało jakieś głębokie lub nadzwyczajne uczucia czy stosunki; wszystko, w czem się tytaniczna przejawiała siła, czy też jej surogat,—działało zapalnie na umysł Krasińskiego, który już w swych młodzieńczych latach przyzwyczaił się gardzić powszedniością. Szalona romantyka niemiecka, posługująca się fantastycznemi, pełnemi grozy pomysłami, oraz początkowe powieści Wiktora Hugo, dyszące okropnością, były dla duszy tak nastrojonej karmią wielce pożądaną.

To też mordy, okrucieństwa, trupy i trupiarnie, podziemia tajemnicze, wybuchy zemsty, melancholii, rozpaczy, nienawiści, mizantropii kłębiły się tłumnie w wyobraźni studenta i domagały się wcielenia w postaci powieściowe. Zwykłe warunki życia, nawet prawa psychologiczne musiały oczywiście ustępować z pola, gdy na niem rozbujała fantazya harce swe wyprawiać zaczęła.

Nieznana mi jest powiastka, którą młody Zygmunt „w domowej drukarni na bibule wydrukował i ojcu w darze złożył;" ale w drugiej z kolei, we wspomnianym już „Grobie rodziny Reichstalów" spotykamy się z całym szeregiem sytuacyj, silnie targających nerwy.

Adalbert Reichstal, burzliwie przepędziwszy młodość, oddał się badaniom astrologicznym, pojechał do Arabii, ożenił się tam z ognistą Fatymą, osiadł potem w Czechach, w Eger (Chebie), urządził sobie obserwatoryum astronomiczne z teleskopem i zasłynął jako biegły w sztuce przepowiedni mistrz. Choć jednak wieszczył innym, nie zdołał zaradzić nieszczęściom domowym. Ukochana Fatyma zmarła mu mło-

do; zabalsamował jej ciało i umieścił je w podziemiach swego domu. Był to pierwszy trup. Niebawem złożono tam drugi. Wallenstein (rzecz dzieje się za czasów wojny trzydziestoletniej) prosił o rękę córki astrologa, Minny; ojciec, który wielką przyszłość wodzowi przepowiadał, chętnie prośbę tę przyjął, ale córka, czując wstręt do człowieka o dzikich popędach, w dzień ślubu otruła się. Zabalsamowana, spoczęła także w podziemiach. Brat jej, Alan, pomimo upomnień ojca, poprzysiągł zemstę Wallensteinowi; wyzwał go na pojedynek; raniony, ale nie śmiertelnie, zniknął i dopiero po latach kilkunastu zjawił się w obozie sławnego dowódcy jako Leslie, uratował mu życie pod Lützen, pozyskał zaufanie; lecz żywiąc uczucie nienawiści, czekał jeno sposobności, by je czynem okazać. Gdy powstał spisek na życie Wallensteina, Alan podjął się zabójstwa i dokonał go, poczem schronił się do podziemi domu ojcowskiego, gdzie już i stary astrolog spoczywał. Dopędził go wszelako wierny sługa Wallensteina, Walter, i w pojedynku zabił, zobowiązawszy się wprzódy zostawić Alana w podziemiu, zamknąć je na klucz i nikomu nie powiadać, że tam cała nieszczęśliwa rodzina razem zgromadzona odpoczywa... Odtąd tylko duchy ukazywały się tam o pewnej porze...

Napróżno w tej historyi Grobu Reichstalów szukać szczegółów, świadczących o obserwacyi ludzi z różnorodnemi usposobieniami lub też malowniczych obrazów z wojny pamiętnej. Piętnastoletni młodzieniec wystawia wszystkie charaktery jednakowo, jako porywcze, gorączkowe; analizą ich psychologiczną nie zajmuje się; krajobrazy go nie interesują, a wojnę kreśli tylko z jej strony ogólnikowej, szablonowo mówiąc o uczuciach rycerskich lub żądzy grabieży. Lubi wspaniałość i blask; zamek w Eger stoi według niego na „niebotycznej górze,“ bo mu go tak wyobraźnia, przeniknięta wielkością bohatera, wystawiać sobie kazała. Wszystko, co unosi fantazyę: tajemni-

ce, mordy, przepowiednie astrologiczne, znajduje u niego wiarę. Poczucie religijne i moralne jest bardzo chwiejne: Gustawa Adolfa zwie „bohaterem wolności," jak Niemiec-protestant; Alana wszędzie przedstawia ze strony sympatycznej, lubo zabicie Wallensteina zwie zbrodnią i to przez usta samegoż Alana. O nienawiści i pogardzie odzywa się dość często; uczuciami takiemi oddycha Wallenstein i Alan.

Niebawem po „Grobie," bo prawdopodobnie w r. 1828 napisał Zygmunt nową powieść historyczną, która w pierwszem wydaniu (1830, Warszawa) objęła trzy tomy. Napis jej: „Władysław Herman i dwór jego." Widna już w niej większa wprawa pisarska, lecz ogólny kierunek myśli i cechy twórcze nie uległy zmianie. Najsilniej uwydatniły się tu dwa pierwiastki: byrońska demoniczność i romantyczna rycerskość, najsłabiej—walterskotyczna historyczność. W niektórych ustępach podchwycił młody autor wybornie srogi a nawet i dziki charakter wieku, ale całość nie daje nam przybliżonego bodaj obrazu XI-go stulecia w naszym kraju.

Kiedy słaby Władysław Herman kreśli rozpaczliwe swe położenie, mówiąc, że niema zakątka w Polsce, gdzieby nie tworzyły się zacięte walki między synami spólnej ojczyzny, że powaga jego nie potrafi ukrócić namiętności poddanych i poskromić gniewów; kiedy w żołnierzach Zbigniewa widzimy „męstwo dzikie, najczęściej przechodzące w okrucieństwo," chęć grabieży, pożogi i mordów, a przytem ślepe przywiązanie do wodza, kiedy slyszymy, jak tłum, przypatrujący się męczeniu człowieka, który tem tylko zawinił, że był mniej mężnym od drugiego, jak ten tłum wyrzucał mu bojaźń i niewieście jęki; kiedy jeden z bohaterów, wdarłszy się na wały zamkowe i zabiwszy rycerza, zrzuca go do fosy i mówi do swoich: „macie na czem oprzeć drabinę:" — to zdaje nam się, że jesteśmy istotnie śród tych mas napół barbarzyńskich z końca XI wieku, których namiętno-

ści nawet w związkach rodzinnych nie znajdowały hamulca.

Natomiast, gdy się czyta o „sali tronowej,“ o „sali grobowej,“ o „niebotycznym“ zamku w Płocku, o „szpadzie,“ o zuchwałych „lennikach;“ gdy bohaterowie zaklinają się na św. Stanisława; gdy się dowiadujemy, że bohaterka, Hanna z Ciechanowa, czyta i pisze; gdy przysłuchujemy się rozmowom miłosnym w tonie sentymentalnym; gdy zawzięci nieprzyjaciele, ze względów kurtuazyi, na chwilę stają się serdecznymi druhami, jakby to było na dworze Ludwika XIV: — to czujemy, że grunt realny, nawodniony romantyzmem, usuwa się nam pod nogami.

Takie atoli szczegóły nie raziłyby może, gdyby całość kompozycyi wznosiła się na trwałych podwalinach... Ale właśnie walterskotyzacya uległa u Krasińskiego bezwzględnemu naciskowi bajronizmu. Byron nauczył Zygmunta lekceważyć koloryt miejsca i czasu, Byron go przekonał, że namiętności ludzkie nie tylko wszędzie i zawsze są jednakowe, ale też jednakowo się uzewnętrzniają; Byron natchnął go pomysłami gwałtownej, demonicznej natury... Zbigniew, bohater powieści, żeni się potajemnie z Hanną; a gdy powiernik jego Mestwin, niechętny temu małżeństwu, strącił do Wisły księdza, który ślub dawał, mówi tylko chłodno, że to zbrodnia niepotrzebna i zazdrości mu zimnej krwi i zimnego serca. Potem w pierwszą noc ślubną odbywa przed żoną spowiedź powszechną ze swego życia i wyjawia jej wszystkie swe występki, nazywając się bez ceremonii—zbrodniarzem... Intryga powieści polega na olbrzymiej i wyrafinowanej dumie Zbigniewa. Jednem słowem swojem, prostem wyznaniem, że Hannę *zaślubił*, mógł on uniknąć walki, mógłby się nie narażać na wyrzuty ojca, na przekleństwa znacznej liczby obywateli, na bezowocny rozlew krwi: — tego atoli słowa, tego jednego wyznania zrobić on nie chce, gdyż naprzód pragnie upokorzyć swoich przeciwników, pokazując im, że

on, choć odosobniony, nie uchyli czoła przed siłą przemagającą, a potem dopiero, odkrywszy istotne położenie rzeczy, dowieść, że nie było o co krwi przelewać... On lubi walkę, rozkoszuje się nią, znudzony monotonią powszedniości. „Jak tylko noc pokryje niebo — powiada do swego powiernika — z dobranymi wojownikami podejdź obóz, a niech wtenczas noc się w dzień zamieni. Nie chcę, byś im wszystkie spalił namioty; część tylko obejmij płomieniami. Ja zaś wyjdę na wieżę i *patrzeć będę na ten obraz*, bo jednostajność teraźniejszego życia nudzić mnie zaczyna."—Drugą, bardziej jeszcze demoniczną postacią jest właśnie ten powiernik Zbigniewa, Niemiec, Mestwin z Wilderthalu. W Zbigniewie znajdujemy kilka rysów szlachetnych, a przedewszystkiem wielką miłość dla Hanny; w Mestwinie dopiero przy końcu powieści odkrywamy uczucie niejakie dla syna, którego przy sobie w roli giermka trzymał i do wszelkich zbrodni zaprawiał; przez cały zaś ciąg utworu ukazuje się nam jako wcielenie mężnej i zuchwałej niegodziwości. Zabić człowieka znaczy dla niego tyle co zgnieść muchę; stawiać zasadzki, dopuszczać się zdrady — to u niego rzeczy zwykłe. Człowiek, jego zdaniem, to najpodlejsze ze zwierząt. „Patrz przez lat wiele na zbrodnie—naucza on swego syna—poznaj przebiegi ludzi, dowiedz się o ich obłudzie i skrytościach, a wzgardzisz podobnymi sobie i uważać ich będziesz za nędzny proch, przeznaczony twoim stopom; wtenczas krzyk boleści, jęk rozpaczy miłymi staną się dla ciebie. Wylanie krwi nienawistnej przyjemniejszem ci będzie niż odwilżenie ust spiekłych chłodnym napojem. Wyraz cierpienia na obliczu bliźniego napełni twą duszę rozkoszą, a klęski ludzkości twoim żywiołem, twojem życiem się staną." Mestwin jest, jak się zdaje, katolikiem wątpiącym a raczej niedowiarkiem. Do biskupa płockiego, który przychodził z różdżką pokoju, mówi ironicznie, że „kościołowi, matce naszej wspólnej, *wszyst-*

ko wolno," odzywa się z lekceważeniem o „waszym Bogu," a chcąc nakłonić Hannę, ażeby z nim uszła, mówi do niej słowami XVIII wieku: „Czyż zawsze związana przesądami, nie wzniesiesz umysłu nad ciemności wieku i nie wzgardzisz stosunkami towarzystwa i niewolą od nich narzuconą? Możesz zostać najszczęśliwszą na ziemi istotą; a dla kilku słów, przez człowieka równego tobie przy stosie kamieni, który zowiecie ołtarzem, wymówionych, uzbrajasz zabójczymi grotami rękę, którejby tak miłem było przyciskać cię do piersi... Hanno, obudź się ze snu, odpędź mary cnoty i powinności, oddal mylące cię złudzenia"... A gdy te słowa, jakby z ust którego nowożytnego demona wyjęte, nie odniosły skutku; gdy Hanna wytrwała „przy marach cnoty i powinności;" Mestwin wikła ją w piekielną intrygę, której wynikiem było otrucie jej i mniemanego jej kochanka, Mieczysława, syna Bolesława Śmiałego, rycerza błyszczącego wszystkiemi możliwemi zaletami.

Dwa otrucia, dwa obłąkania, kilka morderstw, rzezie w bitwach, rzeź w turnieju, pożoga: oto ponura strona tła powieściowego. Natomiast jasna odbija się w wierności giermków, w stosunkach rycerzy, w dworskości, okazywanej przez walczących, gdy im z woli króla oznajmiono, że w chęci pogodzenia ich wydaje on turniej. I tak pomiędzy dwiema rzeziami zaimprowizował Krasiński zabawę tę w naszym kraju, jakby w siedzibie średniowiecznego rycerstwa Zachodu. Zbigniew opuszcza swój „niebotyczny zamek," Mieczysław swój obóz, ażeby zostać sędziami turnieju... Że się zabawa skończyła krwawo, to już nie ich wina, lecz skutek mściwości Sieciecha. A do blasku jej niczego nie brakowało: ani dam pięknych a strojnych, ani nawet *grand fauconnier du roi* (wielkiego sokolniczego królewskiego).

Podrzędne postaci, jako to: eleganta i Don-Juana — Wolimira z Moskorzewa; tchórza i skąpca — Skarbimira; mężnego a rubasznego wojownika—Kry-

styna z Martoga; szlachetnego rycerza — Henryka z Kaniowa i t. d. zostały wprowadzone do powieści częścią dla rozweselenia pochmurnych lic, częścią dla przeciwstawienia jakiejś cnoty zbrodniom figur głównych. Z wyjątkiem Wolimira i Krystyna, inne nie udały się 16-letniemu autorowi; są bowiem albo nieprawdopodobne i karykaturalne (Skarbimir), albo konwencyonalne (Henryk). Sam król Władysław jest istotą słabą, ale nie bez godności, i w stanowczych chwilach umie energicznie przemówić przynajmniej. Jako prawdziwie zacny obywatel przedstawiony został Wszebor, blado zresztą namalowany. Sieciech w roli intryganta mało daje się poznać; częściej występuje jako mściwy gwałtownik. Prócz słabowitego Władysława i tchórza Skarbimira, wszyscy odznaczają się nieustraszonem męstwem i zdolni są walczyć jeden przeciw stu tak, że z całą słusznością mógł autor nazwać Polaków „najdzielniejszym narodem słowiańskiego plemienia." I w przedstawieniu dzielności tych rycerzy jest powieściopisarz stosunkowo najszczęśliwszym, gdy tymczasem sceny np. miłosne albo są niezdarne, albo przepełnione zwietrzałą już dzisiaj deklamacyjnością. Wszędzie widać dążenie do wywołania wrażeń silnych, potężnych, posługiwanie się grozą sytuacyj i słów. Siła ta i groza przemienia się zbyt często jeszcze w przesadę i napuszoność; nagromadzenie okropności sprawia nawet nieraz nieestetyczne wrażenie; ale bądźcobądź ten wysoki, choć gorączkowy lot nie jest bez uroku — zwłaszcza dla wyobraźni młodocianej.

Kiedy tak Krasiński zabawiał swoją wyobraźnię okropnościami wymyślonemi, zaszedł w rzeczywistości wypadek, mający wycisnąć znamię tragiczne na jego życiu, lubo nie odrazu. Ojciec jego, cieszący się dotychczas wielką popularnością, utracił ją przez swoje zachowanie się ultra-legalne w czasie „sądu sejmowego" z r. 1827 w sprawie przestępców politycznych; gdyż Wincenty hr. Krasiński — sam jeden

tylko dojrzał w ich postępowaniu zbrodnię stanu i za karą odpowiednią głosował [1]). To jego zachowanie się miało dalsze następstwa zarówno dla niego jak dla syna. W roku 1829 umarł prezes sądu sejmowego, Piotr Bieliński; cała Warszawa wyległa na jego pogrzeb; byli oczywiście i wszyscy studenci; tylko Zygmunt Krasiński, z rozkazu ojca, wysłuchał sam jeden odczytu Wincentego Bandtkiego. Koledzy znieważyli Krasińskiego. Ten chciał wyzwać na pojedynek jednego z głównych sprawców zniewagi, Leona Łubieńskiego; ale ojciec kazał wyjechać Krasińskiemu do Szwajcaryi, dodawszy mu guwernera w osobie Jakubowskiego. Że podwójne to złamanie własnego uczucia i własnego postanowienia odczuł 17-letni młodzieniec, łatwo sobie wyobrazić; ale że nie odczuł go narazie głęboko, dowodem są liche powiastki, których pisaniem zabawiał się w ciągu r. 1829 i 1830, drukując je zazwyczaj w założonym przez swego kolegę, *Konstantego Gaszyńskiego*, „Pamiętniku dla płci pięknej“ (r. 1830). Niema w nich śladu przejścia bolesnego, obracają się one jak i poprzednie, w sferze mordów, nienawiści, dzikości i mściwości.

I tak: „Zamek Wilczki“ to dzieje jednego z rodu Wilczków, starosty Henryka, męża cnotliwej Jadwigi, oraz znikczemniałego rycerza niemieckiego, Halberta von Glennaberg, nie znającego „ani czci ani wiary,“ pędzącego życie tajemnicze wśród morderstw, rabunków, opilstwa i zyskownej intrygi. Henryk, poszedłszy na wyprawę chocimską r. 1621, przepadł bez wieści. Po latach 15-tu przybywając do stron rodzinnych w szacie pielgrzymiej, dowiaduje się, że Jadwiga zmuszona została przez swego ojca, niedołęgę, opoja, którego opanował przebiegły Halbert, do oddania ręki niecierpianemu Wojnatowi. Wrąc uczu-

---

[1]) „Sąd sejmowy 1827—1829 Urzędowe akta, zebrane przez Tadeusza Bieczyńskiego“ 1873, str. 54, 67.

ciem zemsty, śpieszy do swego zamku, w drodze pojedynkuje się z owym łotrem-rycerzem, zabija go, ale i sam otrzymuje ciężką ranę; mimo to zjawia się na weselu Jadwigi z Wojnatem, a dawszy się poznać, umiera; na twarzy jego i po śmierci „malowała się nienawiść.“ Żona zamknęła się w klasztorze, Wojnat uciekł do Warszawy przed przyjacielem Henryka, Wiesławem, „który chciał w jego krwi szukać zemsty.“

„Teodoro, król borów“ — to charakterystyka wendety korsykańskiej: opiekowanie się wrogiem w domu, zemsta nieubłagana poza domem. Teodoro za to, że jeden żandarm francuski nie doręczył mu w czas wezwania do odbycia służby wojskowej i tym sposobem naraził go na hańbiące więzienie, zabił i tego żandarma i 72 innych po kolei, póki nie zginął wskutek zdrady przyjaciela.

„Gastołd“ — to legenda w tonie minorowo nastrojonej prozy poetycznej. Słyszymy tu o kokieteryi Heleny, o gwałtownej miłości Gastołda, świeżo nawróconego Żmujdzina, który na największe narażał się niebezpieczeństwa dla zyskania ręki zalotnej kobiety; w końcu gdy ta go wyśmiała, przerznął sztyletem twarz jej „od ucha do ucha,“ sam zaś poszedł szukać przygód rycerskich. Po latach 20-tu spotkali się oboje, a ponieważ Helena, doznawszy przez ten czas wielu nieszczęść, żałowała postępowania swego z Gastołdem, on zaś kochał ją ciągle, połączyli się więc węzłem małżeńskim.

Najjaskrawszą jest powiastka: „Mściwy karzeł i Masław książę mazowiecki“; lubowanie się w okropnościach dochodzi tu szczytowego punktu. Zygmunt pozazdrościł widocznie Francuzom strasznych podań i dorobił je do dziejów ojczystych, posługując się obcym materyałem. Dzieje się to niby po ucieczce Ryksy. Obrzydliwy karzeł, potwór, zostający na usługach okrutnicy, Joanny z Gozdawy, ma powierzone opiece swojej trupy całego szeregu pięknych dziew-

cząt, których krwią Joanna twarz sobie myła, chcąc mieć białą cerę i cudnością swą zachwycać licznych kochanków. Gdy jeden z nich, Masław, „najdzikszy z książąt“, już ją sobie uprzykrzył i gdy jedna z panien dworskich, Zbisława, miała być zabitą, kàrzeł odkrywa krwawą tajemnicę Jordanowi, co kochał Zbisławę. Jordan oskarża przed Masławem Joannę; książę wydaje na nią srogi wyrok; ale żąda Zbisławy dla siebie; rycerz stawia opór, idzie więc także na śmierć; a Masław, nasyciwszy się jękami umierających i pożogą zamku Joanny, odjeżdża, mając srogie drwiny na ustach.

Te potworne kombinacye gorączkowej, w krwi lubującej się wyobraźni były licho pod względem stylowym wyrażone; bo dopóki młody autor środków do wyrażenia uczuć gwałtownych i sytuacyj groźnych poszukiwał tylko w fantazyi, zasilanej nie doświadczeniem życiowem, ale wczytywaniem się w natchnienia cudze (np. „Han islandzki“ Wiktora Hugo), póty uzyskiwał jedynie pozory siły, nie zaś siłę istotną. Spotkanie się z Mickiewiczem w lecie r. 1830, wspólnie odbyta wycieczka, rozmowy z nim prowadzone przekonały go, „że szumność jest głupstwem, tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu; że prawda i prawda tylko może być piękną i ponętną w naszym wieku, że wszystkie ozdóbki, kwiatki stylu są niczem, kiedy myśli niema; że wszystko na tej myśli polega, i że chcąc być czemś teraz, trzeba uczyć się i uczyć i uczyć, i prawdy wszędzie szukać, nie dając się uludzić przez błyskotki, które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w maju, a potem gasną na wieki...“ Pewien, choć słaby ślad tego wpływu Mickiewicza widać w prostszym cokolwiek stylu „Ułomku z dawnego rękopismu słowiańskiego“, gdzie Krasiński rozwinął myśl, że dusze osób przywiązanych do siebie za życia, spotkają się po śmierci. Słaby, powiadam, ślad,

modlitwa przebudzi-
wszy się w nocy!

O tey godzinie przebudzaią
się duchy umarłych i cier-
piące żyiący - ci którzy
nieszczęśliwi, którzy wspo-
minaią przeszłość a niema-
ią przyszłości!
o Boże day pokóy
swóy tym wszystkim
którzy się męczą o tey
godzinie!

Oni niemogą zasnąć iako
Ja panie - lecz wako-
ło nich i pusto iak
w około mnie pa-
nie
Czarne widma iuż
duszę rozdzierają. To
co było staie na-
zad w ich oczach
i iest przed niemi -
a czują iednak że
samotnemi zostali.

Zyg. Kras.

Autograf Z. Krasińskiego. (Z „Myśli pobożne". Wydanie Biblioteki Ordynacyi hr. Zamoyskich.)

bo łatwiej jest rozumowo uznać potrzebę zmiany sposobu pisania, aniżeli ją w czyn zamienić.

Dopiero ponowne bolesne doświadczenia podziałały wzmacniająco na jego talent i przeprowadziły go z okresu dzieciństwa w wiek męzki.

W roku 1831 ojciec kazał Zygmuntowi Krasińskiemu pojechać ze Szwajcaryi do Włoch. Wówczas powstał krótki urywek p. t. „Wygnaniec", ujawniający po raz pierwszy u młodego twórcy rzeczywistą potęgę słowa, chociaż wciąż jeszcze z wybitnem retorycznem zabarwieniem. Ponieważ miał „duszę za ognistą" na swe „nędzne ciało", więc cierpienia moralne „rozstroiły zupełnie jego organizm." Od samego niemal początku roku 1832 czytamy w jego listach do przyjaciół bolesne wyznania: „nawpół ślepy jestem, ledwo widzę litery; oczy piekielnie mię bolą, mózg mój spiekły oddawna; męczę się złożony niemocą oczów i gorączką; życie mi jest festynem, do którego zasiadłem z cierniową koroną miasto kwiecia na głowie, z puharem goryczy przed sobą miasto czary nektaru; codzień gorzej i głębiej brnę w tę gorączkę i rozpacz, słabym na ciele i na umyśle; wieczna nuda i wieczny ogień mnie pożerają; krew puszczałem, bo mi tak biła do mózgu, że kazała lękać się apopleksyi..."

W chwilach wolnych od cierpień fizycznych pisał Krasiński dużo, a wszystko napiętnowane było „gorączką i rozpaczą." Co się stało z „Zawiszą", „Adamem Szaleńcem", „Przeorem", przesiąkniętemi uczuciem „nienawiści", jak je sam autor określał, nie wiemy; znana jest nam tylko „Maryna Carowa", wydrukowana r. 1834 p. t. „Agaj-Han." Opierając się na wzmiance w książce Niemcewicza („Dzieje panowania Zygmunta III"), odmalował tu Zygmunt historyą Maryny Mniszchówny od czasu zabicia Dymitra II (żyda) aż do śmierci jej pod lodami rzeki Jaiku. W bohaterce wystawił niezłomną do zgonu

dumę oraz odwagę, która na chwilę tylko zachwiać się może, lecz niebawem wraca znowu do swej stanowczości. Żądza panowania owładnęła całą jej duszą i wszelkie przytłumiła uczucia, prócz miłości macierzyńskiej, co nieśmiało kiedyniekiedy przejawić się usiłuje. Awanturnicę tę chciał uidealizować Krasiński, wyższą ją przedstawiając nad wszelkie zawody i nieszczęścia; chciał ją także uczynić sympatyczną przez miłość do synka, lecz zdołał tego dokonać raz jedynie: przy śmierci i pogrzebie tego synka w odludnej jaskini. Obok Maryny staje kozak Igor Zaruski, mężny i obrotny, uczucia litości nie pozbawiony, który dla Mniszchówny zdobywa Astrachań i otacza ją przepychem, dopóki los wojny od niego się nie odwrócił. Agaj-Han wreszcie, ulubione „dziecię wyobraźni“ Krasińskiego, syn jakiegoś zwyciężonego księcia tatarskiego, napół dziecię, napół mąż dojrzały, to czuły i poetyczny, to zwierzęco namiętny i okrutny, gwałtownemi zmianami swej duszy, niezwykłością swego zachowania się przemawia do imaginacyi Maryny, ale zniewolić jej dla siebie w zupełności nie może. Pożerany namiętnością, napróżno oddaje przeróżne usługi kobiecie ambitnej; ona je przyjmuje jako sobie z prawa należne; napróżno działa na jej wyobraźnię pieśniami i blaskiem, ona się tem bawi jedynie; napróżno grozi jej śmiercią, ona ją przenosi nad jego uściski. Rozszalały, obłąkany topi Marynę i sam na krze lodu pędzi ku zgubie.

Zarówno w odmalowaniu stanów duszy Agaj-Hana, jak dwu innych głównych osób powieści więcej użył Krasiński rysów, aniżeli w dawniejszych utworach, nie tyle jednakże, iżby te osoby w pełni plastyki przed nami stanęły; zaledwie pojedyńcze chwile z pewną prawdą i głębią zostały przezeń pochwycone. Krajobrazy malował teraz często, ale malował je z imaginacyi jeno, lubując się w ogólnikowych określeniach lub też jaskrawych barwach, częstokroć z prawdą natury niezgodnych. O wykończe-

nie stylowe zabiegał usilnie, czasami w tok rytmiczny wpadając, a zawsze sadząc się na niezwykłe i wyszukane wyrażenia („śnieg bojaźni zwarzył róże na licach Maryny“ i t. p.), posługując się przenośniami i uroczystym tonem „prozy poetyckiej.“ Obrazów krwawych, dzikich, srogich nie unikał, lecz już nie tak pochopnie szafował niemi jak poprzednio; prawie zawsze są one przynajmniej do pewnego stopnia usprawiedliwione. Jednem słowem, w tym większym utworze nie pozbył się wprawdzie szychowych błyskotek, nie potrafił osięgnąć zamierzonego wrażenia, lecz, bądźcobądź, okazał zmężnienie talentu i w sposobie pojmowania ludzi i w stosowniejszem niż dawniej użyciu motywów tragicznych, które miały się stać jedną z głównych cech jego dojrzałej twórczości.

XXIV.

Stanowczy atoli przełom w usposobieniu Krasińskiego nastąpił dopiero w drugiej połowie roku 1832, kiedy wezwany przez ojca wrócił do kraju, a potem pojechał do Petersburga. Rozmyślania i rozmowy z ojcem ochłodziły jego gorączkowe usposobienie, stłumiły żal, że nie brał udziału w wypadkach r. 1831, poddały jego entuzyazm oddziaływaniu zimnej refleksyi, zmniejszyły w jego oczach ludzi i rzeczy, któremi się dawniej zachwycał, zwróciły jego wyobraźnię ku przedmiotom i kwestyom ogólnoludzkiej natury, gdyż poezya według ówczesnego jego poglądu „tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni; ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje...“

Przestał tedy pisać powiastki o tragicznych losach jednostek, a zwrócił się do tematów ogólnych.

Ówczesne stosunki europejskie, a mianowicie wzrost znaczenia demokracyi mieszczańskiej, która zwłaszcza we Francyi za Ludwika Filipa święciła swe tryumfy, oraz doktryny socyalistów (Saint-Simon i jego zwolennicy) skierowały umysł jego ku zagadnieniom politycznym. Jaki będzie wynik walki wydanej ideałom przeszłości przez wielką rewolucyę francuską; ku jakiej przyszłości zdąża ludzkość? — oto zagadnienie, które silnie zajmując duszę 21-letniego młodzieńca, skłoniło go do napisania w r. 1833: „Nieboskiej komedyi" (drukowanej po raz pierwszy w r. 1835). Według wyznania autora, miała to być „obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości"; ale natchnienie poetyckie uniosło Krasińskiego na szersze pole i kazało mu być nie rzecznikiem jednej strony, ale filozofem ogarniającym całość objawów społeczno-politycznych. Ma poeta i z urodzenia i z przekonań swoich sympatyą dla arystokracyi, ale to mu nie przeszkadza widzieć w niej zarodków śmierci niechybnej. Ta arystokracya, która niby to występuje w obronie ołtarza, czci przodków, chwały ojczyzny, nie wierzy już w nic, lekceważy wszystko prócz dobrobytu, gotowa wchodzić w układy z nowym porządkiem rzeczy, byleby ocalić majątki swoje i módz się rozkoszy oddawać, nie posiada nawet tego przymiotu, co pierwotnie nadał jej znaczenie, nie posiada męstwa i poczucia godności osobistej.

Jej wodzem jest najlepszy wśród niej, bo dzielny do ostatniej chwili, lecz i on ma w charakterze swoim znamiona rozkładu. Hrabia Henryk jest poetą-marzycielem, poszukujacym wciąż nowych wrażeń, lubującym się w dramatyzowaniu swego życia, pozującym nawet przed sobą samym. Kieruje nim nie charakter, lecz chwilowe wrażenie. Śmierć ponieść gotów, bo go nic do życia nie przywiązuje, lecz do pracy wytrwałej zupełnie nie ma uzdolnie-

nia. Wodzem garstki niedobitków być może, ale uorganizować społeczeństwa i rządzić nie potrafi.

Młodo, mając lat 23 ożenił się nierozważnie z kobietą dobrą, szlachetną, kochającą go ze wszystkich sił swoich, ale płytką, powierzchowną, zajętą drobnostkami życia powszedniego, niezdolną do zrozumienia polotów poetyckich męża, a tem mniej do podążania za nim. Bardzo rychło sprzykrzyła się Henrykowi ta istota z mdłą miłością swoją i z umysłem biernym; już ją kocha tylko z obowiązku, a niebawem i to poczucie obowiązku w tym wiotkim charakterze rozpływa się w nicość, gdy go mary wyobraźni i żądza pociągają ku dziewicy, wysłanej przez piekło, by poetę odciągnąć od ogniska domowego i porobić w nim spustoszenia, niczem naprawić się nie dające. Henryk przekonywa się wkrótce, że w onej dziewicy pokochał jeno próchno i zgniliznę, wraca do domu, żony nie zastaje, bo ją odwieziono do zakładu obłąkanych. Pragnęła ona dorównać mężowi w polocie poetyckim; słaby jej duch nie wytrzymał naprężenia. Żal zapóźny obejmuje Henryka; żona umiera na jego ręku, miłością swoją szczęśliwa. Syn jego, Orcio, pobłogosławiony przez obłąkaną matkę namiętnem pragnieniem, żeby został poetą, jest dziecięciem nerwowem, słabowitem, zagrożonem ślepotą, przebywającem wyłącznie w duszy własnej, bo świat zewnętrzny coraz bardziej znika dla niego. Ma on poetyczne usposobienie; pacierza nie może powtórzyć dosłownie, lecz go rozszerza i upiększa własnemi dodatkami; nawiedzają go częste wizye. Zwołane konsylium określiło po grecku jego chorobę oczu i odjęło ojcu wszelką nadzieję, żeby ona uleczoną być mogła. To symbol fizycznego zwyrodnienia arystokracyi.

Nie mniej dobitnie przedstawia Krasiński jej zwyrodnienie moralno-polityczne. Oto demokraci pod wodzą Pankracego odbywają swój pochód zwycięski. Potężnym jest ten wódz — przynajmniej dla tłumów:

„Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny; każde słowo rozeznasz, zrozumiesz; — ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni;—czoło wysokie, przestronne; włosa jednego na czászce niemasz, wszystkie wypadły strącone myślami; skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy kości i muskuły; — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje, nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach; oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy; chwili jednej zwątpienia, pomieszania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wytęży ponad nimi, schylają głowy, zda się, że wnet uklękną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu—nie serca—precz z sercem, z przesądami, a niech żyje słowo pociechy i mordu!“

Książęta, hrabiowie, baronowie w szczupłej już liczbie zamykają się w symbolicznych „Okopach ś. Trójcy“ (które zresztą i realnie istnieją na ziemiach Rzeczypospolitej), by stawić opór „motłochowi“. Na dowódcę powołują hr. Henryka. On zna tych książąt, hrabiów i baronów; wie, że niema w nich ani wiary, ani godności, ani męstwa; dowództwo atoli przyjmuje, bo nieszczęśliwy w swych stosunkach rodzinnych, pragnie sławy i panowania. Jest to druga pokusa (po miłości nierządnej), wysłana przez szatanów na zgubę duszy Henryka; usymbolizował ją poeta w postaci „starego orła wypchanego w piekle“, co miał roztoczyć „skrzydła wielkie, białe od słońca, nad głową poety.“ Mieć kilka dni upojenia rządami, pozyskać sławę z dzielności, a potem zginąć — oto całe marzenie hr. Henryka.

Rycerskość jego i dzielność, a przytem urok poetyczny, jaki w młodości roztaczał, budzą w Pankracym pewne spółczucie dla niego; chciałby go ocalić, jego jednego z całej rzeszy arystokratów; pozwolić mu używać tytułu hrabiowskiego i władać majątkami; żąda więc rozmowy z nim osobistej. Henryk zgadza się, ale wprzód zwiedza potajemnie obóz Pan-

kracego i przypatruje się rozpasanej orgii wśród tłumów, które dorwawszy się wolności, dyszą mordem, żądzą zemsty, pragnieniem rozkoszy. Obóz ten odmalowany w jaskrawo ujemnych barwach. Żadnego w nim głosu dodatniego nie słyszymy. Jest to część utworu, mająca cechę pamfletu politycznego [1]. Nawet entuzyasta wolności, Leonard, wydaje tylko ryki lubieżne i głosi ewangelią wyniszczenia: „Świat nowy ogłaszam, Bogu nowemu oddaję niebiosa. Panie swo body i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemięzcy twoim niech będzie ołtarzem; w oceanie krwi utoną stare łzy i cierpienia rodu ludzkiego; życiem jego odtąd—szczęście; prawem jego — równość, a kto inne tworzy, temu stryczek i przekleństwo."

Rozmowa pomiędzy Henrykiem a Pankracym, podziwiana przez Mickiewicza, nie stoi mojem zdaniem na wysokości sytuacyi. Zbyt długo w niej ciągną się przymówki osobiste lub ogólniki, a zbyt mało jest argumentów rzeczowych. Pankracy zdobywa się tylko na wytknięcie występków i zbrodni, popełnianych przez rody arystokratyczne, czemu Henryk zaprzeczyć nie może, więc też uwydatnia jeno zasługi kościoła i szlachty w rozwoju cywilizacyi, mówiąc: „Ani ty, ani żaden z twoich-by nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale. A kiedyście z trzody zwierząt wyrośli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły;—podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy." Pankracy nie ma na to odpowiedzi, jakgdyby nie mógł odeprzeć, że owe szpitale, świątynie i szkoły w znacznej

---

[1]) Czy nienawiść Hoene Wrońskiego do socyalistów nie wpływała także na zabarwienie tych obrazów, dotychczas nie wykazano.

części powstały z pracy rąk tej „trzody zwierząt“ i tych „niemowląt.“

Zresztą przechwałki hr. Henryka ukazują się we właściwem świetle później, kiedy się już walka z wojskiem Pankracego rozpoczęła. Nie tylko tu książęta, hrabiowie i baronowie przedstawiają się równie żądnymi życia i rozkoszy, jak motłoch; nie tylko myślą o poddaniu się, byle zachować mienie; nie tylko podnoszą bunt przeciwko hr. Henrykowi za to, że ten o układach myśleć nawet nie chciał; nie tylko nazywają Pankracego wielkim człowiekiem, wyrazicielem ducha wieku; lecz nadto sam hr. Henryk surowo został osądzony przez duchy niewidzialne; a pośrednikiem w dojściu tego sądu do jego wiadomości, staje się własny syn jego, Orcio.

W podziemia Okopów św. Trójcy Orcio sprowadza hr. Henryka, by posłyszał „straszny sąd, co noc się powtarzający“, a wyrażony słowami: „Za męki nasze, my niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwani, trucizną pojeni, przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy i sądźmy i potępiajmy, — a kary szatan się podejmie... Na tobie się kończy ród przeklęty; w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje i wszystkie namiętności swe i całą dumę swoją, by skonać... Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki.“ Potępienie to słyszy hr. Henryk i z ust najwierniejszego sługi swego Jakóba, który z ran umierając, woła do niego: „Niech ci czart odpłaci w piekle upór twój i męki moje—tak mi Panie Boże dopomóż.“ Przekleństwa te pełnią się widomie na hr. Henryku. Po śmierci syna, widząc niepodobieństwo dalszej obrony Okopów, patrząc na nikczemne usposobienie resztek arystokracyi, rzuca się z wieży w przepaść i ginie, wołając: „Poezyo, bądź mi przeklęta, jak sam będę na wieki.“

Co prawda, poezya tak bardzo nie zawiniła; bo gdyby z innym, tęższym złączyła się charakterem,

nie byłoby takiej rozpaczliwej katastrofy. Nie, nie poezya winna, tylko strupieszałość tego towarzystwa, z którego hr. Henryk wyszedł i w którem się wychował i żył. On, jako najlepszy reprezentant swego otoczenia, ginie w rozpaczy, postradawszy i szczęście domowe i wiarę w trwałość budowy społecznej, której był obrońcą. Nie kierowały jego postępkami wielkie idee, lecz samolubne jeno pobudki, więc też sprawa przezeń broniona nie mogła odnieść zwycięstwa.

Ale nie mogła go mieć również demokracya; mianowicie demokracya taka, jaką autor w „Nieboskiej komedyi“ przedstawił; dążąca do materyalnego jedynie używania na gruzach starego gmachu. Pokonała ona przeciwniczkę, bo ta była najprzód zgangrenowaną, a powtóre słabszą liczebnie;—lecz nie ma w sobie sił do dalszego rozwoju. Jej wódz, Pankracy, stoi smutnie zadumany na wieży Okopów św. Trójcy; radości na widok poległych lub skazanych na śmierć nie doznaje; a gdy jego zapalony wielbiciel, Leonard, pyta go o przyczynę, odpowiada mu złamany: „Patrz na te obszary, na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją; trza zaludnić te puszcze, przedrążyć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży;—inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest.“ A mówiąc to, czuje Pankracy, że do tej pracy dodatniej, twórczej, sił mu już nie starczy. Łamał wrogów, niszczył i burzył, bo rozporządzał potęgą fizyczną, lecz nie ufał sobie, czy potrafi budować, gdyż potęgi moralnej nie posiadał i nią się w czynnościach swoich nie posługiwał. Wyższy umysłem nad swoich zwolenników, postrzega w chwili, gdy doszedł kresu w waleniu zmurszałego gmachu, że cięży nad nim i przytłacza go do ziemi niewidzialna dla nikogo, prócz dla niego samego, duchowa potęga, wyrażona symbolicznie w po-

staci zwycięskiego Chrystusa, jakim ma się ukazać struchlałym narodom przy końcu świata. Prześliczna jest scena końcowa, gdy Pankracy przerażony tym widokiem, spowiada się ze swoich wrażeń i uczuć przed Leonardem, który napróżno oczyma zmysłowemi szuka tego, co tylko w duchu się mieści. Widziadło przedstawia się Pankracemu „jako słup śnieżnej jasności, stojący ponad przepaściami, oburącz wspart na krzyżu, jak na szabli mściciel; ze splecionych piorunów korona cierniowa — od błyskawicy tego wzroku chyba umrze, kto żyw.” Patrząc w tę promienną a groźną postać, Pankracy blednie i pragnie ciemności; „połóż mi dłonie na oczach — mówi do Leonarda—zadław mi pięściami źrenice, oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch“. Ale napróżno Leonard zakrywa mu oczy rękami. „Nędzne ręce twe—powiada mu Pankracy—jak u ducha, bez kości i mięsa, przejrzyste jak woda, przejrzyste jak szkło, przejrzyste jak powietrze — widzę wciąż!“ I kona wołając, jak według podania miał zawołać przy śmierci wróg chrześcijaństwa w IV wieku, cesarz Julian, zwany Odstępcą: „Galilejczyku, zwyciężyłeś!“. Wykrzyk ten znaczy bezwątpienia: nie bratobójcza walka o dobra materyalne, lecz miłość jedynie, głoszona przez Chrystusa, zdoła doprowadzić ludzkość do prawdziwej wolności i prawdziwego szczęścia.

Piękne to i głębokie zakończenie, ani słowa; trzeba jednak wyznać, że pojawia się ono niespodzianie, bez należytego psychologicznego i artystycznego przygotowania. W ciągu poematu niema wyraźnych śladów ziemskiego lub nadziemskiego czynnika, któryby reprezentował myśl autora, wyrażoną przy rozwiązaniu dramatu; głosy potępiające Henryka za to, że nic nie kochał prócz siebie i myśli swoich, nie mogą być uważane za równoznaczne z ukazaniem się Chrystusa duchowemu wzrokowi Pankracego; piętnują one wprawdzie samolubstwo hrabiego Henryka

i jemu podobnych; lecz nie posiadają tego organicznego znaczenia, co nakaz miłości powszechnej. Zapewne, dla myśli abstrakcyjnej mogą one wystarczyć, pobudzając cały szereg skojarzeń, lecz z artystycznego stanowiska, jako odnoszące się do jednej osoby, w pewnym określonym stanie duszy będącej, są zbyt słabem przygotowaniem do zakończenia.

Wogóle można zauważyć, że harmonijnej całości „Nieboska komedya" nie tworzy; niektóre bowiem podrzędne szczegóły (choroba Orcia) są za szeroko traktowane, gdy o wiele ważniejsze (rozmowa hr. Henryka z Filozofem) zbyte ogólnikowo. Posługiwał się Krasiński metodą szkicowania i umiał za jej pomocą osiągnąć niejednokrotnie daleko większe efekty, aniżeli ktoś inny przez szczegółowe roztoczenie sytuacyj; mianowicie sceny między mężem a żoną, sceny w domu obłąkanych, sceny w Okopach św. Trójcy tyle nasuwają myśli, tak podniecają wyobraźnię, że snuć ona może wątek niemal nieskończony. Był tu Krasiński tak *suggestyjnym* pisarzem, jak nikt u nas przed nim. Ale sposób ten ma i swoje braki: niezawsze pozwala zbadać myśl autora do gruntu, a szychowe błyskotki prozy poetyckiej mącą czasem wrażenie piękna.

Pod względem formy jest to poemat fantastyczny w kształtach dramatycznych, na cztery części podzielonej, z których każda rozpoczyna się liryczno-opisowym wstępem. Na obranie tej formy prawdopodobnie wpłynął mało znany utwór Teofila Ferrière'a ogłoszony w r. 1830 p. t. „Il vivere", gdzie dyalogowane ustępy są przeplatane opowiadaniami ciągłemi tak samo jak w „Nieboskiej komedyi" [1]). Połączenie świata realnego z nadziemskim, oraz symbolizowanie ogólnych idei w jednostkach żywych prze-

---

[1]) Tadeusz Pini: „Studyum nad genezą Irydyona" Lwów, 1899, str. 40.

iął Krasiński z takich dramatów fantastycznych, jak „Faust" i „Manfred". Sceny, malujące obóz Pankracego, wzorowane są na opowiadaniach o klubach jakobińskich wielkiej rewolucyi francuskiej r. 1793.

Pomimo znaczne braki pod względem artystycznym, „Nieboska komedya" była w naszej literaturze zjawiskiem niepospolitem, jako utwór 21-letniego młodzieńca; wykazywała głębokie zastanawianie się nad wielkiemi sprawami świata i umiejętność posługiwania się szerokimi rysami. Niepodobna wszakże nie zauważyć, że pewność siebie w wygłaszaniu prawd czy paradoksów, była raczej młodzieńczą pozą, aniżeli wynikiem niezachwianego przekonania. Zarówno z listów jak i z dzieł późniejszych nietrudno się przeświadczyć, że poglądy Krasińskiego nie były bynajmniej tak ustalone, jakby to wydawać się mogło z tonu „Nieboskiej komedyi" i że niejednokrotnej miały jeszcze uledz modyfikacyi.

Nikt temu dziwić się nie może, kto będzie miał na pamięci, że 21-letni młodzieniec mało jeszcze żył i doświadczał i że zagadnienia społeczno-polityczne, religijne i filozoficzne należą do najbardziej złożonych. Wciąż trzeba sobie przypominać te trafne słowa Krasińskiego: „Tytan starożytności jednej góry, złożonej z warstw gliny, z popiołu bez myśli, z lawy i ognia bez duszy, zrzucić nie potrafił; gdzież się człowiekowi jednemu spodziewać, że zepchnie z ponad siebie nawał tylu myśli, cisnących go na dół, ogrom pełny życia i przekleństwa?"...

XXV.

Krasiński mieszkał przeważnie za granicą, z powodu słabego zdrowia, już to w miejscowościach kuracyjnych, już w stolicach ruchu europejskiego. Zimę roku 1833/34 przepędził w Rzymie; pamiętna to zima,

bo w niej poznał kobietę, która na bieg jego życia wpłynęła silnie. Była to Marya Joanna Bobrowa, znana już nam z biografii Słowackiego. Uczucie Krasińskiego przebiegło zwykłe fazy: zachwytu, pożądania, nasycenia i niesmaku; zaczął od uwielbień, skończył na przezwaniu kochanki furyą. Zanim jednak do tego doszło, w miłości tej znajdował nieraz pobudkę do kształtowania swych myśli i tworzenia [1]).

On, który idealistycznie na zadanie sztuki się zapatrywał, chwilowo był obrońcą materyi i poezyi „materyalnej.“ „By dobrze pisać — mówił wówczas w r. 1834 — trzeba żyć wprzódy. Ja zarzucam na pewny czas pisanie, biorę się do życia; wychylę kilka puharów wesela, kilka puharów boleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potem siądę i napiszę—i to będzie dobrem.“ Z tem postanowieniem łączyła się bezpośrednio i zmiana przekonań; Krasiński bowiem dodawał: „Materya nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd; my przez wieczność całą będziemy w materyalnych ciałach; niema ducha bez materyi, jak niema myśli bez słowa, jak niema ciała bez formy. Są rozkosze i jest poezya materyalna. Tę należy harmonijnie pomieszać z poezyą ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy go pozna i pokłon mu odda.“ Owocem tego przychylnego oceniania materyi i zwrotu do rzeczywistości namacalnej była powieść wzięta z życia, która dotychczas pozostaje w rękopiśmie, ale o której mamy następną wiadomość od samego autora: „Napisałem w tych dniach powieść à la Balzac; wchodzi do niej romans mężatki z oficerem polskim w Londynie, po wzięciu Warszawy; wchodzi i Grzymała monstrum i Lelewel etc. Zda mi się, że udało mi się.“

---

[1]) Dla p. Bobrowej prawdopodobnie ułożył zbiór modlitw, które drukiem wyszły dopiero w r. 1899 w Warszawie, p. t. „Myśli pobożne Zyg. Krasińskiego.“

To jednak pochlebne dla materyi usposobienie długo nie trwało. Bóle fizyczne, cierpienia oczu, zmartwienia moralne, wywołane rozgłoszeniem się jego stosunku z panią Bobrową nie pozwalały mu spoglądać na rzeczywistość nie już z miłością, ale choćby jedynie bez wstrętu. To też rychło poeta, uolbrzymiający w wyobraźni nieszczęścia własne („wewnątrz siebie ciągle żyję, wewnątrz rozdzieram sam siebie“), lubujący się w dramatyzowaniu swego życia, powrócił do dawniejszego stanowiska w pojęciach, śledził i przedstawiał prawdę idealną, nie zaś prawdę faktyczną, pisał o zagadnieniach wszechświatowych, a nie o „łachmanie czasu i przestrzeni“, chociaż naturalnie ów zwrot chwilowy do rzeczywistości oddziałał częściowo na sposób tworzenia.

Drugi z kolei wielki jego utwór w formie dramatu fantastycznego, pisany w r. 1835 a wydany w 1836, „Irydion“, choć osnuty jest na zasadzie całkiem „idealnej“, ma w sobie cechy rozległych studyów nad zwyczajami i obyczajami Rzymian w ogóle, a w szczególności w wieku III-cim ery naszej. Wielkie dzieło historyka angielskiego Gibbona o Upadku cesarstwa rzymskiego, pisarze łacińscy o cesarzach III stulecia mówiący, „Męczennicy“ Chateaubrianda, „Edda“ skandynawska, a wreszcie wspomniany już utwór Teofila Ferrière'a, poświęcony specyalnie Heliogabalowi; oto główniejsze źródła, z któtych poeta nasz zaczerpnął dużo szczegółów do tła epoki, obranej za widownię zamiarów i czynów syna Amfilochowego.

Uczucie zemsty osobistej Krasiński niejednokrotnie próbował malować w swoich powiastkach; pomysł odtworzenia uczucia zemsty w imieniu całego narodu na tle starorzymskiem powziął podczas pobytu w Petersburgu, prawdopodobnie pod wpływem rozmyślań nad „Konradem Wallenrodem“ Mickiewicza. Opowiedział go ojcu, a gdy ten go pochwalił, Krasiński napisał połowę utworu, lecz za przyjazdem do

IRYDION.

Et cuncta terrarum subacta. —
LUCANUS.

. . . . . . Aestuat ingens.
Uno in corde pudor mixtoque insania luctu,
Et Furiis agitatus amor et conscia virtus.
AENEIDOS. Lib. X.



PARYŻ.
W DRUKARNI I KSIĘGARNI A. JEŁOWICKIEGO I SPÓŁKI.
Przy ulicy Marais Saint-Germain, nº 17, bis.

1836.

Warszawy, spalił, co napisał, uważał to bowiem za rzecz „nędzną". Pomysł wszakże spokoju mu nie dał przez rok cały, nabierając wciąż „szerzy i mocy". Przybywszy do Rzymu w r. 1833, zobaczył, jak powiada, swego „Irydiona, chodzącego po forum." Już go nie tworzył, obserwował tylko. Jaka była treść i dążność spalonego utworu, nie wiemy oczywiście; w opracowaniu późniejszem, znanem nam z druku, widzimy przedstawione usiłowanie zniszczenia Rzymu, już to przy pomocy samych Rzymian, już to za pośrednictwem barbarzyńców germańskich, usiłowanie, które częścią z materyalnych, częścią z moralnych powodów nie dało się urzeczywistnić.

Usiłowanie to podjął Irydyon, syn Greka Amfilocha i Germanki Grymhildy. Takie pochodzenie bohatera ma swą symboliczną doniosłość. Jako syn Grecyi, podbitej i upokorzonej przez Rzymian, ma Irydyon naturalne powody do nienawidzenia wrogów swej ojczyzny, ma szlachetną pobudkę działania w celu jej wyjarzmienia; jako syn Germanii, której siedziby Rzymianie coraz dalej na zachód usuwali, ma za sobą pomoc tych hord młodych i silnych, co w przyszłości miały istotnie zburzyć panowanie rzymskie. Amfiloch, żeniąc się z kapłanką Odyna, liczył oczywiście na tę pomoc tak samo jak na spółdziałanie wszystkich klas, nad któremi zaciężyła przemoc cesarzów rzymskich. Sam nie próbował zemsty nad gnębicielami tylu narodów, lecz robił wszelkie przygotowania, by ją synowi ułatwić. Przy swojej śmierci, kazał Irydyonowi zaprzysiądz tę zemstę, a za opiekuna i doradcę dał mu Masynissę, postać tajemniczą, odwiecznego starca pustyń, a jak się okazuje następnie, szatana, pragnącego najszlachetniejsze nawet uczucia zbrudzić i zepsuć, nadając im przewrotny kierunek.

Tu już trzeba zauważyć, że postać ta pod względem artystycznym nie udała się poecie. Jeżeli

to miał być tylko symbol złej strony uczuć i popędów ludzkich, to niepotrzebnie w niektórych miejscach otoczony został melodramatycznymi efektami piekła (końcowa scena części II-ej); jeżeli zaś miał to być rzeczywiście szatan, to zbyt długo kazał poeta czekać czytelnikowi na objawienie się jego istotnego charakteru, przedstawiając go aż do końca części II-ej raczej jako chłodnego, doświadczonego i w środkach nieprzebierającego starca pustyń, zaciętego wroga Rzymian. Układ wreszcie o duszę między nim a Irydyonem przy samym kresie poematu jest wielce spóźniony. Potrzebny był on autorowi dla przeprowadzenia idei i znajduje pewne zastosowanie w „Dokończeniu“ utworu; ale się przedstawia jako dodatek sztuczny, przyczepiony tylko do całości, nie zrośnięty z nią organicznie.

Bądźcobądź, Irydyon, pomimo trawiącego smutku i chwil okropnego znużenia, dotrzymując przysięgi, wybrał do wykonania zemsty chwilę, jak się zdawało, najodpowiedniejszą. Na tronie rzymskim zasiadł zniewieściały i znudzony chłopiec-rozpustnik, Heliogabal, okrutnik i tchórz, myślący o urozmaiceniu sobie najwyszukańszych zabaw, nie zaś o rządach państwa. Jego zaufanie pozyskał Irydyon za pośrednictwem siostry swojej Elsynoi, dziewicy rozumnej i dzielnej, która drażniąc zmysłowość rozpustnika a nie zaspakajając jej, potrafiła weń wmówić, że otoczony jest wrogami i że jedynym człowiekiem, co zdoła go od nich obronić, to brat jej mężny i śmiały. Istotnie Heliogabal, lubo z niechęcią, dozwala zdjąć sobie z palca pierścień, na którym tajemniczy „geniusz państwa“ wyryty i którego posiadanie ma Irydyonowi zapewnić posłuszeństwo straży cesarskiej (pretoryanów). Co prawda, w rzeczywistości niewiele ten pierścień pomaga i osiągnięcie go jest zamałą nagrodą za poświęcenie niewieściej sławy Elsynoi; ale gdyby nie ten pomysł, nie mielibyśmy prześlicznej tej postaci i scen przez nią

spowodowanych. Daleko znaczniejszą usługę oddają niewolnicy i gladyatorowie, pozyskani przez Irydyona jego łaskawością i szczodrobliwością. Pomiędzy tymi ludźmi, zepchniętymi na dno społeczne, znajdują się potomkowie dawniejszych rodów patrycyuszowskich, zubożałych i zgnębionych przez rządy cesarskie. I hordy germańskie pod wodzą Alboina oraz innych, wierni pamięci kapłanki swojej, Grymhildy, przyrzekają swą pomoc jej synowi.

Najwięcej atoli liczył Irydyon na chrześcijan, prześladowanych, chroniących się po katakumbach dla sprawowania swych obrządków. Obudzić w nich pragnienie czynnego przyłożenia ręki do zwycięstwa krzyża—oto zadanie, któremu się oddał najgorliwiej. Przyjął chrzest i za radą Masynissy postanowił wpływać na chrześcijan za pośrednictwem kobiety. Wybrał piękną patrycyuszkę, uważaną za świętą i prorokinię, Kornelię Metellę, opanował jej duszę i zmysły, a korzystając z wiary wtedy rozpowszechnionej, iż ma się niebawem pojawić Chrystus w chwale, dla zapewnienia tryumfu swym wyznawcom, potrafi wmówić w jej napółobłąkany umysł, że on jest właśnie tym Chrystusem. Gdy Kornelia Metella zaczęła głosić wieść tę wśród wiernych, gdy przytem i między nimi znalazły się niecierpliwe, gorące duchy, prowadzone przez Symeona z Koryntu, zdawało się Irydyonowi, że pozyska hufiec niezłomny, gotowy na wszystko.

Nadzieje zawodzą bohatera. Chrześcijan powstrzymał biskup Wiktor przypomnieniem słów Chrystusa, że królerstwo jego nie jest z tego świata; Kornelia Metella, wyleczona z obłąkania za pomocą egzorcyzmu, umiera. Niewolnicy, gladyatorowie i część straży cesarskiej stanęli wprawdzie przy Irydyonie; ale wśród samej rodziny cesarskiej i wśród obywateli rzymskich znalazły się jeszcze żywioły, mogące na czas jakiś zapewnić państwu trwałość.

Żywioły te uosobił poeta w dwu głównie po-

staciach: w Aleksandrze Sewerze i w Ulpianie. Aleksander Sewerus, siostrzeniec Heliogabala, chowany przez matkę swoją, Mammeę, w czci dla Chrystusa, potrafił sobie zapewnić spokojne zachowanie się chrześcijan w czasie walki, a ponieważ był dzielny i do życia obozowego przywykły, pozyskał sobie żołnierzy, podniósł rokosz przeciw Heliogabalowi, zmusił senat do obwołania tegoż za pozbawionego tronu, i wystąpił do walki z Irydyonem. Uosabia on tę „cnotę“ rzymską *(virtus)*, co była jednoznaczna z męstwem; wyobraża on czynnik, co stworzył i utrzymywał państwo rzymskie. Lubo zniewieściałość ogarnęła już w III wieku naszej ery przeważną część obywateli rzymskich, istnieli jednak jeszcze między nimi tacy, co gotowi byli urzeczywistnić dawną zasadę, że słodko jest umierać za ojczyznę.

Drugi żywioł, nadający spójność temu zlepkowi plemion i narodów, jakim było cesarstwo rzymskie, to idea prawa, tak silnie wyrobiona, że przetrwała realne istnienie państwa i wywarła wpływ na późniejsze prawodawstwo wśród narodów chrześcijańskich. Ideę tę uosabia prawnik uczony, doradca Aleksandra Sewera, Ulpian. Występuje on przeciw Irydyonowi w imię wielkości i świętości idei państwa, przeznaczonego przez fatum na władcę świata.

Jest w poemacie świetna rozmowa między Irydyonem a Ulpianem, o dodatnich i ujemnych stronach idei państwa rzymskiego, rozmowa odpowiadająca podobnemu spotkaniu się Pankracego z Henrykiem w „Nieboskiej Komedyi.“ Jak tam Pankracy pragnął ocalić hr. Henryka, tak tu Aleksander Sewerus pragnie ocalić Irydyona, którego uważał za przyjaciela, a wielbił za męstwo, rozum i szlachetność. Przez Ulpiana więc przesyła mu wyrazy przebaczenia pod warunkiem, że odstąpi buntowników a sam uda się na swą rodzinną wyspę Chiarę. Irydyon odrzuca naturalnie przebaczenie, a wobec Ulpiana wypomina szereg krzywd wyrządzonych narodom

podbitym przez Rzym, szereg przewrotnych działań polityki dla obałamucenia i znieprawienia jednostek i ludów. Ulpian nie pozostaje mu w odpowiedzi dłużnym, roztaczając dowody wyższości Rzymian nad inne ludy, uwydatniając dzieła rozumu politycznego i potężnego charakteru. A na to Irydyon: „Nigdy Hellada takim nie spodliła się rozumem. Jej życie nie było rachubą, jej nadzieje nie spoczęły na kłamstwach; syn Latony (t. j. Apollo, opiekun nauk i sztuk pięknych) zamieszkał w niej i opromienił ją dokoła. Na piersiach Zeusa, w cieniu puklerza Pallady leżało jej czoło, upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne stóp jej były zakochanem podnóżem! Zemsta, zemsta za nią!“ Irydyon przemawia tu jako obrońca wolności i piękna, Ulpian jako zwolennik silnego rządu i prawa; obu nie brak argumentów, wyrażonych silnie i nieraz bardzo oryginalnie. Jest to jeden z najznakomitszych ustępów nie tylko tego poematu, ale i wszystkich utworów Krasińskiego.

Do porozumienia przyjść oczywiście nie mogło. Jak hr. Henryk nic nie chciał mieć spólnego z Pankracym, tak też Irydyon w żadne układy z Aleksandrem Sewerem nie wchodzi. Wynik walki orężnej nie mógł być wątpliwy. Hufce Irydyona malały i odstępowały go, a on sam, zrozpaczony, szukał śmierci. Z pola bitwy uniósł go Masynissa i za cenę duszy obiecał uśpić go na długie wieki a obudzić wtenczas dopiero, „kiedy na forum będą prochy tylko; kiedy na cyrku będą kości tylko; kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko!“

Na tem się zamyka właściwy poemat. W „Dokończeniu“ jest niby urzeczywistnienie obietnicy Masynissy; po wielu wiekach budzi on Irydyona i wskazuje spustoszenia, przez Rzym doznane. Chwilowo ucieszył się tym widokiem „syn zemsty“, ale radość jego rychło przeminęła, a do duszy wśliznęło się tęskne wspomnienie „twarzy dziewiczej“—Kornelii Me-

telli—i „jakiś smutek nad tym krzyżem“, którym dawniej pogardzał, bo go napróżno chciał „zaostrzyć w żelezca.“ I zdało mu się, że walki z krzyżem już nie chce; zdało mu się, że krzyż ten tak samo „znużony“ jak on; „opłakany jak losy Hellady niegdyś i—że on święty nazawsze.“

I tu podobnie jak w „Nieboskiej Komedyi“ krzyż, symbol miłości i poświęcenia, zwycięża. Irydyon nie dlatego tylko uległ w walce z Rzymem, że miał przeciwko sobie męstwo i prawo, lecz i dlatego, że używał środków złych, przewrotnych, niechrześcijańskich. Potępionym jednak on być nie może, duszy jego Masynissa nie zabierze, bo Irydyon kochał Grecyę, bo za niego modliła się Kornelia Metella. Wróci więc znowu do życia i z rozkazu Chrystusa pójdzie do „ziemi mogił i krzyżów“ i tam wyszlachetnieje; cele dobre będzie się starał osiągać tylko dobrymi środkami, dbając nie o chwałę swoją, ale o dobro nowych swych braci. Po długiem męczeństwie ma sobie obiecane szczęście i wolność. „Idź i czyń—mówi do niego głos z nieba—choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać; czyń ciągle i bez wytchnienia; a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, jako wprzódy było, ale z pracy wieków i staniesz się wolnym synem niebios.“

I „Irydion“, jakkolwiek staranniej opracowany od „Nieboskiej Komedyi“, nie jest harmonijnie wykończonem dziełem sztuki. Pomijając już tę okoliczność, że Grek, w imię ojczyzny występujący przeciwko Rzymowi, prócz siostry i niewolników nie ma innych sprzymierzeńców wśród spółrodaków-pogan,—niepodobna poczytywać za dobre, iż z pomiędzy zabiegów o pozyskanie spólników najszerzej zostały przedstawione te, które albo częściowo albo całkowicie zawodzą, gdy inne, pomyślniejsze, zaledwie są zaznaczone. Powtóre, są tu ustępy wykonane słabo,

jak np. scena między Irydyonem a Aleksandrem Sewerem, gdy się walka rozpocząć miała; sam zresztą charakter Aleksandra zanadto ogólnikowo został odmalowany i nawet jako symbol nie może w zupełności zadowolić czytelnika. Jednostajność wreszcie stylu uroczystego, jakim wszyscy przemawiają, pięknego retorycznie, ale nie poetycznie, nie dopomaga do żywego uprzytomnienia sobie wszystkich szczegółów; zacierają się one łatwo w pamięci, tak, że pozostaje w niej tylko myśl zasadnicza i postaci główne [1]. Ale i „Irydyon“ podobnie jak „Nieboska komedya“ otwierając szerokie widnokręgi, działa suggestyjnie i czaruje *myśl* naszą; stanowi też ważny pomnik naszej twórczości poetyckiej swoją stroną refleksyjną.

XXVI.

Od r. 1836 przez lat cztery nic Krasiński nie ogłaszał; były to chwile przykrych jego przejść z powodu stosunku do Bobrowej, rozerwanego przez ojca, który chcąc syna ożenić, wymógł od tej pani zerwanie. Na ten czas przypada, jak się zdaje, nakreślenie prozą poetycką dwu obrazków, zaczerpniętych już to z własnych wrażeń, już to z wieści głośnych w kraju, ale przyobleczonych w kształty tajemnicze, przeniesionych w jakieś nieokreślone chronologicznie wieki. Są to: „Pokusa“ i „Noc letnia“, drukowane po raz pierwszy w r. 1841. „Pokusa“ jest poetycką przestrogą dla młodych, by błyskotkami zaszczytów i odznaczeń nie dali się zwieść z drogi obowiązku; dążność jej jest ta sama, co piosnki Mickiewicza p. t. „Czyn.“—„Noc letnia“ opowiada o poślubieniu

---

[1] Z. S(traszewicz): „Irydion, próba krytyki" w „Niwie“ warszawskiej 1893, N. 4 i 5.

dziewicy człowiekowi nienawistnego ludu dla przechowania arystokratycznego nazwiska, gdyż oblubieniec przyrzekł je przybrać do swojego. Dziewica uległa łzom ojca, lecz po przysiędze, złożonej u ołtarza, chętnie ginie z ręki tego, którego dawno kochała, a który i sobie także śmierć zadaje. Mętne tu uczucia i myśli; wykonanie przeciążone sztukateryjnemi ozdobami, ale niektóre szczegóły są ślicznie obrobione.

Poprzednio, bo w r. 1840 wyszły „Trzy myśli, pozostałe po ś. p. Henryku Ligęzie"; są one jednak późniejszego niż „Pokusa" i „Noc letnia" pochodzenia, jako wynik rozmyślań filozoficznych, którym się Krasiński dopiero od r. 1838, najprzód pod wpływem zapalonego heglisty, Edwarda Jaroszyńskiego, a potem z zachęty Augusta Cieszkowskiego oddawać zaczął gorliwie. Nie przejął on od Hegla wszystkich idei jego, które zresztą i Cieszkowski zbijał, lecz jego metoda wielce mu się podobała, zwłaszcza, że powierzchownie przynajmniej zgadzała się z nauką chrześcijańską. Mam tu na myśli głównie upatrywanie wszędzie troistości, począwszy od Trójcy ś. aż do pojęć najpospolitszych. Na tej dyalektycznej podstawie oparł Krasiński swoje króciutkie rozprawki: „O Trójcy i Słowie wcielonem", „O żywocie wiecznym"; na tej podstawie osnuwał pomysły swoich poematów. W „Trzech myślach" Heglowska teorya świadomości w rozwoju rodu ludzkiego znalazła swoje uzewnętrznienie, dalekie jednak od artystycznego wcielenia. I tak w „Synu Cieniów" — pierwszym utworze wierszowanym, jaki Krasiński drukiem ogłosił — widzimy, jak ludzkość w starożytności aż do przyjścia Chrystusa na świat, powoli, stopniowo oddzielała się od natury, jak następnie Chrystus przyniósł z sobą zupełne uświadomienie bożo-człowieczeństwa, jak wreszcie ludzkość idąc za tym wzorem, ma kiedyś w przyszłości osiągnąć jego doskonałość i zostać przy końcu tem w czynie, czem

na początku była w zamiarze. Panteistyczne pojęcie duszy, jako nie stworzonej przez Boga, lecz wprost z niego wypływającej, mieści się w wyrazach: „Bo w *każdej* jeden Ty jesteś, o Panie! I w *każdej* wołasz: ja—a oprócz Ciebie nigdzie nic niema i nic nie powstanie!“ — W „Śnie Cezary“ w pięknych, choć mglistych obrazach rozwinął Krasiński myśl, że naród, co doszedł do samowiedzy, nigdy zaginąć nie może. — W „Legendzie“ wreszcie z myśli Schellinga o kolejnem następstwie kościoła św. Piotra (wiary bez rozbioru), ś. Pawła (rozbioru zastosowanego do wiary) i ś. Jana (miłości), przejął pierwsze i trzecie ogniwo w ten sposób je wiążac, że obrazowo przedstawił walenie się kościoła ś. Piotra w Rzymie w wilię Bożego Narodzenia, i ukazanie się ś. Jana [1]), zapowiadającego, że „odtąd Chrystus (idea miłości) ani się rodzi, ani umiera na ziemi.“ Przy zawalonym gruzami papieżu zginęła wierna mu do ostatka szlachta polska. To jej zachowanie się pochwalił poeta w sposób zagadkowy, mówiąc: „Nie trwóż się o nich. Za to, że wyrządzili mu (t. j. papieżowi) ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im, bo zachodzący tak jak wschodzący, umarli tak jak żywi są z Pana—owszem, im lepiej będzie i synom sy-

---

[1]) W liście do Delfiny Potockiej z 20 grudnia 1839 r. czytamy ustęp, będący jakby zarodkiem pomysłu do *Legendy*. „Dziwne miejsce czytałem w Ewangelii wczoraj. Chrystus po Zmartwywstaniu objawia się gdzieś apostołom ryby łowiącym i każe ś. Janowi iść za sobą. Ś. Piotr temu nie rad, pyta się: Czemu ten człowiek idzie za Tobą, Panie? A Pan odpowiada: On pójdzie teraz za mną i ze mną zostanie na wieki —Więc po zmartwychwstaniu już nie Piotra, ale Jana bierze. Piotr zaś to Kościół rzymski, to kościół praktyczny, wojujący, urządzający; a Jan, który zaczyna Ewangelię od *Logos* — to znaczy epokę myśli i najwyższej miłości. To mnie mocno uderzyło“ („Nieznane dotąd listy Zyg. Krasińskiego do Delfiny Potockiej, zebrał i objaśnił Raymund Stanisław Kamiński" w „Tygodniku ilustrowanym" 1899 N. 14.).

nów ich.“ Zagadkową nazywam tę pochwałę, gdyż ze stanowiska panteistycznego można wprawdzie zrozumieć jednakową ważność wszystkich faz kolejnych, jakie idea w rozwoju swoim przebywa („umarli tak jak żywi są z Pana“); ale niepodobna pojąć, czemu specyalnie dla szlachty, pozostającej przy fazie ubiegłej, ma być lepiej, niż dla tych, co w nową wstąpili. Że zaś sam Krasiński tę fazę nową, Kościół ś. Jana, uważał za wyższą od poprzedniej, to niedwuznacznie wynika z jego słów wyrzeczonych z powodu oceny „Trzech myśli“ w jednem z czasopism; mówi bowiem: „twierdzi np. krytyk, że *Sen* wyższy nad *Legendę*. Czemu? Bo w *Legendzie* zadraśniony mur, który według nich stoi na opoce.“ *Według nich* nic innego oznaczać nie może tylko katolików ścisłych.

„Trzy myśli“ poprzedził Krasiński przedmową, pisaną zupełnie odmiennym stylem, stylem nie bardzo ukształconego a wielce praktycznego szlachcica, co zapędziwszy się pod wpływem żony literatki aż na Sycylię, dostał niby rękopism pozostały po Ligenzie, młodo zmarłym Polaku. Ogłasza te pisma, bo umarłemu, co wyraził przed śmiercią życzenie ich wydrukowania, nie można nic „wyperswadować,“ ale przyznaje się otwarcie, że czytając je, mało co zrozumiał; zdaniem jego są to „dziwaczne szusy umierającego na suchoty — smalone duby“... Niewątpliwie poeta dobrze tu scharakteryzował ogół owoczesnych czytelników, a jeżeli pism Krasińskiego nie nazywano głośno „smalonemi dubami;“ to nawet wykształceni (jak np. Klementyna Hoffmanowa) wyznawali, że ich nie pojmują.

Dopiero „Przedświt,“ drukowany r. 1843, stał się popularnym dzięki pięknej formie i sympatycznej myśli przewodniej. Idea mesyaniczna doszła tu swego szczytu.

Poczucie szczęścia osobistego ułatwiło Krasińskiemu przeniesienie się w stan błogości ogólnej. Pi-

sząc swój poemat, zakochany był (od r. 1838) w Delfinie z Komarów Potockiej, opuszczonej przez męża brutala, wykwintnie wykształconej a „przepsutej“ w arystokratycznych salonach paryskich. Poczytywał ją za swoją Beatryczę, bardziej chrześcijańską niżeli Beatrycza Dantego, gdyż nie zasiadła w niebie, lecz została na ziemi, by podzielać bóle i łzy swego „brata.“ Temu stosunkowi poświęcił on w poemacie osobne ustępy, piękne jako poezya, i świadczące o niezmiernie silnem przywiązaniu do Definy, tak samo jak i listy spółcześnie do niej pisane. Widzenie przyszłości podał jako spólne dzieło swoje i Beatryczy; i zapewnił, że już „całe wyśpiewali serce, że rozstać się mu ze słowem potrzeba, a zdążać do czynów,“ bo słowo jest tylko „marną połową arcydzieł życia;“ modlitwa, godna Stwórcy, wszczyna się od hymnu: „lecz nie zna myśli i czynów rozdziału, co głosem śpiewa, to wciela pomału w kształt dotykalny, aż tak jak Duch Boży świat rzeczywisty wokół siebie stworzy, równy pięknością światom Ideału“... Stąd okrzyk: „Zgińcie me pieśni—wstańcie, czyny moje!...“

Jakimże okropnym zgrzytem w zestawieniu z temi słowy warknie rzeczywistość, spółczesna drukowaniu „Przedświtu.“ Kochając się w Delfinie i marząc wzniośle, popełniał wprost nieuczciwość słabego charakteru, gdy, na życzenie swego ojca, starał się o milionową pannę, Elżbietę Branicką, i brał z nią ślub w Dreźnie (w lipcu 1843). Sam on rozumiał zgniliznę moralną takiego postępowania, określiwszy czas konkurów swoich nazwą „wszeteczno-piekielnej zimy w Romie;“ ale się od nich nie cofnął, a co gorsza, „fałszywe położenie,“ w jakie sam wszedł, na które ciągle sarkał, utrzymywał przez całe trzy lata, przechodząc od Elżbiety do Delfiny. Możnaby nawet powiedzieć, że doznawał pewnego cierpkiego zadowolenia, jak wirtuoz pokonywający największe trudności dla wykazania swego talentu; chciał być widocznie wirtuozem życia, utrzymując równowagę pomiędzy żo-

ną a kochanką, jak jego Henryk w „Nieboskiej“ układał dramat w głowie, sam siebie oszukując, że się poświęca dla „idei,“ choć tylko ulegał woli ojca i zawierał małżeństwo dla wzmożenia domu milionowym posagiem. Z boleścią wielką przyszło mi napisanie tych myśli, ale — prawdy szczerej niewolno przesłaniać urokiem imienia. Poeta genialny, mocarz w dziedzinie myśli, okazał się wielce słabym charakterem w zawikłaniach życiowych i w czynach społecznych. Bo i to już tutaj należy powiedzieć, że ten, co marzył szczytnie o wyzwoleniu i ubłogosławieniu całej ludzkości, nic nie zrobił dla wyzwolenia swych włościan; nie pomyślał nawet, jak inni obywatele (np. Andrzej Zamojski, Aleksander Wielopolski) o ich oczynszowaniu. Może to uważał za rzecz drobną, czując się powołanym do wielkich, ale te rzeczy wielkie nigdy dla niego nie nadeszły. Przewrotów społecznych lękał się jak piekła; wobec myśli o nich stawał się zaciętym szlachcicem; to też gdy propaganda demokratyczna w zamiarze wyzwolenia włościan coraz silniej zaczęła nastawać na szlachtę, i gdy jego, jako wieszczącego wielkie zmiany, i powołującego do „czynów,“ próbowała dla tej sprawy pozyskać, ogłosił on r. 1845 „Psalmy przyszłości“ (psalm wiary, nadziei, miłości), gdzie energicznie stanął w obronie zasług szlachty dla cywilizacyi polskiej, potępił wszelką rewolucyę, jako objaw zwierzęcości, cielesności, uznał lud za śpiącego olbrzyma, którego obudzić i poprowadzić do celów wielkich zdoła tylko szlachta, („jeden tylko jeden cud, z szlachtą polską polski lud“), ostrzegał przed rozbudzaniem nienawiści chłopów do panów, obawiając się, by nie powtórzyły się sceny hajdamackie z r. 1768.

Na ten poemat odpowiedział przecudnym wierszem „Do autora trzech Psalmów“ Juliusz Słowacki. Przeczył on przedewszystkiem temu, jakoby rewolucya wogóle była dziełem ciała, a nie ducha; wszelkie bowiem zmiany, jakie w społeczeństwie zaprowa-

dzone być mają, musimy najprzód sformułować w myśli, w duchu swoim, zanim je urzeczywistniać zaczniemy. Nie przeczył on zasług dawnej szlachty, ale wśród współczesnej sobie nie widział nikogo, coby naprawdę mógł się stać przewodnikiem narodu. Oskarżał Krasińskiego o tchórzostwo, że się zląkł ruchu ludowego, twierdził ironicznie, że chyba „jakieś sny czerwone“ karmazynem firanek owionięte, przestraszyły go i wywołały okrzyk zgrozy. Nie w szlachcie, co się haseł szlachetnych wyparła, lecz w ludzie jest przyszłość. Prześliczną modlitwą i zapewnieniem, że hufiec młodych nie dozwoli wstecznikom urągania nad ruchem ludowym kończy Słowacki swoją odpowiedź, której drukiem wprawdzie wówczas nie ogłosił, ale która w odpisie dostała się Krasińskiemu.

Rzeź galicyjska. r 1846 zdawała się stwierdzać złowróżbne przeczucia autora „Psalmu miłości:“ chociaż wiedział, że inne na ten fakt bolesny wpłynęły czynniki, zatryumfował i zwycięstwo swoje wyraził w „Psalmie żalu,“ gdzie występując przeciwko Słowackiemu, nie okazał się szlachetnym. Słowacki zarzucił mu tchórzostwo i wstecznictwo—był to niewątpliwie cios bolesny dla miłości własnej i dla umysłu, ogarniającego rozległe widnokręgi przyszłości; ale Krasiński dotknął o wiele boleśniej swego przeciwnika, odmawiając mu wprost miłości kraju a wmawiając najniesprawiedliwiej w tym razie tylko miłość własną, próżność, chęć popisania się błyskotliwem słowem. Do psalmu żalu dołączył Krasiński „Psalm dobrej woli,“ w którym stwierdziwszy, że Bóg obdarzył nasz naród wszystkiem, co dać mógł, błaga za pośrednictwem Najświętszej Panny o dobrą wolę.

Znaczenie wszystkich pięciu „Psalmów przyszłości“ jest raczej publicystyczne niż poetyczne. Są to artykuły społeczno-polityczne, wyrażone wierszem, czasami energicznym i dzielnym, częściej chropawym, przepełnionym nieszczęśliwie ukutemi wyrazami i wyrażeniami. Kto chce naocznie się przekonać, jak wiel-

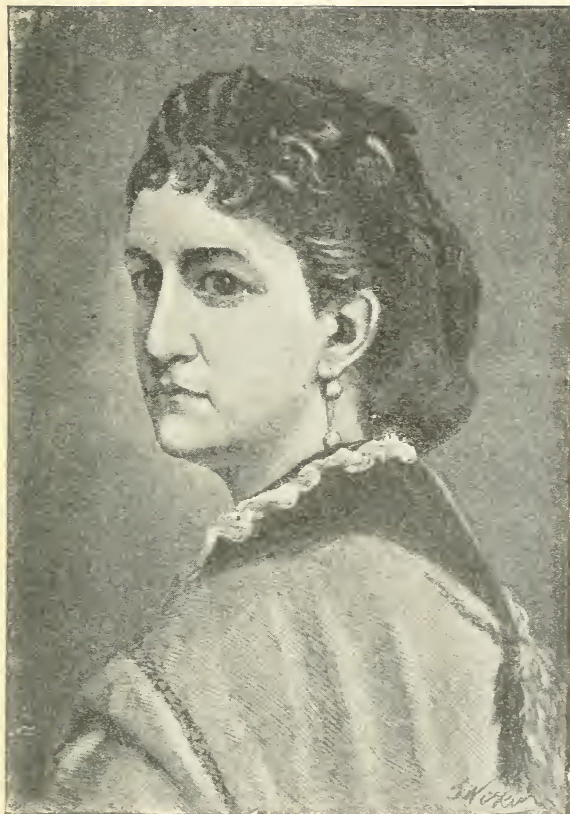
ka jest różnica pomiędzy prawdziwą poezyą a retoryką, niech porówna opis ukazania się Matki Boskiej i modlitwę do Boga w wierszu Słowackiego „Do autora trzech psalmów“ z odpowiednimi ustępami „Psalmu dobrej woli.“ Tam lotna fantazya — tu ciężka maszynerya [1]).

Ze współczesnych „Psalmom“ utworów należy wymienić opowiadanie, przypominające Byronowego „Więźnia Chillonu“ p. t. „Ostatni,“ — poemat filozoficzno-społeczny: „Dzień dzisiejszy“ i „Resurrecturis“ (=tym, co mają zmartwychwstać). Nowych poglądów nie znajdujemy tu wcale; myśli „Przedświtowe,“ różnorodnie sformułowane powtarzają się tu w mniej lub więcej udatnych kształtach. Najpiękniejszym jest najkrótszy z tych utworów t. j. „Resurrecturis,“ gdzie znajduje się kilka myśli świetnie wyrażonych.

Przez lat wiele pracował Krasiński nad dziełem, któremu po śmierci autora nadano napis: „Niedokończony poemat“ (r. 1860). Miała to być część pierwsza „Nieboskiej komedyi,“ przedstawiająca duchowy rozwój hr. Henryka jako młodzieńca, zostającego pod kierunkiem Aligiera. Niewiele jednak ona objaśnia psychologię Henryka; wychowanie nie wpłynęło na zahartowanie jego woli. Niema też ściślejszego połączenia tego poematu z „Nieboską komedyą.“ Szlachta, która w „Nieboskiej komedyi“ już jest na wymarciu, cieszy się jeszcze całą potęgą swoją w „Niedokończonym poemacie;“ widzimy tu dopiero pierwsze wystąpienie Pankracego z garstką wiernych zwolenników, między którymi jest i poeta Julinicz (oczywista alluzya do Słowackiego), wygłaszający szumne frazesy bez istotnej treści. W poglądzie historyozoficznym na dzieje znać tylko pewne upo-

---

[1]) Stanisław Tarnowski: „Prof. Małeckiego Juliusz Słowacki“ w „Przegl. Polskim“ 1867, IV, 421



Delfina Potocka.

(Z rys. Stanisława Witkiewicza).

dobanie w mistycznych zaciekaniach się, ale prawdziwie wiekopomne wypadki są albo pobieżnie zbyte (przyjście Chrystusa), albo zamilczane (reformacya). Najpiękniejszym, najdzielniej napisanym ustępem jest rozdział p. t. „Sen“, ogłoszony jeszcze za życia poety (r. 1852). Jest to obraz „piekła dni dzisiejszych“ — „giełdy bez Boga:“ rozpanoszenia się pieniężników bez serca i idei, wyzyskiwania klas pracujących przez chciwych łupu demagogów, upośledzenia duszy kobiecej i innych plag wieku naszego. Ale i ten ustęp kreślony jest dorywczo, bez obmyślanego należycie planu; wstrząsa jednak miejscami potężnie [1]).

Wierszy drobniejszych, lirycznych i refleksyjnych, roztrząsać szczegółowo nie będę. Nie były one zazwyczaj pisane do druku, lecz powstawały okolicznościowo i mieściły się w listach prywatnych poety. Zwykłą ich wadą jest rozwlekłość; myśli, jak zawsze u Krasińskiego, jest podostatkiem, ale obrobienie ich artystyczne po większej części szwankuje. I tutaj Krasiński, jak w poematach swoich, jest głównie mówcą; uczucie jego wyjątkowo tylko rozrzewnić może, a fantazya, potrzebująca wciąż jakichś sztucznych podpórek, nie dostarcza mu barw świeżych, obrazów oryginalnych, któreby dłużej utkwić mogły w pamięci, lubo niespodzianych połączeń wyrazów nie brak wcale. Stosunkowo najlepszemi są: „Poeta“ i wiersz „Z powodu sprowadzenia zwłok Napoleona.“

Krasiński zmarł 23 lutego 1859 r. tam, gdzie się urodził, t. j. w Paryżu. Wpływ jego przypadł na czas następujący po ogłoszeniu „Przedświtu;“ najwyższe natężenie miał w latach 1861 — 63; dziś odnaleźć go można w pracach niektórych naszych „moderni-

---

[1]) Tadeusz Pini: „Zygmunta Krasińskiego tak zwany Niedokończony poemat, próba genezy,“ Lwów, 1896.

stów." Przeważała w nim zdolność refleksyjna, miotana wciąż w różne strony chorobliwą wrażliwością i drażliwością, nie pozwalającą mu dojść do jakichś stałych, niewzruszonych przekonań. Miał on upodobania i narowy arystokratyczne, ale za przedstawiciela idei arystokratycznej uchodzić nie może; bronił możnowładców i szlachty, gdy na nich napadano, idealizował ich nawet, pogardliwie odzywając się o mieszczanach, a lud poczytując za „*śpiącego* olbrzyma." — Sam jednak nie tylko w „Nieboskiej komedyi," ale i w listach [1]) takie rzucał na znikczemnienie arystokracyi gromy, że i przeciwnik jej nie byłby nielitościwszym.

Wiarę chrześcijańską, w kształtach katolicyzmu, wyznawał szczerze, lecz pozwalał sobie, tak samo jak pisarze nasi w XVII-go wieku, swobodnej krytyki nie tylko duchowieństwa wogóle, ale i Kościoła, który zdaniem jego już od IV-go stulecia „zrzymianił się," zapragnął władzy świeckiej i prześladował wszelki swobodny objaw myśli. I tu również, jak w sprawie arystokracyi, obronnie występował w razie jakiejś napaści; mniemał jednak, że reforma Kościoła jest potrzebną i naglącą.

Filozofię Heglowską, w jej przetworzeniu polskiem, stosował w rozwiązywaniu różnych zawiłych zagadek, nie dostrzegając, jak się zdaje, że panteistyczne poglądy niezgodne są z nauką Kościoła; rad jedynie, że dogmata główne może sobie filozoficznie wyjaśnić. Równocześnie jednak wierzył mocno w zjawiska magnetyczne i hipnotyczne, a potem w stoliki wirujące i medyumizm.

Pod względem zasad moralnych nieco innym

---

[1]) Z ogłoszonych zbiorów najważniejsze są; „Listy do Konstantego Gaszyńskiego" (Lwów, 1882), „Listy do Adama Sołtana" (tamże, 1883) „Listy.... tom III" (tamże, 1887), „Listy do St. Małachowskiego" (Kraków, 1885); „Listy do Edwarda Jaroszyńskiego" Kraków, 1871, (wykupione przez rodzinę).

był w życiu, niż w pismach. Choć dobry, miłosierny, szlachetny z usposobienia, postępował niekiedy w ważnych wypadkach tak, że nie tylko o słabość woli i charakteru, lecz i o brak wyższej szlachetności, a przynajmniej o dowolne, kapryśne pojmowanie etyki obwinić go musimy. W pismach zalecał zawsze i bezwzględnie szlachetność, miłość, niczem niezachwianą siłę woli i cierpliwość:

Bądź arcydziełem nieugiętej woli!
Bądź cierpliwością, tą panią niedoli—
Co gmach swój stwarza z niczego, powoli!
Dla podłych tylko i faryzeuszów
Bądź groźbą, gniewem lub świętem milczeniem
I nie miej żadnych z obłudą sojuszów...
W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie, bądź siłą, co skłania,
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania!...

Nie był Krasiński twórcą poezyi filozoficzno-politycznej, bo go wyprzedził Stefan Garczyński; ale wydoskonalił ten rodzaj i stał się najlepszym przedstawicielem *refleksyi* w twórczości poetyckiej. Głosił szlachetne i wzniosłe zasady, pragnął harmonijnego spółdziałania wszystkich klas społecznych; wypowiadał bardzo rozległe uogólnienia filozoficzne; przez poruszanie zagadnień wszechludzkich łączył poezyę naszą z poezyą całego ucywilizowanego świata.

XXVII.

Dotychczas wymienieni poeci, więksi i mniejsi, wymagali od czytelników swoich podniesienia uczuć, pragnień, myśli i ideałów na stopień daleko odbiegający od zwykłego poziomu, a niekiedy nawet na najwyższe, zawrotne szczyty. Ażeby ich należycie zrozumieć, trzeba było mieć i wykształcenie książkowe,

gdyż bardzo często posługiwali się wspomnieniami i napomknieniami, odnoszącemi się do dziejów powszechnych i do literatury powszechnej, — i duszę, zdolną odczuwać najróżnorodniejsze nastroje, usposobienia, pomysły. Nawet takie z pozoru proste opowiadanie, jak „Pan Tadeusz“, mieściło w sobie obrazy, zwroty i wyrażenia, wymagające objaśnień z mitologii i historyi. Stosunkowo najzrozumialszemi były dumki Bohdana Zaleskiego, ale i one z powodu swego specyalnego tła ukraińskiego mogły być odczute tylko przez pewną część społeczeństwa. Wielki talent potęgą swoją porywał za sobą, unosił, do podziwu skłaniał, kazał nazwisko swoje ze czcią wymawiać, ale nie mógł liczyć na to, że jego pomysły przejdą całkowicie i odrazu na duchową własność narodu. Jeżeli naśladowcy mistrzów, a więc talenta przynajmniej bierne, potrafili tylko zewnętrzną stronę rozległych i głębokich wzorów odtwarzać, to cóż powiedzieć o tym ogóle czytelników, co nawet takiego, jak ci naśladowcy, nie posiadali przygotowania...

To też twory genialne, w których potężna indywidualność się wyraziła, bardzo powoli (pomimo czci i uwielbienia) przedzierały się do duszy społeczeństwa, a niektóre do dziś dnia popularnemi się nie stały (jak większa część poematów Krasińskiego); doraźną zaś i natychmiastową wziętość pozyskiwały sobie pieśni, nie odznaczające się ani pięknością wysłowienia, ani wzniosłemi pomysłami, lecz będące wiernym oddźwiękiem nastroju uczuć ogólnych, odtwarzające tę średnią skalę usposobienia wewnętrznego, jaka była właściwa ogółowi mniej więcej inteligentnemu. Pieśni takie nabierały cech pieśni ludowej; powtarzano je, nie wiedząc częstokroć, kto był ich autorem, bo nie indywidualność twórcy główną w nich grała rolę, tylko wyraz uczuć i nastroju, będący własnością ogółu; zdawało się, że takie pieśni wzięte zostały z ust któregokolwiek członka tego ogółu. Tym-to sposobem miały w swoim czasie nadzwyczajną popular-

ność „Pieśni“ *Rajnolda Suchodolskiego* († 1831), „Pieśni ułana“ *Maurycego Gosławskiego* († 1834), zwłaszcza zaś jego piosenka „Gdyby orłem być“, i innych.

Największym atoli talentem wśród piewców tego rodzaju był WINCENTY POL (1807 † 1872), będący zarazem najwybitniejszym przykładem całkowitego i zupełnego spolszczenia się Niemca z rodu. Ojciec jego, piszący się Pohl albo Poll, był urzędnikiem austryackim, ożenionym z Eleonorą Lonszan (Longchamps), pochodzącą z rodziny francuskiej, spokrewnionej z Niemcami, ale już znacznie spolonizowanej. Wincenty urodził się w Lublinie, za czasów, kiedy Austryacy tam byli panami; gdy ci w r. 1809 ustąpili przed wojskami Księstwa Warszawskiego; rodzice Pola przenieśli się do Lwowa. Tu też ich dzieci odbierały wykształcenie, oczywiście niemieckie; matka tylko, lubiąca wiersze polskie, powtarzając je, wpajała ich dźwięki w umysły młodociane i najpewniej rozmawiała z dziećmi po polsku. Nabywały tym sposobem praktycznej znajomości języka, lecz go pod względem gramatycznym nie znały. Wincenty w 18-ym roku życia, pisząc po polsku, robił okropne błędy ortograficzne, lubo zwrotów niepoprawnych używał niewiele. Zachętę do polszczyzny znajdował w towarzystwie krewnych matki, Ziętkiewiczów, którzy nabywszy mająteczek pod Lwowem, Mostki, jako ludzie zamożni, zbierali u siebie towarzystwo nietylko mieszczańskie, ale i średnio-szlacheckie.

Zamiłowanie do poezyi wcześnie się obudziło w duszy młodzieńca; zaniedbując nauki szkolne, tak zwaną filozofię, to w uniwersytecie lwowskim, to w kolegium jezuickiem w Tarnopolu, Wincenty rozczytywał się w poetach i powieściopisarzach niemieckich i polskich; sam też probował swych sił w prozie i w wierszu, choć nie znał ortografii polskiej. Miłość najprzód do Eugenii Lisowskiej, a potem do Kornelii Olszewskiej, która po latach dziesięciu miała stać się jego małżonką, jeszcze bardziej odrywała młodzieńca

od studyów, ale za to umacniała w nim pragnienie zostania poetą. Pisał więc dużo i w formie powieściowej i w lirycznej, zbierał i przerabiał pieśni gminne, tworzył sonety po niemiecku i po polsku, lecz nie podawał tych prób do druku, uważając je tylko za ćwiczenia. Istotnie w tem, co się dochowało z lat 1827—30, nie widać nic samodzielnego; Wincenty to obrabiał motywy gminne, to wyrażał nastrój wprowadzony przez romantyków niemieckich i polskich: posępność, rozczarowanie, sentymentalność, ale zawsze w formie umiarkowanej. Zasługuje na uwagę, iż w tych próbach, mianowicie prozą pisanych, lubił spowiadać się z tego, co przeżył... [1]).

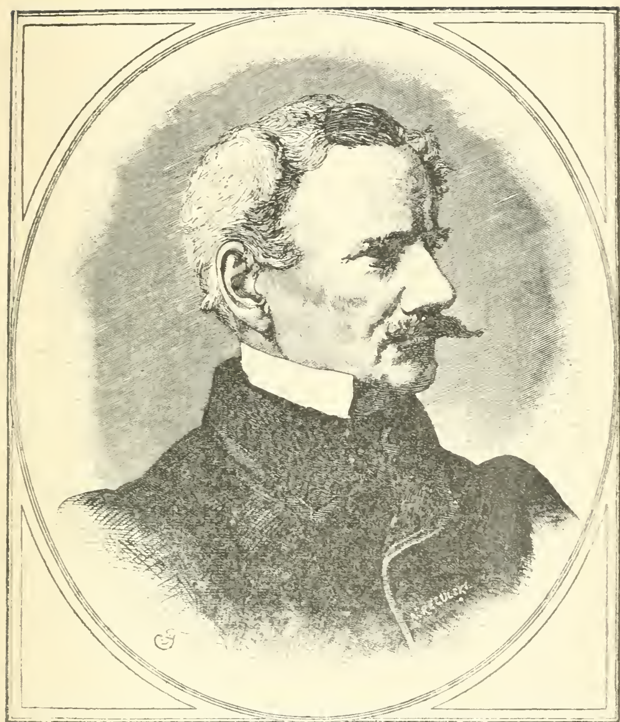
Tymczasem trzeba było pomyśleć o środkach utrzymania, gdyż rodzina, po śmierci ojca i starszego brata, żyła w biedzie. Egzamina Wincentemu nie powodziły się, a nie mając stopnia naukowego, niepodobna było otrzymać lepszej posady; rola zaś kancelisty była młodemu czcicielowi Muz nad wyraz wstrętną. Gdy i opiekun panny Olszewskiej wyraźnie oświadczył, iżby Pol albo zaniechał starań o jej rękę, albo też pomyślał o zabezpieczeniu przyszłości, Wincenty, choć mu to przyszło z niezmierną przykrością, skreślił po niemiecku zarys dziejów literatury niemieckiej i z tą rozprawką wyruszył w sierpniu r. 1830 na Warszawę do Wilna, by tam przy uniwersytecie czy gimnazyum starać się o posadę języka i literatury niemieckiej. Niepewną jest rzeczą, czy taką posadę otrzymał; zanim bowiem mogły być załatwione wszelkie formalności, zaszły wypadki, które i młodzież wileńską i Pola pociągnęły w inną stronę. W wędrówkach swoich po Litwie miał sposobność Wincenty poznać dobrze i ziemię i ludzi, a co najważniejsza, przejąć się temi uczuciami, jakie wśród

---

[1]) Te pierwociny talentu zebrał Karol Estreicher w książce p. t. „Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie“, Lwów, 1882.

szlachty mianowicie drobnej panowały. Wraz z oddziałem Giełguda czy Chłapowskiego przeszedłszy do Prus, zajrzał też do Królewca, gdzie poznał profesora literatury Bohlena, który go zachęcił do przekładania pieśni ludowych polskich na język niemiecki. Dokonywając tego tłomaczenia czy raczej przetwarzania, Wincenty obrabiał swe wspomnienia i wrażenia z roku 1831, a przejechawszy do Drezna i zapoznawszy się z Odyńcem i Mickiewiczem, dał im do oceny kilka swoich pieśni. Doznał szczerej zachęty i niebawem wykończył cały tomik. Z datą r. 1833 wyszły dwie jego książeczki, jedna po niemiecku: „Volkslieder der Polen“ (w Lipsku), druga po polsku: „Pieśni Janusza“ (Paryż); pierwsza popadła w zapomnienie, druga odrazu stała się niesłychanie popularną i rzuciła podwaliny sławy poetyckiej Wincentego Pola, chociaż na tytule jego nazwiska nie zawierała. Cechy znamienne tych utworów sam poeta bardzo dobrze określił we wstępnym „Śpiewie Janusza“, mówiąc, że jego „serca pieśni własnej słucha tylko miesiąc jasny i stuletni dąb“, że skargą na swą dolę nie znudzi słuchaczów, bo on „pieśń z ludu ma dla ludzi.“ Potrzeba tylko wyraz „lud“ pojmować tak, jak go w tem miejscu i częściej rozumiał autor. Nie brał on ani nastroju, ani wyrazu z pieśni gminu, lecz z tej średniej warstwy społecznej, co daleka od cudzoziemczyzny, daleka od wykwintu, kochała swą rodzinną ziemię, zajmując się jej uprawą i dbając o zachowanie starych zwyczajów i obyczajów. Do ludu nie liczą się ci zcudzoziemczali eleganci, co się lubią posługiwać mową francuską, wykwintnie jeść i pić, co z góry patrzą na prostaków, choćby zasłużonych i dzielnych, co obowiązki swoje lekceważą i chłodno przyjmują wszystko, co się zdarzy, byleby ich osoby nie dotykało. Pol nie wyróżniał wtedy „stanów“, jako stanów, a jeśli nie cierpiał magnatów, to dlatego, że wśród nich najwięcej widział cudzoziemczyzny. Kto tylko kraj kochał szczerze, był dla niego bratem:

„czy to w dworze, czy w klasztorze, na słobodzie, czy w gospodzie.“ Od takiego to „ludu“ brał Pol zarówno treść jak barwę swoich pieśni, zarówno rodzaj uczuć i myśli, jak język i styl, nie zadając sobie trudu wyszukiwania perspektywy, by należycie wyróżnić, co wielkie, a co małe, co wzniosłe, a co pospolite, co na pierwszym a co na dalszym staćby powinno planie. Radość i smutek serc prostych, nieprzywykłych do ich rozbioru, rzewność i dowcip, jowialność i satyra, delikatność uczucia i rubaszność wyrażenia, zacność i miękkość serca, a przytem zajadłość niekiedy *dzika w słowach*: wszystko to po kolei lub razem dźwięczy na strunach lutni Janusza w tonach jak najprostszych, dobieranych bez wysiłku, a nawet wielkiego starania. Styl bywa zazwyczaj szary, pospolity, prozaiczny, jak zwykła mowa potoczna, ubarwiona jeno przysłowiowemi wyrażeniami, lub dobitniejszem jakiem słówkiem. Porównania i przenośnie brane są z najbliższego otoczenia, i nie mają w sobie nic książkowego, erudycyjnego; zrozumiałe są odrazu i nie wymagają wcale wyższego wykształcenia; kto zna swój język i nieco swojej historyi, pojmie je bez trudu. Czasami tylko, jak to bywa i w życiu, ton mowy się podnosi, staje się uroczystszym, słowa są dobrańsze, myśli mniej pospolite, jak to widać pod koniec „Rocznicy“ i w „Proroctwie kapłana“, gdzie Pol po swojemu wyraził pięknie ideę mesyaniczną. O dobór rymów wcale się poeta nie ubiegał; gdzie mu nasuwały się łatwo, tam szafował nimi obficie nie tylko na końcu, ale i w środku wiersza, zgoła o wykwintność nie dbając i posługując się bardzo często najłatwiejszemi, t. zw. częstochowskimi. Jednem słowem, ani bogactwu fantazyi, ani świetności wyrażenia nie zawdzięcza ten zbiorek swojego wzięcia, lecz tylko serdecznemu uczuciu, odpowiadającemu w nastroju i sposobie jego objawienia temu stopniowi uczuciowości, jaki był przyrodzoną, isto-



Wincenty Pol.

(Z Tygodnika Ilustrowanego).

tną właściwością owego ogółu, który Pol nazwał „ludem".

„Pieśni Janusza" w przeważnej swej części nie są *pieśniami* t. j. poezyami lirycznemi; takich bowiem czysto lirycznych utworów jak najpopularniejszy ze wszystkich „Śpiew z mogiły" (Leci liście z drzewa) jest tu bardzo mało; większość składa się z rzeczy mieszanych, epiczno-lirycznych, tak że główny motyw daje im jakieś zdarzenie, jakiś czyn, a z niemi dopiero łączy się odpowiednie, smutne czy wesołe uczucie. Są tu i obrazki satyryczne, jak „Szlachta na winie", „Wachmistrz Dorosz". Jest wreszcie i pierwsza typowa „gawęda", pisana wierszem 12-zgłoskowym, którym Pol władał wybornie, udoskonaliwszy go sam, z wyrażeniami łacińskiemi wtrąconemi do polszczyzny, ze stylem potocznym, poufałym, ale zamaszystym, ze zbyt częstem „więc" jako środkiem łączenia zdań, a co najważniejsza, z częstemi, lubo w nader krótkim utworze dygresyami, uskakiwaniem w bok i nawracaniem do opowieści, i ze ściśle szlacheckim kolorytem. Napis jej: „Wieczór przy kominie". Treścią—drobna przygoda Kazimierza Puławskiego, wykazująca jego przytomność i dzielność, ale treść ta skreślona krótko, a okoliczności uboczne—wybieranie się w drogę, chrzciny—o wiele szerzej opowiedziane; wszystko atoli razem tworzy całość barwną i znamienną.

Najpierwszym też, na szerszą skalę rozwiniętym, nowym utworem Pola była gawęda również, ogłoszona r. 1839 w „Rozmaitościach," lwowskich, a r. 1840 osobno p. t. „Przygody J. P. Benedykta Winnickiego w podróży jego z Krakowca do Nieświeża 1766 roku i powrót w dom rodzicielski". Benedykt Winnicki nie był osobistością zmyśloną. Kiedy matka Pola, po śmierci męża, wzięła dzierżawę, był on jej doradcą w gospodarstwie, a potem pojechał z Wincentym do Tarnopola i utrzymywał uczniów na stancyi. Typowy szlachcic XVIII wieku, znał dużo dykteryjek

i umiał je opowiadać. Charakter ten, wybornie odtworzony, jako opowiadacz swych przygód, czy to w podróży, kiedy zabił jakiegoś podejrzanego dziada, czy na dworze Radziwiłła Panie kochanku, gdzie podkochując się w pannie respektowej, czekał trzy lata na respons księcia dla pana Cetnera, czy w powrocie do domu, kiedy go ojciec za nieuszanowąnie figury przydrożnej, zbyt poufałe przywitanie i jedzenie mięsa w wigilię, obatożył i do ciemnej komórki zapakował, dopóki go ksiądz proboszcz nie ułagodził przy ponawianych lampkach wina, — bardzo znamiennie i zajmująco się przedstawia. Poezyi w całem opowiadaniu niewiele, lecz zarysy obyczajów staropolskich z ich prostotą i rubasznością, spokojne przedstawienie uczucia miłości, zamaszyste, pełne werwy i „kontuszowego" humoru opowiadanie nadają utworowi dużo wdzięku i czynią go ładnym. Poeta wówczas nie wielbił jeszcze bynajmniej ani surowości wychowania staropolskiego, ani tem bardziej bizuna; powtarzał jeno szczegóły słyszane, nie chwaląc ich, ani ganiąc, wprost tylko jako rzeczy charakterystyczne. Książę Radziwiłł nie był wcale jego ideałem, a lekki uśmiech ironiczny, z jakim zwyczaje dworu jego Pol odmalował, jak niemniej sposób ułagodzenia ojca pana Benedykta, wskazują dość wyraźnie, iż Pol wtedy patrzył na te objawy raczej krytycznie niż optymistycznie.

„Przygody Winnickiego" były czytane i chwalone; ale głębokie i serdeczne uznanie pozyskał sobie Pol „Pieśnią o ziemi naszej" (1843, Poznań), pisaną wierszem krótkim ośmiozgłoskowym, a stylem, przypominającym liryczno-epiczne „Pieśni Janusza." Po ślicznym opisie naszej jesieni, nawiewającej pewną tęsknotę na duszę, (opisie, dodanym zresztą później dopiero) zapoznaje nas poeta z ziemiami dawnej Rzeczypospolitej i jej mieszkańcami, kreśląc ich charakterystykę żywo, zwięźle, dobitnie, a z widoczną miłością. Suchość treści dydaktycznej prawie

zupełnie usuniętą została przez pierwiastek uczuciowy, przenikający wszystkie ustępy. Pol kocha gorąco lud siermiężny, szlachtę okoliczną i wszystkich ludzi dobrych, nie cierpi tylko pół-panków wołyńskich, puszących się swoim rodem i bogactwy. Najlepiej przedstawił Litwę, Żmudź i Polesie, które poznał w r. 1831, dalej Wołyń, Ukrainę i Podole, które zwiedził w roku 1834, wreszcie okolice podtatrzańskie, wśród których zamieszkał od r. 1833 pod opieką Ksawerego Krasickiego. Słabiej i krócej opracował niektóre części Królestwa, a Śląsk, Wielkopolskę i Prusy zupełnie pominął. W pięknem zakończeniu ujmująco odmalował gościnność polską. Jakkolwiek poetyczna wartość „Pieśni o ziemi" nie jest wielka; jakkolwiek prozaiczność wyrażenia aż zanadto często uczuwać się w niej daje: robi jednak utwór ten bardzo miłe wrażenie, a swojskością i serdecznością przemówił do mas i zapoznał je przynajmniej w głównych zarysach z krajem ojczystym. Ma on niemałe społeczne znaczenie, podobne do tego, jakie zyskały sobie „Śpiewy historyczne" Niemcewicza.

I Pol pragnął nie tylko z geografią i etnografią byłej Rzeczypospolitej, ale i z jej pamiątkami, z jej dziejami zaznajomić czytelników w sposób łatwy i powabny. W tej myśli napisał „Szajne katarynkę," gdzie przy dźwiękach muzyki miały być pokazywane obrazki to sławniejszych budowli, to wizerunki królów, bohaterów, poetów z odpowiedniemi wierszowanemi objaśnieniami. Utwór ten częściowo się tylko dochował.

Jeden epizod z przeszłości, a mianowicie z końca XVIII w. obrobił Pol oddzielnie w „Historyi szewca..." (1843, w „Noworoczniku demokratycznym)," przedstawiając dobitnie, nieraz aż zanadto jaskrawo i rubasznie lichotę moralną magnatów z jednej a prawość i dzielność mieszczaństwa warszawskiego z drugiej strony. Gawęda ta, również potoczystym ośmiozgłoskowym wierszem napisana, mająca ustępy peł-

ne werwy, choć pod względem układu luźna i estetycznie niezharmonizowana, zasługuje na uwagę jeszcze stąd, że była pierwszym u nas poematem, poświęconym wyłącznie udziałowi pierwiastku miejskiego w życiu publicznem. Nie roztaczała ona obrazu szeroko, nie była powieścią epicką, gdyż miała na względzie czynności jednego człowieka, zarysowując tłumy ogólnikowo tylko, ale bądźcobądź poruszyła strunę, do tej pory na lutni polskiej nie tykaną.

Ludowi i to wyłącznie góralom podtatrzańskim poświęcił Pol pierwszą i najdłuższą zarazem część swoich „Obrazów z życia i podróży“ (1846). Żył on lat wiele w wioskach górskich w Beskidach (naprzód w Kalenicy, potem ożeniwszy się ze swą Kornelią, w Maryipolu), robił częste wycieczki na hale i szczyty, poznał dobrze i pokochał biednych, ale dzielnych i śmiałych mieszkańców górskich i ładnie, sympatycznie ich przedstawił w sposób prosty, bez deklamacyi i wydwarzania. Styl jego wszakże w tych poezyach różni się znacznie od stylu utworów poprzednich; jest on powolniejszy (wiersze 10 zgłoskowe), nie tak dziarski i zamaszysty, staranniejszy w doborze słów i mało zaprawny prowincyonalizmami. Druga część obrazów to liryki refleksyjne, smutkiem nabrzmiałe, ale smutkiem prostym, szczerym, w rezygnacyi religijnej czerpiącym ukojenie; płacze i żali się poeta zarówno na swe cierpienia osobiste, jak i na ogólne; bo „innym z wawrzynu, innym mirtowe, nam padły wieńce z piołunu...“

Powody smutku były najrozmaitsze; śmierć dziecka, niepowodzenia gospodarskie, a zwłaszcza oporność serc ludu, któremu życzył jaknajlepiej, pragnąc go oświecać i dźwigać z nędzy. „Posłuch w gromadach — mówi sam poeta — któremi rządziłem, był z dniem każdym widocznie większy, ale sympatya dla mnie była z każdym dniem mniejszą. Gospodarze i niewiasty nie wychodziły przed chaty, kiedym przez wsie jechał konno — nie witali mnie na obej-

ściu, kiedym przed obejściem stanął — dzieci nie biegły z uprzejmą wesołością i krzykiem, by otworzyć wrota do wioski lub wygonu... Niezrozumiany od ludu wiejskiego, któremu oddałem najdzielniejsze i młode siły moje; krzywo sądzony przez współobywateli, którzy w usiłowaniach moich widzieli tylko wybryki niepraktycznego człowieka i na karb ideałów i poezyi składali wszystko, com czynił,—zatrapiłem się w duszy i popadłem w jakieś odrętwiałe zwątpienie."

Podczas pamiętnej rzezi galicyjskiej r. 1846 boleśnie doświadczył na sobie okrucieństwa rozszalałych chłopów. Skrępowany i do drzewa, w środku dziedzińca stojącego, przywiązany, ledwie uszedł śmierci. Pokrwawionego wsadzono na wóz drabiniasty i zawieziono do urzędu cyrkularnego w Jaśle, skąd po kilku tygodniach wyprawiono go do Lwowa. Uwolniony został z więzienia dopiero w lipcu 1846 r. Pisał wiersze i w więzieniu, malując stan przygnębionej duszy, drobne wydarzenia, kiedy niekiedy urozmaicające jednostajność samotności, rozmyślania nad swoją dolą i dolą kraju. Z przygnębiającym smutkiem pytał sam siebie: „czem się będzie ten lud bawił, gdy pierwszym krokiem, co w życiu postawił, już w dziejach świata wyrósł na Kaina"....
Nie probował tłomaczyć tego ludu namowami podżegaczy, ale go wprost za Kaina poczytał i tylko w rządach Opatrzności, obierającej niezrozumiałe nieraz dla człowieka drogi, całą ufność nadal pokładał.

Już wówczas umysł jego odwracał się od ludu, a sympatyę swoją skierowywał ku posiadaczom ziemskim, ku szlachcie, która ucierpiała. Atoli prąd demokratyczny był jeszcze wtedy zbyt silny; nadzieje ogólne polegały na nim, a rok 1848, zwany „wiosną ludów," zdawał się urzeczywistniać rojenia; lud w Galicyi został od pańszczyzny uwolniony i stał się właścicielem, oddzielonym od dworu ustawą. Pol żadnego wiersza z powodu tego ważnego faktu nie napi-

sał; nie trudno zgadnąć przyczynę; usamowolnienie ludu narzucone było zgóry; ale czy już wtedy uważał sam fakt za szkodliwy zarówno dla większych posiadaczy ziemskich, jak i dla wieśniaków; nie wiemy; to pewna, że takie zdanie wygłosił i wydrukował w r. 1854-ym [1])

Inny ruch z owego czasu, o wiele mniej doniosły w skutki, zjazd wszechsłowiański w Pradze Czeskiej, upamiętnił wierszem pisanym w tonie uroczystym, ale ujmującym: „Słowo a Sława.“ Treścią tego wiersza—potępienie narodów Zachodu i Południa, a postawienie na czele przyszłości lepszej — Słowian. Co złego w Słowianach, to dały im „cudze rozumy;“ więc nie wierzyć temu, „co się z księgi w obcych narodach wyprzędło,“ ale własny zachować obyczaj— cześć Boga, pracę na roli, braterstwo wszystkich, swobodę; nie można ludu i nie należy przerabiać; pojąć tylko trzeba, co w nim najlepsze i to rozwijać; nie wojować mieczem, ale uwierzyć w „słowo“ prawdy i sprawiedliwości i urzeczywistniać je w życiu. Pol najlepsze roił nadzieje, gdy bombardowanie Lwowa w grudniu r. 1848 położyło kres i tym i innym marzeniom.

Pol pisał także w tym okresie prozą. Do „Kwartalnika Naukowego“ w Krakowie dał r. 1835 artykuły o „Filozofii i przysłowiach ludu w Polsce,“ o „Teatrze i Aleksandrze Fredrze;“ spisywał swoje „Wspomnienia z podróży po Niemczech“ w r. 1845, zajmował się geografią ziemi ojczystej, co mu w końcu r. 1849 wyjednało posadę profesorską w uniwersytecie krakowskim, posadę zresztą krótkotrwałą, gdyż wraz ze zmianą systemu rządowego w Austryi utracił ją. Kreślił również zarysy powieściowe, już to naśladując gwarę ludu góralskiego („Tańka“), już to powtarzając anegdoty ludowe i szlacheckie („Powie-

---

[1]) H. Biegeleisen: „Nieznane pisma W. Pola“ (w „Bibliotece Warsz.“ r. 1892.

Ducha — Żywotem Narodu.

A jak on: Promień boski, — oświecił —
Dziś nam przez całun grobowy,
Jaśniejsza słońca wszystkich promieni:
Wówczas nam wzejdzie — Rok nowy! —

W. Pol

Autograf Wincentego Pola z r. 1843.

(Ze zbiorów Biblioteki Ordynacyi hr. Krasińskich).

Na rok 1843.

Na wschodzie ziemi nowy rok świtał,
Starego roku znikają mary,
Ludzkość wesoło przyszłość witała,
A dla nas jeszcze rok stary! —

Bez rycerz, zmazany, bez przesilenia,
A wieczorne głuchy, posępny —
Dziś tam, dni leżą przynajmniej zmienne,
Dla nas tenże stary, przestępny...

My na miesiące życia nie liczym,
Rok nasz ma inne wymiary —
Gdy inne życzą, my nic nie życzym,
Bo dla nas jeszcze rok stary!

Innym do twarzy szaty godowe,
My strojne w swoje całuny,
Innym wawrzyny, innym mirtowe,
Nam blady wieniec z piołunu...

Dla innych wiosna przynosi kwiaty,
I lato zżęte kłosami;
I jesień złoty owoc bogaty
Nasz rok, pamiętny — mrozami....

Lecz jak gra promień słońca wspaniale,
Czarowną tęczą śród wody,
Tak dzieła sztuki grają w krysztale
Ducha — żywotem Narodu.

A jak ów promień boski, oświeci
Dziś nam przez całun grobowy,
Jasność słońca wszystkich zaświeci:
Wówczas nam zejdzie — Rok nowy! —

W. Pol

Autograf Wincentego Pola z r. 1843.

(Ze zbiorów Biblioteki Ordynacyi hr. Kra[illegible])

ści Semenowe“) „Powrót,“ „Trefniś,“ „Obiad czwartkowy)“, już to przedstawiając zarysy charakterów i stosunków towarzyskich („Karusia,“ „Nieźli są ludzie“). Zarysy te ogłosił we Lwowie r. 1845 p. tyt. „Obrazy.“ Pisał dość żywo, stylem innym aniżeli poezye swoje, stylem nie mającym w sobie nic ze staroświecczyzny szlacheckiej; ale nie zdołał takiego w tym rodzaju literackim zająć stanowiska, jak w pieśniach i gawędach.

XXVIII.

Te próby Pola mogą nam posłużyć za przejście do wzmianki o powieściopisarstwie na wychodztwie. Było ono bardzo słabe, dalekie od tej świetności, jaką zabłysla poezya. Za największy talent w tej mierze uważano przez lat kilka *Michała Czajkowskiego* (1808 † 1886). Rodem z Ukrainy, kształcił się w liceum krzemienieckiem, a następnie walczył pod dowództwem Karola Różyckiego. Na wychodztwie występował z początku jako zwolennik demokracyi, potem zaciągnął się do stronnictwa monarchicznego. Pierwszy zbiorek opowiadań swoich ukraińskich wydał w Paryżu r. 1837 p. t. „Powieści kozackie.“ Publiczności owoczesnej podobała się wielce zamaszystość opowiadania, język pełen fantazyi, ale i prowincyonalizmów, które trzeba było tłomaczyć na polski; — przytem treść świeża i dążność zgodna z tendencyą dumek ukraińskich Bohdana Zaleskiego, usposabiały czytelników sympatycznie. Powodzenie, zyskane odrazu, zachęciło autora do gorączkowej twórczości. Jakoż w roku 1838 wyszedł „Wernyhora,“ w 1839 „Kirdżali,“ w 1840: „Anna,“ „Stefan Czarniecki“ i pomniejsze „Gawędy;“ w 1841: „Hetman Ukrainy,“ „Owruczanin,“ „Koszowata“ i „Ukrainki;“ w 1844 r. zebrane z czasopism drobne „Powieści.“

Wszystkie te utwory chciwie pochłaniano; kilka z nich doczekało się rychło przekładów na obce języki: czeski, serbski, francuski, niemiecki, angielski. Jaskrawy koloryt, obrazy burzliwych namiętności, żywość narracyi podbijały wyobraźnie i serca. Ulubionymi przez Czajkowskiego postaciami byli ludzie ducha rycerskiego, przyrośli do konia, zawsze z szablą w garści, nie lubiący pytać o mnogość nieprzyjaciela, przekonani, że dopiero trupów policzą; hasłem ich: bić i bić, na nic więcej nie zważając. Te srogie dzieci Wojny stworzone były do ustawicznej walki, wytrzymałe na głód, czuwanie, wszelkie niewygody, dzielnie władające orężem, prędkie w radzie, wytrwałe w boju. Nie zwracano na to uwagi, że kozacy Czajkowskiego za Batorego są tacyż sami jak za Stanisława Augusta, że autor bardzo słabo był obeznany z dziejami narodu i ciągle w nich a grube popełniał omyłki. Ale nie tylko pod względem zewnętrznnym grzeszyły te utwory, i duchowo były one liche, bo z owych czół bohaterskich nie strzela jasny promień wyższej inteligencyi, obejmującej szerokim poglądem coś więcej nad pole walki trupami zasłane, bo w tych sercach żądza boju pożarła wszystkie inne uczucia. Autor dokładnie opisywał zewnętrzną postać bohaterów swoich, skrzętnie zaznaczając dowody siły ich ramienia, unosząc się nad ich męstwem, lecz nie lubił kreślić szczegółów ich umysłowości, nie lubił rozwiązywać im ust dla powiadomienia czytelników o ich rozumie, fantazyi, uczuciach tkliwych czy wzniosłych. Nieumiejętność w skupianiu promieni światła i w użytkowaniu cieniów, chwytanie cech powierzchownych zamiast głównych, niewolnicze kopiowanie powszednich objawów życia obok przesadnej fantastyczności: oto przyczyny dysharmonijnego wrażenia, jakie wywierają postaci i sytuacye, nakreślone przez Czajkowskiego. Co do kompozycyi, autor „Powieści kozackich" chętnie się posługiwał fatalnością wypadków, zawodzącą nadzieje



Michał Czajkowski.

(Ze zbiorów Leopolda Meyéta.)

bohaterów, wikłającą działanie, sprowadzającą katastrofy. Pojęcie tej fatalności nie wypływało bynajmniej z filozoficznych przekonań, lecz jedynie z braku zrozumienia prawa przyczynowości i z braku poczucia artystycznego w układzie poszczególnych części romansu. Dlatego też najlepszemi są drobne jego powiastki i gawędy, bo większe składają się właściwie z szeregu epizodów, których następstwo nie przedstawia harmonijnego rozwoju wątku jakiegoś, lecz wypływa albo z chronologicznej konieczności, albo z kaprysu autora. Motywowanie postępowania osób nie istnieje tutaj, częstokroć domyślić się go nawet niepodobna; wszystkiem rządzi przypadek, cyganki wiedzące o wszystkiem, jakieś tajemnicze „bractwa" i t. p. Styl jest dziwaczną mieszaniną wybujałej prozy poetyckiej, uosobiającej wszystkie przedmioty, nawet zupełnie martwe — oraz rubaszności i trywialności, z życia powszedniego zaczerpniętej.

W r. 1841 zakończył się najważniejszy okres działalności literackiej Czajkowskiego, a rozpoczęła działalność polityczna. Niespokojna, awanturnicza natura nie mogła długo wytrwać przy piórze i szukała szerszej widowni. Przez Włochy jedzie Czajkowski do Turcyi, ażeby zwiedziwszy ją, osiąść w Konstantynopolu i zdawać sprawę o stanie i usposobieniu państwa otomańskiego księciu Adamowi Czartoryskiemu. Rychło wszakże zaczął działać na własną rękę, a ożeniwszy się z Ludwiką Śniadecką, pierwszą miłością Juliusza Słowackiego, przyjął islamizm w roku 1851, pozyskał zaufanie rządu tureckiego, sformował pułki kozaków otomańskich, z którymi w wojnie krymskiej czynny brał udział w godności Sadyka-paszy. O tych działaniach napisał Czajkowski pod kryptonimem X. K. O. dzieło ozdobione rycinami p. tyt. „Kozaczyzna w Turcyi" (1857, Paryż). Około r. 1860 zaczęła zachodzić w bujnym umyśle naszego renegata nowa zmiana poglądów; na hasła wolności stawał się obojętnym, a zasady autokratyczne coraz silniej

przemawiały do jego przekonań. Jako gubernator Bukaresztu już w tym zmienionym duchu działał, a później w powieściach p. tyt. „Bułgarya“ (1872) i „Nemolaka“ (1873) bez ogródki wypowiedział swe poglądy. W r. 1872, wystarawszy się o amnestyę, wrócił pod panowanie rosyjskie, osiadł na Ukrainie i zaczął ogłaszać swe pamiętniki i rozprawy w języku rosyjskim. Jak niespokojnem było jego życie, tak i śmierć nie zabrała go w sposób naturalny, — skończył samobójstwem. Wydanie zbiorowe pism Czajkowskiego wyszło w Lipsku w 12 tomach od roku 1863—73; prócz wymienionych poprzednio powieści, powiastek i gawęd, mieszczą się tu jeszcze zarysy biograficzne p. t. „Dziwne życia Polaków i Polek.“

O innych powieściopisarzach na wychodztwie dodam tylko słów kilka.

Wincenty Budzyński (1815+1866), który jako publicysta w języku francuskim występował pod pseudonimem *Paul de St. Vincent*, będąc w Anglii, gdzie zamierzono wydawać powieści historyczne polskie, przygotował do tego wydawnictwa powiastkę fantastyczno - dziejową: „Półtora krzyża,” malującą czasy zamieszek w Polsce po ucieczce Ryksy; a chociaż zamiar pierwotny rozchwiał się, Budzyński poszedł już dalej obraną drogą i kreślił obrazki już to z najbliższej, już to z zamierzchłej przeszłości. W r. 1841 wyszła jego powiastka „Partye,“ a w 1843 dwutomowa powieść: „Lechia w IX wieku,“ następnie w 1844 również dwutomowa „Biała Kniehini“ z czasów Bolesława Chrobrego, 1845 „Wyprawa pruska“ z tejże epoki, oraz wspomniane już „Półtora krzyża.“ Autor z umysłu nie chciał być przedmiotowym malarzem, lecz zamierzał zostać pośrednikiem między przeszłością i wiekiem obecnym z silnie uwydatnioną indywidualnością swoją. Psychologia jego w przedstawianiu uczuć miłosnych jest tylko igraszką frazeologiczną, ale trafną się okazuje w rozumieniu mas ludowych, dumy, ambicyi, apo-



Powrót z polowania.

Z dzieła „**Kozaczyzna**“ M. Czajkowskiego.

(Ze zbiorów Leopolda Meyéta).

stolstwa religijnego; znał też ten objaw duchowy, który dziś nazywamy suggestyą. Do pisania przystępował poważnie, korzystał nietylko z opracowań historycznych, ale i z kodeksu dyplomatycznego (dla nazwisk) i z rękopiśmiennych notat Lelewela o mitologii polskiej. Styl jego jest niewprawny, splątany, nastrzępiony wyrazami niby archaicznymi, w malowaniu uczuć groźnych lepszy, niż w opisowości i scenach czułych. Prócz powyższych powieści napisał jeszcze opowiadania: „Jan Jakimowicz," „Rewucha."

Konstanty Gaszyński, (1810 — 1866), przyjaciel Zygmunta Krasińskiego, wcześnie rwący się do pióra, władający gładkim i potoczystym wierszem, była to natura miękka, lecz elastyczna, łatwo umiejąca sobie radzić, niezbyt skłonna do smutków głębokich, prędzej do żartów, mogąca prędko się pocieszyć, nie mająca pragnień nieokreślonych. Serce miał prawe, tkliwe, nie zatrute samolubstwem ni próżnością, nie goniące za blichtrem i fałszem. Jako pisarz był to talent średniej miary. Pięknie utoczone wiersze w poezyi, a poprawne, choć niekiedy galicyzmami zeszpecone okresy w prozie stanowią największą zaletę jego nielicznych utworów. Pisał po polsku i po francusku rzeczy drobne, mające znamiona bladych akwarel. Z jego elegij i sonetów zaledwie parę zaznaczyło się silniej w naszej literaturze, a najpopularniejszy jego poemacik: „Sielanka młodości" (1855) dlatego zyskała uznanie, że stylem prostym i naturalnym wypowiadala uczucia i pojęcia, podzielane przez ogół wykształcony. W prozie jego „Kontuszowe pogadanki", pod wpływem „Pamiętników Paska" kreślone, nie mają innej wartości nad anegdotyczną, i choć są krótkie, grzeszą przecież rozwlekłością, tak mało w nich treści i tak mało barwności. W dłuższej powiastce p. t. „Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy" (1846) miał dobry pomysł wyszydzenia bezmyślności poczciwego

szlachcica, przechodzącego na wychodztwie z jednej partyi do drugiej, oraz bezczelności tych, co każdą sytuacyę na swoją korzyść wyzyskać potrafią — ale pomysł ten zepsuł nader słabem wykonaniem. Nie mając sam ani żywych namiętności, ani głębokich i silnych przekonań, zlekka drwił ze wszystkiego w prozie i w wierszu („Wyścigi konne w Warszawie,“ „Karciarze,“ 1858), lecz uzdolnienia na satyryka społecznego nie posiadał.

Powieść tak słabo przedstawiająca się na wychodztwie, choć miała olbrzymi przed sobą materyał, w kraju rozwinęła się i wybujała, lubo tu przeróżne ścieśnienia nie dozwalały jej objąć najważniejszych zagadnień życia i zmuszały ją do obracania się w zaklętem kole stosunków powszednich, codziennych, lub też do przedstawiania przeszłości w sposób ułamkowy.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

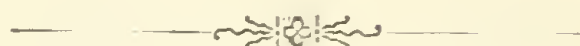
SPROSTOWANIE

główniejszych błędów tomu III.



Str.	wiersz	zamiast:	czytaj:
4	26	*rozpowszechnienie*	rozpowszechnianie
11	6	ożywieniem... ulepszeniem	ożywienie, ulepszenie
23	26	wyróżnione	*wyraźne*
34	1	Krabillona	Krebillona
51	27	1786 do 1785	1783 do 1786
60	21	piewsze	pierwsze
76	15	noworodną	nowomodną
93	12	wierszowaną	wierszową
—	18	Gensis	Genlis
96	26	szczcgółowa	szczegółowsza
99	12	znając	znające
103	19	różnonarodnemi	różnorodnemi
109	18	Boastettdna	Bonstettena
117	10	stawił	sławił
—	13	Minasowicza	*Jozefa Dyonizego Minasowicza* († 1849)
118	36	różnych	odmiennych
119	30	mityczności	mistyczności
120	20	okronych	okropnych
131	21	Kielczewskiego	Kiełczewskiego
133	26	uwagę	uwagi
135	32	Borkowskim	Birkowskim
141	4	historygrafii	historyografii
—	12	wszystkiem	*we* wszystkiem
143	19	odczyte	odczyta
145	2	przemawiając	przemawiające
146	36	zawiele	zawile
150	9	Czerniawskiego	Czerniawski
151	5	Celin	Celinę
155	30	(1822)	(1821)
156	5	sobą samym	sobą samą
170	21	nasuwają	zawierają
171	9	Wołyniaka	Podolaka
—	27	klasyków	*u* klasyków

Str.	wiersz	zamiast:	czytaj:
176	7	r. 1824	r. 1825
176	7	nastój	nastrój
179	22	przyszło	przyszło
180	36	dzi*a*łach	dzi*e*łach
183	13	*Tyle główo hydry* i t. d.	Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem, jak Samson jednem wstrząśnienieniem kolumny
206	9	prz*y*był	przebył
—	26	bardno	bard*z*o
208	21	pow*i*tały	pow*s*tały
224	26	*za* czasów	*z* czasów
225	7	*ale* nieraz	*a* nieraz
229	9	Powsze*d*niego	Powsze*ch*nego
230	16	Lomży	Łomży
231	24	odtw*a*rzono	odtw*o*rzono
233	7	a przeważnie	a *że* przeważnie
234	3 od dołu	zam. op*a*rtunizm	op*o*rtunizm



DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa.*

5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy.*

8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*

18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego.*

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta.*

*24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

Tom.

*26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu,** z przedmową *Ignacego Matuszewskiego,* z ilustr.

*31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach,** powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki,** tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andrée'go balonem do bieguna,** w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

*35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historya prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasa,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego,** w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego,* z ilustr.

40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*47. Juliusz Słowacki. **Beniowski,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*50. Adam Krechowiecki. **Stella.—Tarłówna,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

51. G. Krahmer. **Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej,** w tłómacz. i z przedmową *Włodz. Trąmpczyńskiego.*

***52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego,** z przedmową *Władysława Smoleńskiego,* z mapą dawnej Polski.

55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie. — W puszczy,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio,** z przedmową *Adama Pługa.*

63, 64, 65. L. Gallet. **Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac,** przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilust.

Tom.

66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna,** w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąmpczyńskiego.*

*68. Konstanty Rengarten. **Pieszo do Chin,** w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach,** w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*70. Michał Bałucki. **Przeklęte pieniądze,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*73. 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

75. 76. 77. 78. 79. 80. Cervantes. **Don Kiszot,** w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami G. Dorégo.

81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie,** z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami.

84. Stanisław Grudziński. **Połpanek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babylonu.** Powieść.

87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska.** Studyum krytyczno-literackie.

88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi,** z przedmową *Wiktora Gomulickiego.*

89, 91. **Pamiętniki Szymona Konopackiego,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

90. Maciej Wierzbiński. **Nowelle,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

I. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a,** w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego.*

95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona,** w przekładzie Topora.

98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne,** z przedmową.

101. Roman Zawiliński. **Słowacy ich życie i literatura,** z przedmową *J. A Święcickiego,* z ilustracyami.

102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

II. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

Tom.

103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

104. Sewer. **Wśród pokus,** powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami i mapką.

106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci.** Powieść z czasów kampanii węgierskiej.

109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu,** z ilustracyami.

110. Władysław St. Reymont. **Sprawiedliwie!** powieść z przedmową *Teodora Jeske Choińskiego.*

111. **Pamiętnik Generała Wysockiego,** z ilustracyami.

112. Jan de la Brète. **Mój Wuj i mój Proboszcz,** powieść z przedmową *Juliana Mohorta.*

III. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

113, 114. Edward Foà. **Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustr.

Rok 1900.

115. Wiktor Hugo. **Rzeczy Widziane,** (1848 — 49) w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

116. Henryk Szuman. **Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie** (1848), z przedmową *Aleksandra Kraushara.*

117, 118, 119, 120. Teodor Jeske-Choiński. **Tyara i Korona,** powieść historyczna.

121, 122. Dr. Lassar-Cohn. **Chemia Życia Codziennego,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

123, 124, 125. Hr. L. N. Tołstoj. **Zmartwychwstanie,** powieść, z przedmową *J. A. Święcickiego.*

